

Sandemo Margit

WIEDŹMA

Saga o Królestwie Światła 07

Z norweskiego przełożyła

IWONA ZIMNICKA

POL-NORDICA

Otwock 1998

Griselda jest prawdziwą wiedźmą. Za sprawą specjalnej maści doprowadza mężczyzn do szaleństwa z pożądania, później zaś zaklęciami zsyła na nich zapomnienie. Wiele niewinnych kobiet skazano przez nią na śmierć za uprawianie czarów. Po przybyciu do Królestwa Światła Griselda stwierdziła, że jeszcze nigdy nie spotkała tylu przystojnych mężczyzn naraz. Postanowiła zarzucić na nich sieci, najpierw jednak musi usunąć z drogi stojące jej na przeszkodzie młode kobiety...

RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA

LUDZIE LODU

INNI

Ram, Lemur, najwyższy dowódca Strażników
Rok, jego zastępca
Talornin, potężny Obcy
Oriana, przybyła niedawno ze świata na powierzchni Ziemi

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie z rozmaitych epok, ponieważ dla wszystkich czas zatrzymuje się bądź cofa do wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat i umierają tylko ci, którzy tego pragną. Inni, którzy zmarli nie zaznawszy w pełni smaku życia, otrzymują tu możliwość ponownej egzystencji. Są tu także Obcy wraz ze Strażnikami, Lemurowie, Madragowie, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, które zdecydowały się pójść za Markiem, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyje duża grupa Atlantydów. Z nimi właśnie bohaterowie niedawno się spotkali.

Są też nieznanne plemiona z Królestwa Ciemności oraz to, co kryje się w Górach Czarnych: źródło pełnego skargi zawodzenia.

STRESZCZENIE

Królestwo Światła znajduje się we wnętrzu Ziemi. Oświeśla je Święte Słońce, lecz za jego granicami rozciąga się nieznaną, przerażającą Ciemność.

Ludzie Lodu i rodzina czarnoksiężnika znajdują się teraz w Królestwie Światła. Głównymi bohaterami opowieści są reprezentanci młodszego pokolenia:

Jori, syn Taran, chłopak o brązowych, kręconych włosach, który odziedziczył po ojcu łagodne spojrzenie, a po matce katastrofalny brak odpowiedzialności. Wzrostem i urodą nie dorównuje przyjaciółom, lecz te braki kompensuje szaleństwem i śmiałością.

Jaskari, syn Villemanna, grupowy siłacz, długowłosa blondyn o bardzo niebieskich oczach i mięśniach, które grożą rozerwaniem koszuli i spodni. Kocha zwierzęta i Elenę.

Armas, w połowie Obcy, wysoki, inteligentny, o jedwabistych włosach i przenikliwym spojrzeniu. Obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami i wychowany znacznie surowiej niż pozostali.

Elena, córka Danielle, o beznadziejnej, jak sama twierdzi, figurze. Spokojna i sympatyczna, lecz wewnętrznie niepewna, za wszelką cenę pragnie być taka jak wszyscy. Ma długą grzywę drobno wijących się loczków. Kocha Jaskariego, który nie wierzy w jej miłość.

Berengaria, córka Rafaela, o cztery lata młodsza od pozostałych. Romantyczka o smukłych członkach, wijących się włosach i błyszczących ciemnych oczach. Jej charakter to wachlarz wszelkich ludzkich cnót i słabości. Bystra, wesoła, skłonna do uśmiechu, ma swoje humory. Rodzice bardzo się o nią niepokoją.

Oko Nocy, młody Indianin o długich, gładkich, granatowoczarnych włosach, szlachetnym profilu i oczach ciemnych jak noc. O rok starszy od czworga opisanych na początku. Uwielbiany przez Berengarię.

Tsi-Tsungga, zwany Tsi, istota natury ze Starej Twierdzy. Niezwykle przystojny młodzieniec o szerokich ramionach, cętkowanym zielonobrunatnym ciele, szybki i zwinny, wprost tchnie zmysłowością.

Siska, mała księżniczka zbiegła z Królestwa Ciemności. Ma wielkie, skośne, lodowato szare oczy, pełne usta i bujne włosy, czarne, gładkie, lśniące niczym jedwab. Dystansuje się od młodego Tsi i jego pupila Czika, olbrzymiej wiewiórki

Indra, gnuśna i powolna, obdarzona wielkim poczuciem humoru, z przesadą podkreśla swoje wygodnictwo. Ma wspaniałą cerę i elegancko wygięte brwi. W tym samym wieku co czworo pierwszych.

Miranda, jej o dwa lata młodsza siostra. Rudowłosa i piegowata. Wzięła na swe barki odpowiedzialność za cały świat, postanowiła go ulepszyć. Zagorzała obrończyni środowiska, o nieco chłopięcych ruchach. Nieugięta, jeśli chodzi o niesienie pomocy cierpiącym ludziom i zwierzętom. Znalazła miłość swego życia w osobie Gondagila.

Alice, zwana Sassą, najmłodsza, przybyła do Królestwa Światła wraz z dziadkami. Jako dziecko uległa strasznym poparzeniom. Marco usunął jej wszystkie blizny, lecz dziewczynka wciąż pozostaje nieśmiała. Ma kota o imieniu Hubert Ambrozja.

Dolg, nazywany niekiedy Dolgo. Ponieważ dwieście pięćdziesiąt lat spędził w królestwie elfów, wciąż ma dwadzieścia trzy lata, posiadał jednak niezwykłą mądrość i doświadczenie. Nie jest stworzony do miłości fizycznej. Jego najlepszymi przyjaciółmi są pies Nero i odrobinę natrętna maleńka panienska z rodu elfów, Fivrelde. Dolg współpracuje z Markiem.

Marco, książę Czarnych Sal, niezwykle potężny i baśniowo piękny, lecz on także nie może poznać miłości. Ani on, ani Dolg nie należą do grupy młodych przyjaciół, są jednak dla nich ogromnie ważni. Marco, podobnie jak Indra, Miranda i Sassa, pochodzi z Ludzi Lodu.

Gondagil, Wareg z ludu Timona, zamieszkującego Dolinę Mgieł w Królestwie Ciemności. Wysoki, jasnowłosy i silny. Przebywa obecnie w Królestwie Światła, tęskni jednak za przyniesieniem światła ludziom ze swojego plemienia. Jego wielką miłością jest Miranda.

OMÓWIENIE TOMU „CHŁOPIEC Z POŁUDNIA”

Indra otrzymuje zadanie sprowadzenia wybranego z nieznannej południowej części Królestwa Światła. Wraz z czworgiem towarzyszy udaje się do regionu zwanego Nową Atlantydą. W krainie tej panuje terror, mieszkańcy nie są szczęśliwi. Wybrany okazuje się wyjątkowo niemiłym chłopcem; z Indrą od razu zaczynają drzeć koty.

W powrotnej drodze Indra ku swej rozpaczy uświadamia sobie, że zakochała się w dowódcy Strażników, Ramie z rodu Lemurów. Miłość istot tak różnych jak człowiek i Lemur jest całkowicie nie do zaakceptowania. Ram z początku nie zdaje sobie sprawy z uczuć dziewczyny, lecz Indra w jakiś sposób również go pociąga.

Fatalną sytuację w Nowej Atlantydzie udaje się naprawić, w dużym stopniu dzięki świętym kamieniom Dolga oraz duchom Móriego i Ludzi Lodu. Ku radości wszystkich

wychodzi na jaw, że wybranym, który ma być głównym uczestnikiem wyprawy w Góry Czarne, nie jest wcale ów niesympatyczny chłopczyk, lecz Indianin Oko Nocy. Aby rozdzielić Rama i Indrę, potężny Obcy, Talornin, postanawia, że dziewczyna zajmie się nieszczęśliwym młodym człowiekiem Oliveirem da Silva, będącym dla wszystkich zagadką. Talornin ma nadzieję, że Indra zakocha się w sympatycznym samotniku, a jednocześnie wydobędzie z niego dręczącą go tajemnicę. Na razie żadne z życzeń Talornina się nie spełniło.

Ram prosi Indrę, by odwiedziła da Silvę, nie przeczuwając nawet, że posyła ją prosto w koszmar.

1

Bim, bom.

Echo uderzenia kościelnego dzwonu rozpląnęło się w ciszy.

Jedno jedyne uderzenie.

Dzwon śmierci.

Dzwon czarownic.

Cienka warstewka śniegu pokrywała zmrożoną ziemię w położonym kilka mil od Bostonu małym miasteczku na skraju lasu, kiedy Thomas Llewellyn spieszył do domu o zmierzchu.

Jeszcze jedna, pomyślał i ciarki przeszły mu po plecach. Sędzia Swift znów skazał jakąś kobietę za czary. Jak długo jeszcze to potrwa? Kiedy wyłapiemy je wszystkie? Przecież to zatacza coraz szersze kręgi.

Kury i gęsi z głośnym gęganiem uciekały mu spod stóp, gdy szybkim krokiem szedł główną ulicą miasteczka. Przy studni stały dwie kobiety, ubrane w skromne czarne suknie z białymi kołnierzykami i mankietami, w nakrochmalonych czepkach z rondami tak szerokimi, że ledwie dało się pod nimi dostrzec twarze. Czepki takie nazywano później „pocałuj-mnie-jeśli-potrafisz”. W tych matronach jednak nie było ani odrobiny zalotności. Popatrzyły za Thomasem, szepnęły coś do siebie, ale on nie chciał nawet wiedzieć co. Spotkał sąsiada, dźwigającego na plecach kosz upleciony z kory. Thomas pozdrowił go i pospieszył dalej.

Młody Llewellyn zmierzał do kościoła ze śpiewnikami, które właśnie nadeszły. O ich przyniesienie prosił go pastor.

Czy sąsiad nie zerkał na niego koso?

Czyżby wiedzieli? Te kobiety i sąsiad?

Czyżby wiedzieli, że Thomas Llewellyn jest w pewnym sensie hipokrytą? Należał do protestanckiej, purytańskiej parafii, ponieważ brakowało mu odwagi, by postępować inaczej, ale serce ciągnęło go raczej w stronę kwaków. Nie mógł się do tego przyznać, nawet wobec nich, każdy bowiem miał prawo wybatożyć kwakra i wygnać go do wielkiego lasu, który ciężko wzdychał z tyłu za domami. Indianie i kwakrzy to zwierzyna, na którą polowanie było dozwolone. Wszak to poganie i heretycy, zwłaszcza kwakrzy z tą ich przewrotną nauką. Żądali pełnej wolności dla religii, odrzucali wszelkie autorytety, nie mieli księży, nie uznawali chrztu ani komunii. Do wszystkich ludzi zwracali się po imieniu i nikomu się nie kłaniali. Owszem, czytali Biblię, lecz wyżej cenili „wewnętrzne światło” aniżeli Pismo. I te ich dziwaczne nabożeństwa - siedzieli w milczeniu, każdy skupiony na

swojej modlitwie. Odezwać się mogli jedynie wówczas, gdy czuli, iż natchnął ich Bóg. Poza tym na ich zgromadzeniach panowała kompletna cisza.

Oczywiście, że taka herezja jest dziełem szatana, niebezpiecznym dla kościoła, mimo to jednak Thomas uważał, że kwaczy w wielu kwestiach mają słuszość.

Głośno jednak o tym nie mówił.

W kościele przy rządzie ławek klęczała młoda kobieta. Modliła się gorąco, zrozpaczona, a po policzkach ciekły jej łzy. Thomas poznał ją, to ta biedna głupiutka Mary-Lou, miła i naiwna, pomiatana przez gospodynię.

Thomas odłożył książki przy ołtarzu i ostrożnie przeszedł między ławkami. Ukłękął przy dziewczynie.

- Co się stało, Mary-Lou? Czy mogę ci w czymś pomóc? - spytał szeptem, choć wyglądało na to, że w kościele są raczej sami.

Dziewczyna podniosła na niego przerażone oczy, twarz miała mokrą od łez.

- Ach, panie Llewellyn, nie wiem, co robić! Oskarżają mnie o kuszenie dzieci, zwabianie ich na służbę diabłu. A przecież nic takiego nie zrobiłam!

Thomas poczuł, jak zimna dłoń zaciska mu się na sercu.

- Wiem o tym, Mary-Lou. Porozmawiam w twojej, sprawie z pastorem, on na pewno zrozumie.

Wypowiadając te słowa, poczuł się nieswojo. Poprzedni pastor był łagodny, pełen wyrozumiałości i troski dla swoich owieczek, nowy natomiast, młody i małostkowy, nie uznawał odstępstw od surowego kodeksu moralnego, współpracował ze srogim sędzią Swiftem i innymi przedstawicielami władzy w Nowej Anglii. Była to prawdziwa teokracja, forma rządów, w której u władzy stał Kościół.

Thomas ze strachem myślał o tym, co się działo w ich nowym kraju. Owo zło, okazywane sobie wzajemnie przez kobiety, nieodwołalne wyroki sądu dla czarownic, skazującego nieszczęsne niewiasty, które padły ofiarą złych plotek, wychodzących nie tylko z ust kobiet.

Thomas nie śmiał oceniać, ile prawdy kryje się w oskarżeniach. Owszem, kilka młodych dziewcząt z chichotem przyznało, że widziały Złego, na dodatek w towarzystwie wielu mieszkańców parafii, ale to było jeszcze za czasów starego pastora, który zdołał ukrócić wszelkie gadanie, twierdząc, że to tylko wymysły młodych, żadnych sensacji panien. O wiele gorsze było ukryte prześladowanie, to, które rozwinęło się później i zdawało się zataczać coraz szersze kręgi.

Wiedział, że podobnie jest i w innych pobliskich miasteczkach. W Salem, na przykład, naprawdę źle się działo. Pewien sędzia chwalił się, że skazał na powieszenie trzydzieści siedem czarownic w jednym tylko mieście. Inny odpowiedział mu z dumą, szcycąc się siedemdziesięcioma dwiema skazanymi na śmierć. Egzekucja uczennic szatana była uczynkiem na chwałę Boga i z zagorzałym uporem szukano coraz to nowych winnych. Nie było to wcale trudne, ludzie z chęcią wskazywali sąsiadów, którym, ich zdaniem, wiodło się za dobrze, bądź też chcieli w ten sposób pozbyć się osób, z którymi byli skłócen.

Thomas jednak przypuszczał, że gdzieś w jego niewielkim miasteczku na skraju lasu kryje się rzeczywiste źródło plotek. Wyglądało bowiem na to, że wszystkie plotki

wychodzą z jednych i tych samych ust. Któż taki wymyśla te diabelskie historie, w które wplątuje niewinne mieszkanki miasta? Chyba tylko on, Thomas Llewellyn, zastanawiał się nad tym, co się dzieje, wszyscy inni zdawali się z lubością chłonać opowieści o sabatach czarownic, o wiedźmach rzucających urok na ludzi i bydło, o czarnoksiężskich napitkach warzonych gdzieś w ukryciu.

Ofiarami plotek, stawianymi natychmiast pod sąd i skazywanymi, były najczęściej młode piękne dziewczęta i kobiety.

A teraz Mary-Lou.

Nie, to niemożliwe. Nie ma wszak w całej parafii czystszej od niej duszy.

Bim, bom...

Bicie kościelnego dzwonu zabrzmiało w świątyni dziwnie głucho.

To znaczy, że dzwonnik jest na wieży. Czy Thomas powinien iść na górę i spytać go, co tym razem obwieszcza uderzenie dzwonu? Nie, nie chciał tego wiedzieć. Był pewien, że mieszkańcy miasteczka zebrali się przy szubienicy ustawionej na rynku i chciwie napawają się widokiem kolejnej powieszanej. Miał w uszach odgłos ich przekleństw, podnieconych głosów żądających jeszcze surowszej kary. Wiedział, że ludzie tłoczą się wokół miejsca kaźni tak blisko, jak tylko dało się podejść. Miał wrażenie, że słyszy okrzyki radości i udawane przerażenie, gdy otwierano zapadnię. Uścisnął Mary-Lou za rękę mocno, aż dziewczyna jęknęła. Nie była jednak na tyle głupia, by nie zrozumieć, co tak strasznie wzburzyło młodego, przystojnego pana Thomasa Llewellyna.

Zrozpaczony Thomas próbował znaleźć jakieś pocieszenie w wierze. Zacni panowie, sędzia, szeryf i pastor, nie mogli wszak aż tak się mylić. Te kobiety musiały być winne, bo czyż pastor nie głosił, że Bóg uraduje się, gdy całe to paskudztwo zostanie wyplenione z Nowej Anglii? Thomas usiłował przekonywać samego siebie, że takie postępowanie jest słuszne, bo zło należy wyrwać z korzeniami. Siedząc w kościelnej ławce, odmówił gorącą modlitwę i podziękował Bogu, że kolejna grzesznica otrzymała karę, ale słowa, które szeptał, głucho rozbrzmiewały w jego głowie, podniósł się więc czym prędzej.

- Chodź, Mary-Lou, odprowadzę cię do domu.

W domu sędziego urządzono przyjęcie, na które zaproszono również Thomasa jako jednego z uczonych mieszkańców miasteczka. Thomas studiował kiedyś filozofię i historię Kościoła, rodzice bowiem pragnęli, by został księdzem. Udało mu się od tego wykręcić, ponieważ nie czuł powołania do sprawowania tej funkcji, i zajął się nauczaniem dzieci zamożnych obywateli.

Krążąc wśród obitych wiśniowym pluszem mebli po salonie z wysokimi eleganckimi oknami, witał się z gośćmi i przyglądał przesuwającym się obok niego twarzom. Oto sędzia Swift i jego opryskliwa żona, ubrana w szary jedwab, dalej pastor żyjący w celibacie, a także sam gubernator i jego sympatyczna małżonka, dzwonnik, również licząca się osoba, choć mniejszej rangi, lecz mająca prawo obracać się wśród najprzedniejszych. Może dlatego, że ma taką młodą i piękną żonę? Wśród zaproszonych znalazł się także lekarz z najstarszą córką. Był wdowcem, lecz córka o przyjemnej buzi śmiało mogła mu towarzyszyć przy takich okazjach. Thomas wiedział, że dziewczyna ma

na niego oko, i przywitał się z nią, starając się zachować dystans. Nie chciał, by jej ojcu zaczęły krążyć po głowie dziwne pomysły.

Wśród gości był też kupiec z rodziną i inni poważani obywatele miasteczka. Zaliczali się do nich przede wszystkim potomkowie tych, którzy przybyli z Anglii na pokładzie „Mayflower”, pierwszego statku, który w roku 1620 przywiózł tu emigrantów, tak zwanych ojców pielgrzymów. Statkiem tym przyłynęli również rodzice ojca Thomasa i chociaż byli jedynie prostymi ludźmi z Walii, podróż przydała im nowego poważania. Thomas uczęszczał do szkoły w Bostonie, później zaś, gdy rodzice zmarli i zostawili mu dom, wrócił tutaj.

Miał teraz dwadzieścia sześć lat i był znakomitą partią, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Na razie jednak nie wypatrzył żadnej kandydatki na żonę.

Griselda przyglądała mu się ukradkiem. On jest mój, pomyślała po raz kolejny. Wszystkie kobiety traktuje jednakowo, ale ja będę go miała. Zdobędę go, gdy tylko zechcę, a jeśli spróbuje się opierać, mam środki...

Nagle wzrok jej pociemniał. Odprowadził wczoraj do domu tę głupią gęś, Mary-Lou! A dziś tak ładnie wyrażał się o niej do pastora. Do pastora, który już usłyszał moje plotki o Mary-Lou, naturalnie nie bezpośrednio ode mnie, ale drobne słówko rzucone tu i ówdzie spełniło swoje zadanie. „Moja droga Abby, słyszałam niedawno, że ta Mary-Lou, wiesz... Tak, właśnie ona. Podobno ostatnio wciągnęła jakieś małe dzieci w orgie ku czci szatana. No właśnie, czegoż to ludzie nie wymyślą, w dodatku o Mary-Lou, tej biednej dziewczynie, ona przecież nie ma dość rozumu, by angażować się w podobne historie!” Abby jako wierna parafianka utrzymywała bliskie kontakty z pastorem i zawsze syczała urażona, gdy w jej obecności wspominało się o czarownicach.

Właśnie wyrażenie: „Słyszałam ostatnio coś bardzo niemądrego”, było przepisem Griseldy na tworzenie plotek. Gdyby ktoś ją spytał, gdzie usłyszała ową niesamowitą historię, odpowiadała, rzecz jasna, że nie należy do osób zdradzających swoich informatorów. Niekiedy stwierdzała po prostu: „Wszyscy tak mówią”. Na ogół jednak nikt nie pytał o jej źródła informacji, ludzie z oczami rozjaśnionymi przecuciem ewentualnego skandalu przekazywali dalej zasłyszane rewelacje.

Griselda słynęła ze swej pobożności i troskliwości o innych. Chodziła do kościoła na każde nabożeństwo, pomagała ubogim i była przykładną parafianką. Tylko kiedy zostawała sama w domu, późnym wieczorem wyciągała swoje sprzęty i rozpoczynała nocną pracę. Jeśli ktoś zbyt ciekawy starał się dotrzeć do źródła posiadanych przez nią informacji, Griselda własnoręcznie ekspediowała go na lepszy ze światów. „Tak blade wyglądasz, przyjacielu, wkładasz zbyt wiele wysiłku w swoje dobre uczynki, przyrządę ci rosół z kurczaka, naprawdę chętnie to zrobię!”

I tak żegnała się z przyjaciółką lub z przyjacielem, bo właśnie mężczyźni niekiedy okazywali się bardzo podejrzliwi. Pragnęli dotrzeć do jądra zła i usunąć je wraz z korzeniami.

Griselda w przeciwieństwie do wszystkich nieszczęsnych zwykłych kobiet, które powieszono za jej grzechy, była prawdziwą czarownicą. Taką, których w stuleciu rodzi się najwyżej dziesięć. Matkę jej wygnano z Anglii, gdyż oskarżona została o uprawianie

czarów. Z wielkim trudem zdołała zakraść się na pokład statku płynącego do Ameryki i przybyła do Salem, gdzie wyszła za mąż i urodziła Griseldę. Kiedy i tam matce ziemia zaczęła palić się pod nogami, oddała nowo narodzoną córeczkę na wychowanie, zostawiając jej wszystkie swoje środki i magiczne specjały. Wkrótce zakończyła żywot na szubienicy. Właściwie jednak matka i córka były jedną i tą samą duszą.

Griselda naturalnie nie zrezygnowała z uprawiania swej jakże przyjemnej profesji. Wkrótce stała się powszechnie szanowaną i poważaną osobą w miasteczku Thomasa Llewellyna. Na niego właśnie postanowiła zarzucić sieci. Żaden z mieszkańców miasteczka nie był tak przystojny jak Thomas, na jego widok krew wrzała jej w żyłach i ogarniało opętanie. Musi go mieć!

Griselda ukradkiem wymknęła się z przyjęcia i w pośpiechu pisała list. Planowała zostawić go na biurku sędziego, a słowa, które umyślnie miały wyglądać na bardzo nieporadne, brzmiały następująco: „Panie sędzio łaskawy, czy pan wie, że ta Mary-Lou urodziła dzieciaka szatana? Od razu go zabiła, ona jest złym człowiekiem”.

W ten sposób załatwiła sprawę Mary-Lou.

Miała jednak jeszcze groźniejszego wroga, i to tu, w domu sędziego, dziś wieczorem. Dyskretnie wróciła do salonu, nikt nie zauważył ani jej wyjścia, ani powrotu. Kiedy siadała skromnie z boku, twarz jej skamieniała. Thomas Llewellyn stał zajęty rozmową, w dodatku z kobietą! I to z kobietą, której Griselda dotychczas nie brała pod uwagę.

Była nią piękna żona dzwonnika. No cóż, piękna, pomyślała Griselda, krzywiąc się brzydko. Owszem, byli tacy, którzy tak twierdzili, ale ona nie mogła się dopatrzeć urody w bezmyślnej lalkowatej twarzy.

Powiadano jednak, że żona dzwonnika spodziewa się dziecka, nie powinna więc raczej stanowić zagrożenia. Mimo to stała tam, kręcąc zalotnie biodrami i wdzięcząc się do jej Thomasa. Co za suka, flirtuje z tym chłopcem tak, że aż się zaczerwienił. Nie wygląda to dobrze. Zamężna czy nie, ciężarna czy nie, Thomas przecież może się zakochać w tej bezwstydną babie.

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy w jej stronę, Griselda znów wymknęła się z salonu tymi samymi drzwiami. Musi dotrzeć do biurka sędziego, czym prędzej!

Dopisała na papierze jeszcze jedno zdanie. „Czy wie pan, że dziecko, którego spodziewa się żona dzwonnika, to również szatański pomiot? Doprawdy straszne grzechy popełniane są w naszym miasteczku!”

Tym razem potajemny powrót okazał się trudniejszy, musiała czekać, aż służący miną ją w drodze do jadalni, wreszcie jednak mogła przekraść się i skromnie zasiąść na swoim miejscu z boczku.

Nie spuszczała wzroku z najgroźniejszej rywalki: niezamężnej córki doktora. Tej, która cały czas nie przestawała deptać Thomasowi po piętach. Cóż ona pocnie z tą panną? Lekarz to bystry człowiek, bardzo inteligentny, pilnie też strzegł swej córki. Oczernianie jej mogło nie być korzystne dla samej Griseldy, lepiej znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

Uśmiechnęła się do siebie. Zawsze miała kogoś, na kogo mogła liczyć. Niezawodna pomoc.

Co tam rywalki, poradzi sobie z nimi sama. Chyba już najwyższy czas uciec się do szczególnych zabiegów.

Wśród środków, które Griselda otrzymała w spadku po matce, znajdowało się coś zupełnie wyjątkowego. Dotknęła lekko dłonią biodra, pod spódnicą wyczuła niewielki skórzany woreczek. Miała sporo podobnych sakiewek, służących jej do bardzo różnych celów. Ta jednak...! Niewiele czarownic na świecie znało tę tajemnicę. A jeszcze mniej zwykłych śmiertelników o niej wiedziało. Kiedy Griselda natarła się zawartością woreczka w określonych miejscach, potrafiła wywołać u mężczyzny stan, przypominający łącznie zwierzęcą chuch. Człowiek, jako wydelikaczone, zdegenerowane zwierzę, utracił zdolność wydzielania woni informujących o swoich popędach, Griselda natomiast posiadała ten zapach, na dodatek w skondensowanej formie. Kiedy miała ochotę na męskie towarzystwo, starała się zostać sam na sam z jakimś panem i zaraz smarowała się w odpowiednich miejscach starą zszarzałą maścią. Zabieg ten zawsze skutkował. Mężczyzna, którego sobie upatrzyła, stawał się niczym zwierzę, widać było wręcz, jak unosząc górną wargę węży. Z początku Griselda stosowała zbyt duże dawki maści, co niekiedy doprowadzało do sytuacji raczej nieprzyjemnych, mężczyźni usiłowali obwąchiwać ją od tyłu i brać też w tej samej pozycji. Po pewnym czasie jednak nauczyła się odmierzać stosowną dawkę, taką, która wywoływała bardziej wyrafinowane zaloty. Bardzo się także bała, by w pobliżu nie znalazło się więcej mężczyzn. Przeżyła raz podobną sytuację, stało się to również na początku jej eksperymentów z maścią, musiała co sił w nogach uciekać do domu i zamknąć drzwi na wszystkie spusty, a mężczyźni walczyli pod domem jak wściekłe psy. Walka skończyła się dopiero wówczas, gdy Griselda zmyła z siebie wszystkie, najmniejsze nawet drobiny specyfiku. Czterech mężczyzn potulnie wrócili do własnych domostw, nie rozumiejąc ani trochę, co za diabeł w nich wstąpił.

Griselda zorientowała się, że w kwestii Thomasa Llewellyna powinna się spieszyć, inaczej bowiem mógł znaleźć się poza jej zasięgiem. Lekarz zapewne zaakceptuje go jako zięcia, a i żona dzwonnika będzie próbowała uwodzić go na osobności. Cóż za bezwstydną osobą!

Thomasie, ach, Thomasie, popatrz na mnie! Jakiż on piękny, jaki ma szlachetny profil, męski, a zarazem taki romantyczny, będzie zaiste cudownym kochankiem, można się tego domyślić po budowie jego ciała. Te wąskie biodra idealnie się wpasują między... Ach, muszę czym prędzej użyć swojej maści, gdy tylko nadarzy się okazja, inaczej pożar strawi moje ciało. Thomasie, gwizdź na tę głupią dziewczynę, spójrz na mnie!

Thomas Llewellyn czuł, że ktoś mu się przygląda. Owszem, córka lekarza nie skrywała swego spojrzenia w trakcie rozmowy z nim, to jednak było coś innego. Miał wrażenie, jakby... ktoś atakował go od tyłu.

Młodszy mężczyzna, aptekarz, minął go w towarzystwie swej żony.

- Ach, tak? A więc i ty zostałeś zaproszony, Thomasie - odezwał się słodkokwaśnym tonem. - Tak, tak, młody atrakcyjny kawaler wszędzie jest mile widziany, nawet jeśli jest tylko synem prostego górnika z Walii.

Thomasa ogarnął gniew. Po pierwsze, dumny był ze swego walijskiego pochodzenia, a po drugie, żywił wielki szacunek dla tamtejszych górników. Po trzecie zaś, jego dziad wcale nie był górnikiem, lecz ubogim nauczycielem, podobnie jak obecnie Thomas. Dziadek jednak z takim sentymentem opowiadał o przepięknej Walii i o ciężkiej pracy w kopalniach, że Thomas w pełni solidaryzował się ze swymi ziomkami w starym kraju. Przysłuchując się jednym uchem nie kończącemu się strumieniowi słów, który płynął z ust córki doktora, próbował leciutko odwrócić głowę. Kątem oka zobaczył sędziego i pastora, omawiających wczorajsze egzekucje. Po chwili dołączył do nich również szeryf.

- Tak, tak, ta ostatnia to była prawdziwa furia - powiedział. - Opierała się aż do końca, cały czas krzyczała, że jest niewinna. Nie potrafiła okazać najmniejszego szacunku dla prawa!

- To świadczy tylko o tym, jak bardzo była zatwardziała w grzechu - westchnął pastor. - Pamiętam jedną w zeszłym tygodniu, która nie chciała nawet pomodlić się wraz ze mną do Boga, twierdziła bowiem, że Pan ją zawiódł, całkiem zaprzedała duszę. Doprawdy, to, co robimy, można nazwać błogosławionym uczynkiem.

- Nasze miasto stanie się czyste, będzie godnym miejscem dla Pana - kiwnął głową sędzia. - To szlachetne, kiedy sprawiedliwości stanie się zadość.

Panowie przeszli dalej, odsłaniając Thomasowi pole widzenia. Ukradkiem odwrócił głowę.

Nie, nikogo tam nie było. Jedyne kupiec, który poczęstował się kolejnym kieliszkiem portwajnu z tacy, i stara pani Witherspoon, paplająca mu coś nudnego prosto do ucha. W kącie pokoju siedziała pobożna wdowa po bogatym handlarzu jedwabiem, który przed kilkoma laty zginął tragiczną śmiercią w tutejszym stawie. To dziwna historia, powiadano, że chodził we śnie, podszedł wprost do brzegu sadzawki i wpadł do wody. Nie umiał pływać, a ci, którzy rzucili mu się na ratunek, mówili, że poszedł na dno jak kamień. Nieszczęśliwa kobieta siedziała teraz ze skromnie spuszczonego wzrokiem. Ubrała się bardzo spokojnie, w ciemne szarości i biel, ani stara, ani młoda, ani ładna, ani brzydka. Jej pospolitą twarz otaczały niesforne włosy, które kiedyś miały kolor marchewki, teraz jednak nieładnie posiwiwały. Oczy, niekiedy spoglądające bardzo bystro, skierowane były teraz na złożone dłonie, kobieta przedstawiała sobą prawdziwe uosobienie samotności. Nie, nikt na niego nie patrzył, to jakieś przywidzenie.

Szkoda mu się jednak zrobiło samotnej niewiasty w kącie. Pobożna Griselda jest wszak wszystkim tak życzliwa. Gdyby tylko zdołał oderwać się od córki lekarza, podszedłby do niej zamienić kilka słów. Ktoś musi się przecież zająć tymi, którzy stoją z boku.

Jego młodziutka wielbicielka jednak zagłębiła się w długą opowieść o tym, jak to nabawiła się przeziębienia, akurat w dniu, kiedy miała koncert - grała w zespole na cymbałach - w wielkiej sali ratusza. Musiała więc włożyć sobie watę do nosa, by z niego nie ciekło. Wyglądała naprawdę strasznie, ale co zrobić...

Sporo czasu upłynęło, zanim Thomas zdołał się jej wyrwać. Wówczas jednak nadeszła już pora, by się pożegnać. Thomas, będąc dobrze wychowanym młodym człowiekiem, zaproponował Griseldzie, że odprowadzi ją do domu, zapadł już bowiem zmrok i kobieta nie powinna chodzić sama w tych czasach, gdy dookoła grasują czarownice.

Griselda podziękowała mu uradowana. Co zaś pomyślała córka doktora, nie wiadomo. Do domu towarzyszył jej ojciec, miała więc bezpieczną eskortę.

2

Griselda wsunęła Thomasowi dłoń pod ramię z nadzieją, że nie uszło to uwagi żadnej z obecnych pań, i razem opuścili elegancki dom sędziego. Dostojnik mieszkał w tak małym miasteczku dlatego, że tutejszy klimat był lepszy dla zdrowia jego żony, no i przecież do Bostonu i kwitnącego tam życia towarzyskiego nie było daleko.

- Sędzia Swift to miły człowiek - westchnęła Griselda. - Słyszałam, że wybiera się do Andover. To podobno niezwykle grzeszna miejscowość.

- Ja także o tym słyszałem - odparł Thomas zakłopotany. - Chciałbym, aby te procesy czarownic wkrótce już się skończyły. Obserwowanie ich egzekucji to wielki wstrząs dla ludzkiej psychiki, choć ja osobiście nigdy w nich nie uczestniczyłem.

- To prawda - pokiwała głową Griselda.

Mam go już, nareszcie go mam, śpiewało jej w duszy. Czy zrobić to już dziś wieczorem? Nie, może za wcześnie, mężczyzna taki jak on nie rzuca się na kobietę od razu, w dodatku nie zdąży się przygotować, a nie mogę ryzykować, że się wycofa. On musi dojrzeć.

- Słyszałam, że odprowadziłeś wczoraj Mary-Lou ! z kościoła do domu - zainteresowała się. - Czy był jakiś szczególny powód?

Thomas zrelacjonował jej oskarżenie o czary.

- Żywię dla tej dziewczyny ciepłe uczucia i dlatego będę się wstawiał za nią u władz.

„Ciepłe uczucia dla tej dziewczyny? Ciepłe uczucia?” Takie to szczęście, że napisałam ten list, pomyślała Griselda, czując, jak gotuje się w niej z zazdrości. No cóż, nie ma niebezpieczeństwa, sąd jest silniejszy od ciebie, mój drogi Thomasie, najmilszy chłopcze o szerokich ramionach i rozmarzonych oczach.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, mój drogi - powiedziała - Uważaj tylko, żebyś sam nie dostał się pod młot na czarownice.

- Zdaję sobie sprawę z zagrożenia, ale przecież ona jest jeszcze dzieckiem, zarówno wiekiem, jak i usposobieniem. Ile ma lat? Piętnaście?

- Mniej więcej - odparła Griselda beztrąsko, chociaż doskonale wiedziała, że Mary-Lou jest już siedemnastoletnią panną. Dobrze, że Thomas nie zdaje sobie z tego sprawy. Może ta dziewczyna nie jest mimo wszystko aż tak groźna? No cóż, ale z każdym dniem robi się coraz starsza i na pewno już wodzi za nim oczyma, lepiej więc będzie usunąć ją z drogi. Dobrze też, że udało się dołączyć dopisek o rozwodzonej żonie dzwonnika, niechaj i ona zniknie z tego świata.

Pozostawała jedynie córka doktora, ale co tam, i na nią znajdzie się jakiś sposób. A poza tym Griselda i tak ją uprzedzi. Złapie Thomasa w swoje sieci.

Dotarli do drzwi jej domu.

- Jak miło z twojej strony, Thomasie, że odprowadziłeś samotną kobietę - powiedziała, starając się wyglądać jednocześnie skromnie i zalotnie. - Czy... czy mogę się jakoś odwdziżyć za twoją życzliwość? Może przyszedłbyś do mnie któregoś dnia, poczęstowałabym cię ciastem melasowym. Niechże to będzie któreś popołudnie, bo

przecież dżentelmen nie może odwiedzać damy wieczorem. Dlaczego by nie jutro? Powiedzmy o trzeciej?

Większość mieszkańców miasteczka zasiadała o tej porze do obiadu, nikt więc nie zwróci uwagi na tę wizytę, a zanim wydana przez nią herbatka dobiegnie końca, zapadnie romantyczny zmierzch. Ona zaś będzie już przygotowana. Dom jej położony jest daleko, nikt więc niczego nie zauważy.

Thomas gorączkowo szukał powodów, którymi mógłby się wymówić, lecz niestety, żadnego nie wymyślił. Przed chwilą właśnie wyjawiał, że z powodu choroby uczniów cały jutrzejszy dzień ma wolny. Niemądrze, że w ogóle o tym wspominał.

- Dzień... dziękuję - wyjął onieśmielony. - Bardzo mi miło.

Ach, nie wiesz, jak miło będzie naprawdę, pomyślała zadowolona Griselda.

Tego wieczoru w niedużym jak z piernika domku Griseldy długo paliło się światło. Ogród latem zawsze był pełen kwiatów, wśród których ukrywały się zioła, na przemian uzdrawiające i trujące, tych ostatnich rosło tu zdecydowanie więcej. Teraz, pod koniec roku, większość została już zebrana i umieszczona na przechowanie w tajemnym pomieszczeniu na tyłach domu. Znajdowało się tam wszystko, czego potrzebuje czarownica, zajmująca się przygotowaniem magicznych mikstur.

Lecz Griselda zajmowała się nie tylko tym, była prawdziwą wiedźmą i posiadała umiejętności, których inni ludzie nawet się nie domyślali. Nie wszystkie czarownice potrafiły doprowadzić człowieka do śmierci w sadzawce samą tylko siłą swej woli, pozbawiając go jakiegokolwiek możliwości sprzeciwu. Umiała też zniekształcić wzrok człowieka, a tego, czego nie wiedziała o zaklinaniu i czarach, po prostu nie warto było wiedzieć.

Pobożna działalność w parafii była tarczą chroniącą ją przed światem, zapewniała jej nietykalność, której zdobycie trwało wiele lat, i umożliwiała na przykład wstęp do kaplicy, w której składano ciała zmarłych noworodków. Mogła swobodnie wchodzić i pobierać ich tłuszcz potrzebny jej do wyruszania w „podróż”. Potrafiła zsyłać na ludzi zapomnienie - tą umiejętnością posłużyła się właśnie wtedy, gdy kilku mężczyzn pożądliwie się na nią rzuciło. Miała też inne tajemnice, do niektórych bała się przyznać nawet sama przed sobą. Chociażby do nocnych wypraw. Wprawdzie doświadczyła ich kilkakrotnie, ale starała się zachować ostrożność. Dbała też o to, by nie rozbierać się przy obcych, jeszcze by zauważyli znaną czarownicy. Otrzymała je właśnie podczas jednej ze swych wypraw - pocałunek samego Złego na pośladku. W dodatku... nie zawsze była sama w swoim domu, kiedy była sama.

Tajemnicę tę skrywała głęboko, głęboko w swojej czarnej duszy.

Nazajutrz Griselda starannie się przygotowała na wizytę onieśmielonego Thomasa. Idąc do domu wdowy, Llewellyn usłyszał od miasteczkowych plotkarzy kolejne wstrząsające nowiny. Powiadano, że tak samo jak młodziutka Mary-Lou, do sędziego wezwana została również piękna żona dzwonnika. Thomas nie posiadał się z oburzenia. Musi czym prędzej pomówić z sędzią albo z pastorem, wszyscy wiedzieli wszak, jakim niewinnym stworzeniem jest Mary-Lou. Jak w ogóle coś podobnego mogło komuś przyjść do głowy?

Griselda, jego zdaniem, wyglądała naprawdę młodo, kiedy stała w drzwiach z szerokim uśmiechem na ustach. Ubrana była oczywiście w czarną suknię, jak przystało wdowie, z szerokimi spódnicami - i bez niczego pod spodem, lecz on o tym nie wiedział. Nie nosiła czepka, więc włosy, czyste i pachnące, spływały jej falami po plecach. Na twarzy nie miała jeszcze zmarszczek, na policzkach wykwitły rumieńce (szminka - oto cała tajemnica), a oczy płonęły jej w odpychający i fascynujący zarazem sposób. Dziwna kobieta z tej Griseldy, niby anielsko dobra, lecz jakże trudno jednoznacznie ją ocenić.

Kiedy wchodził do środka, na głównej ulicy panował spokój. Droga skręcała tuż przed domem Griseldy, zauważało się więc go dopiero, gdy stało się tuż przed nim. Obok zaczynał się las. Griselda przeprowadziła się tutaj po śmierci męża, wcześniej mieszkała w eleganckim domu, lecz tu była mniej skrępowana.

Z ciężkiego mroku świerków dobiegło ponure pohukiwanie puszczyka, zaskrzeczały wrony, wróżące nieszczęście krakanie brzmiało naprawdę przejmująco. Thomas odczuł ulgę, gdy drzwi wreszcie się za nim zamknęły.

Cóż to za dziwny zapach unosi się w środku? Oszalamiająco silna woń korzeni, mirry i kadzidła. Powietrze było nią przesycone i Thomasowi zakręciło się w głowie. Griselda poprosiła, by zajął miejsce przy nakrytym stole, zapaliła świece i zaciągnęła zasłony.

- O zmierzchu zawsze ogarnia mnie smutek - rzekła, udając, że ukrywa swój sentymentalizm za śmiechem. - Lepiej się od niego odgradzić.

Thomas chciał zaprotestować, powiedzieć, że do zmierzchu jeszcze daleko, nie za dobrze bowiem czuł się w tej intymnej atmosferze, jaka nagle się wytworzyła. Lecz jako dobrze wychowany młody człowiek milczał.

Ciasto okazało się smaczne, herbata również, Griselda zaś prowadziła swobodną rozmowę na obojętne tematy, o tym jaka zima się zapowiada, czy zebrane plony wystarczą - Thomas odparł, że jego zdaniem tak - o chrzcie, mającym się odbyć w następną niedzielę. Nie poruszała kwestii procesów czarownic, za co bardzo był jej wdzięczny, myślą jednak stale krążył wokół młodziutkiej Mary-Lou, która zapewne całkiem sama siedziała teraz w areszcie. Niecierpliwił się, liczył bowiem, że zdąży jeszcze zajrzeć do domu sędziego.

Kiedy Griselda zrobiła pauzę, żeby nabrać oddechu, wstał wymawiając się koniecznością przygotowania jutrzejszych lekcji. Ona również natychmiast się zerwała i powiedziała prędko:

- Oczywiście, rozumiem. Z wielką przyjemnością gościłam cię u siebie. Chciałabym cię tylko jeszcze o coś prosić. Otóż mam pewną książkę, czy mógłbyś do niej zajrzeć? Znalazłam tam coś, czego nie rozumiem, a ty przecież jesteś taki odcytany. Zaczekaj chwilę, zaraz ją przyniosę!

Thomas, chociaż ogromnie pragnął już wyjść, nie mógł odmówić gospodyni. Nie ruszając się z miejsca, patrzył, jak wdowa znika za jakimiś niepozornymi drzwiczkami.

Griselda przebiegła przez pokój, drżącymi palcami otworzyła drzwi do swojej tajemnej izdebki i wsunęła się do środka. Postawiła świecznik na komodzie i przejrzała się w nierównym lustrze. O, tak, pięknie wygląda. Na policzkach miała rumieńce, zarówno sztuczne, jak i prawdziwe, oczy jej błyszczały, w mroku pokoju wyglądała bardzo młodo.

Trzęsącymi się rękoma wyjęła maść, nabrała odrobinę na czubki palców i podciągnęła spódnicę. Przyglądając się swemu odbiciu natarła się w pachwinach, przypadkiem musnęła najwrażliwszą część swego ciała i aż drgnęła. Dopiero wtedy zorientowała się, jak bardzo sama jest podniecona. Niepotrzebna jej żadna maść, lecz Thomas jest nieśmiałym młodym człowiekiem, a przecież szkoda czasu na tracenie dni, a być może tygodni, na jego ewentualne zaloty. Ważne przecież, by wyprzedzić wszystkie kobiety, które mają na niego oko.

Nie wiedziała, czy posmarować odrobiną maści również piersi, obawiała się jednak, że dawka będzie zbyt duża. Takiego nowicjusza jak Thomas mógł ogarnąć zbyt ni zapal, a ona nie pragnęła żadnego zwierzęcego aktu. Obciągnęła spódnicę, czując, jak bardzo jest rozpalona, i odetchnęła głęboko. Nareszcie zdobędzie wytęsknionego, od tak dawna pożądanego Thomasa!

O mały włos, a zapomniałaby o książce, złapała ją w ostatniej chwili i prędko pobiegła przez pokoje. Zatrzymała się przed drzwiami bawialni, w której na nią czekał, jeszcze raz głęboko odetchnęła i weszła.

Thomas natychmiast coś wyczuł, nie mógł tylko pojąć, co to takiego. Kiedy Griselda stanęła w drzwiach i odstawiła świecznik, przyjrzał się jej pełnej nadziei twarzy. Przeraziła go własna reakcja. Boże, byle tylko ona w niczym się nie zorientowała! Wszak ta kobieta jest godna pożądania, wręcz kusząca, skąd bierze się to uczucie, moje ciało... Ściągnął mocniej poły surduta. Byle tylko niczego nie zauważyła, bo ja... ja... Och, nie, dokąd kieruję swoje kroki, jej cudowna postać mnie przyciąga, nie mogę się jej oprzeć, muszę jej dotknąć, ona mi tego nigdy nie wybaczy!

Ale Griselda zaskoczyła go. Z błogim uśmiechem, podszytym wyrazem diabelskość na twarzy, i ze spojrzeniem wbitym w jego przesłonięte biodra, zaczęła delikatnie podnosić spódnicę. Jeszcze trochę i jeszcze...

Thomas nie mógł oderwać od niej wzroku, odychał ciężko, gwałtownie, miał wrażenie, że przyrodzenie zaraz mu eksploduje. Spod spódnicy wyłoniły się krzywe, pokryte wypukłymi żyłami uda, ale jemu wydawało się, że nigdy nie widział nic piękniejszego na świecie. Musiał przytrzymać się stołu, bo kolana się pod nim ugięły.

Griselda uradowana wpatrywała się w nabrzmiałe spodnie, jednym ruchem podciągnęła suknię aż do pasa. Oczy Thomasa robiły się coraz większe i większe, nie mógł oderwać od niej wzroku, nie mógł napatrzeć się do syta na cudowności, jakie przed nim obnażyła, nie widział wałków tłuszczu na brzuchu ani obwisłych piersi. A raczej widział to wszystko, lecz odbierał jako cudowne.

Griselda dostrzegła jego reakcję. Wprawnym ruchem rozpięła mu pasek i ściągnęła spodnie. Pomógł jej w tym, nagle bowiem bardzo zaczęło mu się spieszyć. Twarz pragnęła dotrzeć do źródła owego uwodzicielskiego zapachu, lecz kobieta odsunęła go i ujęła w dłoń to, na czym tak bardzo jej zależało. Nagle oboje znaleźli się na sofie, on ze spodniami wokół kostek miał wrażenie, że nie zdąży. Zaczął krzyczeć i zaraz doczekał się pomocy, kobieta swobodnie się pod niego wsunęła.

W oszołomieniu usłyszał jej jęk. „Nareszcie, nareszcie zwyciężyłam. On jest mój, tamte mogą sobie robić co chcą”. Lecz te słowa nie miały dla niego żadnego znaczenia, krew w żyłach wrzała mu niczym lawa na dnie wulkanu. Odnosił niejasne wrażenie, że

towarzyszy im ktoś jeszcze, jakaś istota siadła mu na plecach, śmiejąc się perliście zsunęła się w dół i wdarła weń od tyłu. Thomas jednak skoncentrowany był wyłącznie na owej cudownej kobiecie, spoczywającej w jego objęciach, która krzyżąc z rozkoszy odpowiadała na jego ruchy tym samym rytmem.

A potem Griseldzie przydarzył się drobny wypadek. Rozkosz, jakiej doznała, była tak silna, że odebrała jej przytomność.

Thomas z początku tego nie zauważył, kiedy jednak wycieńczony usiłował zacząć myśleć, nie bardzo mogąc nad sobą zapanować, zorientował się, że kobieta pod nim zwiotczała.

Griselda nie zdołała więc zesać na niego zapomnienia, jak powinna była zrobić. To stało się przyczyną jej katastrofy.

Thomas wstał, pleć Griseldy wciąż pachniała zwierzęcą chucią, teraz jednak ten zapach przyprawił go o mdłości. Obudził się w nim szczerzy gniew. Widział, że kobieta oddycha, a więc jej nie zabił, jak przypuszczał z początku, ale cóż on zrobił? Co w niego wstąpiło, niczego nie mógł pojąć.

Na wpół przytomny zachwiał się na nogach, zaplątał w spodnie i prędko je naciągnął.

Musi się stąd wydostać, brakowało mu powietrza, musi się wypowiedać przed pastorem, zhańbił kobietę, ale nie, przecież ona była chętna, to ona zaczęła, ale mimo wszystko...

Zamroczonego pomylił drzwi i znalazł się w jakimś innym pomieszczeniu, znalazł świecznik i kolejne drzwi. Tu musi być wyjście.

Młody Thomas czuł się tak źle, a miało być jeszcze gorzej!

Przerażony patrzył na pokój, w którym się teraz znalazł. Cóż, w imię niebios, to może być?

Tajemnicze wywary, suszone części ciała zwierząt, księga z zaklęciami, pojemniczki, skórzane woreczki, zapach przyprawiający o mdłości. Na ścianie jakaś lista, podniósł świecę do góry, nazwiska...

Z wolna świadomość stanu rzeczy docierała do niego spowijając lodowatym chłodem całe ciało. Ciało i duszę.

Nazwiska wykreślano jedno po drugim. Poznał je. Były to nazwiska tak zwanych czarownic, które zostały powieszono; w Nowym Świecie bowiem czarownice nie ginęły na stosie, czekała je szubienica. Przy jednym czy dwóch dostrzegł przy nazwisku słowo „hura”, wypisane jeszcze mocniej przyciskany piórem, a przy innym cały komentarz: „Z tą naprawdę świetnie się uporałam”.

Niektórych nazwisk jeszcze nie skreślono: Mary-Lou, żony dzwonnika, a przed nimi córki lekarza. Dalej wypisano kolejne dwa.

Thomas miał wrażenie, że za plecami słyszy jakiś dźwięk, ohydny chichot. Odwrócił się przerażony, czy to Griselda?

Nie, nie ona.

Pokój w przeważającej części pogrążony był w mroku, migotliwy blask świecy podkreślał jeszcze grę cieni w kątach, sprawiał, że wydawały się mroczniejsze, straszniejsze. Ale czy na komodzie nie siedzi jakaś nieduża postać? Ohydna istota o

szatańsko błyszczących oczach i długim, cienkim podniesionym członku? Jak nazywano takie demony? Czy to inkub?

Thomas przypomniał sobie, co wydarzyło się na sofie. Na wpół przytomny z przerażenia i obrzydzenia zerwał listę ze ściany i pobiegł z nią przez pokoje. Przez moment dostrzegł białą obwisłą skórę leżącą na sofie Griseldy i zobaczył, że poruszyła się, nie otwierając oczu. Wreszcie wydostał się na świeże listopadowe powietrze.

Biegł główną ulicą miasteczka, jakby sam diabeł deptał mu po piętach.

Niewiele, trzeba przyznać, się mylił.

3

Sędzia Swift z niedowierzaniem podniósł wzrok znad pogniecionej listy, którą trzymał w dłoni.

- Ani trochę w to nie wierzę - rzekł powoli. Twarz poczerwieniała mu z gniewu, ledwie nad sobą panował. - Griselda? Jaki masz powód, by wyrządzać naszej drogiej Griseldzie taką krzywdę? Ona przecież tyle łoży na parafię i nigdy o nikim źle nie mówi! Kłamiesz, młody człowieku!

- Przysięgam - jękał się zrozpaczony Thomas. - Przysięgam na zbawienie własnej duszy! Sędzia zadzwonił na służącego i nakazał mu wezwać pastora, a dla pewności również szeryfa.

- Ależ trzeba się spieszyć - jęknął Thomas, wciąż zdyszany po biegu. - Zanim ona wszystko uprzątnie.

Po raz kolejny napotkał niedowierzające, niemal rozzłoszczone spojrzenie sędziego. Dlaczego on mi nie wierzy, przeraził się. Głośno zaś począł tłumaczyć:

- Ze względu na Mary-Lou i wszystkie następne ofiary, proszę uwierzyć w to, co mówię!

- To nonsens! Twoje wymysły zasługują na potępienie.

- Uważa pan, że wymyśliłbym coś tak okropnego? W dodatku przyznając się do własnego nieprzyzwoitego zachowania?

- A jak sądzisz, dlaczego wezwałem pastora i szeryfa? - szorstko spytał sędzia. - Proszę trzymać straż pod drzwiami i dopilnować, aby ten młodzieniec się stąd nie wydostał! - nakazał swemu człowiekowi.

Thomas nie wierzył własnym uszom. Usiłował protestować, lecz nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. W tym momencie zrozumiał, jak musiały się czuć oskarżone kobiety. Bez względu na to, co mówiły, i tak władze uznawały ich słowa za bluźnierstwo.

Pastor i szeryf przybyli prędko, niemal jednocześnie. Thomas, nie bacząc na drwiący wyraz twarzy sędziego, musiał powtórzyć całą swą niesamowitą historię. Wprawdzie opuścił najbardziej przykre momenty, lecz i tak dostatecznie się zblamował.

- To niemożliwe! - głośno zawołał pastor. - Nasza droga Griselda została tak strasznie zhańbiona!

- Niemożliwe - powtórzył szeryf kategorycznym tonem. - Chcesz oczernić kobietę o najgorętszym sercu w miasteczku? Mielibyśmy skazać i zgładzić wszystkie te niewiasty wyłącznie za sprawą jej humorów, jak twierdzisz? To ci dopiero!

Thomas podsunął im listę pod nos.

- Popatrzcie sobie na to i zastanówcie się!

- Pani Jones - cierpko przeczytał sędzia. - A cóż takiego Griselda mogła mieć przeciwko swojej miłej sąsiadce?

- A czy pani Jones nie dostała tego kawałka dodatkowej ziemi, na którym Griselda chciała zasadzić rzepę? Następna Evelyn Smith. Czy nie wygrała konkursu na najlepsze ciasto, w którym Griselda zajęła drugie miejsce? Dalej Milly, prześliczna dziewczyna, a z cudzą urodą, uwierzcie mi, Griselda nie potrafi się pogodzić.

- Zastanów się, to przecież błahostki! Muszę przyznać, młody człowieku, że nie spodziewałem się po tobie takiego zachowania. Czy wiesz, że we Francji na stosie giną także czarnoksiężnicy? Męskie odpowiedniki wiem. Zastanów się nad tym!

W słowach tych kryła się bezpośrednia groźba. Thomas czuł się przyparty do muru, lecz myśl o młodzieńczej Mary-Lou, osadzonej w areszcie i niczego nie rozumiejącej, skłoniła go, by obstawał przy swoim. A na wspomnienie Griseldy ciarki przechodziły mu po plecach.

- Powtarzam, że ona ma tajemną komnatkę. Jeszcze za pokojem, który jest za bawialnią. Byłem tam, nie możecie mi uwierzyć?

Oni jednak nie chcieli słuchać.

- Siedem kobiet powieszono, ponieważ należały do sekty czcicieli diabła, wśród nich były pani Jones i Milly. Chcesz, aby taka ohyda wciąż się panoszyła w naszym miasteczku? Chcesz, byśmy powiesili najczystsza z nich wszystkich? Ja, Griseldę, która z własnej kieszeni łożyła na utrzymanie moich ludzi, na materiały do budowy szubienicy, na nową chrzcielnicę w kościele...

- Mówię tylko, co widziałem - jęknął Thomas zmęczony i zrezygnowany. - Opowiedziałem wam, co znajduje się w sekretnej izdebce, tyle ile zdążyłem zauważyć, ale nie wspominałem o najgorszym. W tym pokoju znajdowała się jeszcze inna nieduża istota. Prawdziwy... inkub?

- Czyś ty całkiem postradał zmysły, chłopcze? - wrzasnął sędzia.

Pastor zachował milczenie. Wspomnił nieprzyjemne uczucie, które zawsze wydawało mu się cieniem sennego koszmaru. Sen rozgrywał się w zakrystii i był niezwykle bluźnierczy, pastor nienawidził nawet wspomnienia o nim. Uczestniczyła w nim również Griselda i pastor zawsze przy spotkaniu z nią odczuwał wstyd. A jeśli ona wiedziała? Pamiętał jedynie niewyraźne szczegóły, cienkie siwożółte włosy Griseldy przy swojej twarzy, zapasowe kandelabry, które się wywracały, i zapach, ten oszałamiający, budzący pożądanie zapach.

Nic więcej, lecz to i tak było już dostatecznie ohydne.

Opowiadanie Thomasa pasowało do wspomnień pastora. Ogarnęły go mdłości. Było to wtedy, gdy został z Griseldą sam w kościele, pomagała mu w przygotowaniach do jutrzni, która miała zostać odprawiona następnego dnia, weszli do zakrystii...

I tam właśnie wydarzyło się coś dziwnego, tak, właśnie wtedy, teraz już sobie przypominał. Nagle znów znalazł się w kościele, Griselda zniknęła, a on nie mógł pojąć, jak to możliwe, że scena zmieniła się tak prędko. Czuł się wycieńczony i obolały, musiał przysiąść na jednej z ławek. Nagła utrata pamięci, pomyślał wtedy, a w najgorszym przypadku jakiś nieduży udar.

Lecz jeśli wydarzenie to miało związek ze „snem” i z historią opowiedzianą przez Thomasa?

- Szeryfie, pójdzie pan tam - zdecydował. - Proszę zabrać też kilku porządnych ludzi. Sam nie chciał mieć z tym do czynienia.

- Oszałałeś, pastorze? - prychnął sędzia. - Wierzysz w to, co mówi ten szaleniec?

- Nie - skłamał pastor. - Właśnie dlatego, że nie wierzę, chcę, abyśmy zdobyli dowody, że w domu tej dobrej kobiety nie ma żadnego takiego pomieszczenia, i raz na zawsze uwolnili ją od zarzutów. Wiecie przecież, jak łatwo można w miasteczku rozpuścić plotki.

- Słusznie. Szeryfie, proszę iść bez zwłoki. Albo zaraz, ja także się do was przyłączę. Mój pracownik dopilnuje, by Thomas nie uciekł. Idziesz z nami, pastorze?

Ale dobry ojciec kościoła wymówił się wizytą u konającego.

Thomas odetchnął z ulgą. Dzięki ci, dobry Boże, pomyślał - nieco za wcześnie.

Griselda, nasycona i pewna siebie, siedziała na brzegu sofy, rozkoszując się wspomnieniami. Thomas Llewellyn należał teraz do niej. Nic nie szkodzi, że nie była przytomna, kiedy odchodził, on nie musi zapominać wszak o tych chwilach, przeciwnie - będzie wracał do nich z radością i niebawem znów przyjdzie. Będzie przychodził często. W zapadającym zmierzchu dostrzegła pięciu zbliżających się mężczyzn. Maszerowali zdecydowanie, ich kroki głucho odbijały się od pokrytej śniegiem ziemi. Poderwała się. Czego oni tu szukają? Prędko niczym myśl pomknęła w głąb domu i zamknęła na klucz drzwi do tajemnej alkowy. Dla pewności zastawiła je jeszcze pustą szafą. Miała wprawę, robiła to już tyle razy wcześniej. Poprawiła jak mogła ubranie, włosy zawiązała w skromny węzeł na karku, a potem otworzyła drzwi i powitała ich z uśmiechem.

- Jakaż miła wizyta! Drogi szeryf i sędzia Swift, cóż za zaszczyt dla moich skromnych progów!

Trzech pozostałych nie wymieniła z nazwiska, byli wszak tylko prostymi wieśniakami.

Sędzia odezwał się zakłopotany:

- Otrzymaliśmy bardzo nieprzyjemne zgłoszenie, droga Griseldo. Młody Llewellyn przyniósł zaiste szalone plotki. Nasz wielbny pastor uznał, że musimy uczynić wszystko, by oczyścić cię z tych płynących ze złego serca oskarżeń.

Griselda straszliwie pobladła pod szminką. Thomas? Jej zwierzyzna, jakże śmiał...?

Przecież był taki rozpalony, tak samo rozochocony jak ona. Nie mógł podejrzewać użycia maści, nie domyślał się przecież nawet jej istnienia. Dlaczego miałby ją oskarżać? Nie mogła niczego pojąć. Wiedziała jedynie, że ją oszukał, zdradził. Z całych sił starała się powstrzymać okrzyk wściekłości. Rozczarowanie wprost w niej wrzało.

- Nie pojmuję - rzekła łagodnie. - Co może mnie łączyć z tym młodym człowiekiem, ledwie go znam? Odprowadził mnie wczoraj do domu, bardzo to miłe z jego strony, ale... Oskarżenia, powiadacie. Jakiego rodzaju oskarżenia?

- Owszem, wiem, że to zabrzmie śmiesznie, ale ów młody człowiek twierdzi, że uprawiasz czary, Griseldo. Ze masz izdebkę, która...

Czym też zajmował się ten nędznik, podczas gdy ona leżała nieprzytomna, rozkoszując się swym najwspanialszym spełnieniem? W dodatku sędzia wymachuje jej przed nosem własnoręcznie przez nią sporządzoną listą!

Ach, nie! A więc Thomas zaglądał do jej tajemnej komnatki! Teraz dobre rady były w cenie.

Maść, maść, otworzę woreczek. Pokażę im zaraz cudowny taniec. Wszyscy oszaleją, będą walczyć o mnie jak kocury, a potem sprawię, że o wszystkim zapomną.

Niestety, zostawiłam sakiewkę tam, w środku, i tak starannie się umyłam.

Griselda ledwie mogła oddychać. W głowie jej się kręciło, rozpaczliwie szukała słów, znów była bliska utraty przytomności.

Wreszcie wydusiła z siebie:

- Ależ to nieszczęśliwy młodzieniec! Cóż za straszne pomysły snują mu się po głowie? Co to za lista? Nie znam jej. I jakaś tajemnicza izdebka, moi panowie? Gdzieżby miała być? Proszę, przeszukajcie dom, to nie potrwa długo.

Sędzia, wciąż onieśmielony, pokiwał głową.

- Tak właśnie mówił nasz drogi pastor. Prosił, abysmy to zrobili, by udowodnić fałszywość tych oskarżeń.

Pastor? A więc pastor pozwolił, by przeszukali jej dom? Czyżby pamiętał tamten wieczór w zakrystii? Może zaklęcie zsyłające zapomnienie straciło moc?

Towarzyszyła im, gdy oglądali kolejne pomieszczenia. Wieśniacy, niczego nie podejrzewając, pominęli szafę, szeryf jednak oglądał wszystko starannie. Chcąc odwrócić jego uwagę, Griselda zaproponowała wesoło:

- Czy mogę panów zaprosić na herbatę i ciasto melasowe?

Popełniła wielki błąd, bo szeryf zaraz podchwycił:

- Właśnie. Widzę, że miała pani gościa. Młody Llewellyn twierdził, że był u pani na herbacie.

- Ależ nie, nie przychodził tutaj - zaprzeczyła. - Gościłam jedną z sąsiadek.

Przesunęła się nieznacznie w tył i wzięła swoją torebkę uplecioną z rzemyków. Wsunęła ją do przepastnej kieszeni swojej szerokiej spódnicy. W torebce tej przechowywała część przedmiotów niezbędnych każdej czarownicy w ich codziennym życiu, a przede wszystkim w ich wyprawach.

Ale szeryf wciąż przyglądał się szafie. Otworzył ją i rzuciło mu się w oczy, jak bardzo źle jest wykorzystana. W środku stało zaledwie kilka lekkich rzeczy, właściwie zupełnie niepotrzebnych.

Zapomnienie! Musi zesaść na nich zapomnienie, i to jak najprędzej, żeby wyszli stąd wreszcie i zostawili ją w spokoju.

Niestety Griselda zawładnęła paniką, a aby zesaść na człowieka niepamięć, potrzeba niezwyklej koncentracji i paru rzeczy, które leżały teraz nieosiągalne w izdebce za szafą. Nie zdołała się skupić na starym zaklęciu.

- Jeśli skończyliście już oglądać, to.. - zaczęła wesoło.

- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział szeryf ze złowieszczym spokojem i podniósł do góry rękę.

Wyjrzał przez okno, znów skierował wzrok na szafę.

- Nie bardzo to rozumiem... Brown, pomóż mi z tą szafą. Wydaje mi się, że za nią jest jeszcze coś.

Griselda przesunęła się w stronę drzwi, tam jednak stał sędzia.

- Chciałabym tylko.. - zaczęła.

- Oczywiście, idź, Griseldo, sami sobie z tym poradzimy.

- Nie, zatrzymajcie się! - zawołał szeryf. - Nie pozwólcie jej się wymknąć!

- Co masz na myśli? - spytał urażony sędzia, ale nie cofnął się od drzwi.

Griselda próbowała się precyzyjnie, lecz szeryf zaraz do niej doskoczył. Złapał ją za rękę i poprowadził do szafy, którą zdołali już odsunąć na bok. Wyłoniła się zza niej futryna.

- Przeklinam was wszystkich! - krzyknęła Griselda, tracąc panowanie nad sobą. - Oby spadły na was wszelkie nieszczęścia tego świata!

Przerażona nie zdołała jednak zmobilizować siły woli i myśli niezbędnej, by przekleństwo podziałało. Jedynie dwaj wieśniacy zdrętwieli ze strachu, gdy zdali sobie sprawę, jaka zwierzyna wpadła im w ręce. Nie byli w stanie się ruszyć ani w niczym pomóc Trzeci z chłopów jednak, bardziej opanowany, wykonał ostatnią część pracy. Ciężar zresztą nie był zbyt wielki, Griselda wszak sama radziła sobie z meblem.

Ciągle mam przecież klucz, myślała rozgorączkowana. Nie dostaną się tam.

W głębi ducha jednak przeczuwała, że przegrała tę walkę. Straciła jednak opanowanie i wymówiła przekleństwo. Dlaczego, dlaczego nie trzymała języka za zębami?

Cóż, wiedziała, co było tego powodem. Szeryf wszak powiedział właśnie, że to młody Llewellyn upierał się przy istnieniu ukrytej izdebki na tyłach pokoju, w którym się znajdowali

Thomas?

Przeklęty szeryf! Rzuci na niego najstraszniejszy urok, jeśli tylko dadzą jej czas na zastanowienie.

Ale to Thomas ją zdradził, ten diabeł, odpowie za to, zobaczy... Ale co też oni robią?

Szeryf i ten nieznośny energiczny wieśniak zajęli się wyważaniem drzwi! Nie wolno im tego robić! Zaklęcie! Jakiego zaklęcia powinna użyć?

Za późno! Drzwi zostały już otwarte.

- O Jezu! - jęknął jeden z odrętwiałych chłopów.

Sędzia rozejrzał się po izdebce, a potem popatrzył na Griseldę. Jego spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego.

A ją wreszcie opuściło odrętwienie. Z sykiem odmówiła zaklęcie skierowane do najbliższego stojącego mężczyzny, jeden ze słabych chłopów zeszytniał, zamienił się w słup soli, nie mógł ruszyć palcem ani nawet mrugnąć powiekami. Wpatrywał się w nią tylko jak zaczarowany.

Następny, sędzia.

- Dość tego! - krzyknął szeryf. Złapał jakąś część garderoby leżącą na krześle, wyglądało to na czarną koszulę, i zarzucił ją na głowę Griseldy. - Użyjcie pończochy jako knebla, ta kobieta jest śmiertelnie niebezpieczna! - polecił silnemu wieśniakowi, który usłuchał go, nie zwlekając.

Griselda, zakneblowana i oślepiąca, nie ustawała we wścieklej walce, lecz mężczyźni byli zbyt silni.

Odpowiedz mi za to, Thomasie, myślała tylko, gdy wyprowadzano ją z domu. Z głowy usunięto jej czarną halkę, żeby nie potykała się, idąc na oślep po nierównej drodze, ale knebla z ust nie wyjęto. Nie życzyli sobie widać kolejnych przekleństw.

Żaden ze strażników nie śmiał spojrzeć czarownicy w oczy, choć zniecierpliwiona próbowała pochwycić wzrok to jednego, to drugiego. Żaden jednak nie chciał ulec jej mocy.

4

Pastor i Thomas stali przy oknie w domu sędziego, gdy dostrzegli nadciągającą ulicą gromadkę ludzi. Żaden z nich nie przejawiał ochoty, by wyjść im na spotkanie. Obaj woleli pozostać ukryci w mroku pokoju.

Pastor zerknął na Thomasa z boku.

- Nigdy nie mogłem pojąć, jak to możliwe, że jesteś Walijszym - mruknął. - Wcale ich nie przypominasz.

- To prawda - odparł Thomas, przyglądając się z rosnącym zaniepokojeniem sześciorgu ludziom, wyłaniającym się z wieczornych ciemności. Zauważył, że mężczyźni prowadzą Griseldę między sobą. - Podobno ojciec mojej babki po mieczu był szyprem i przywiózł sobie narzeczoną z południa.

- Przypuszczam, że rzeczywiście tak było.

Kiedy grupka idąca ulicą mijala dom sędziego, obaj mężczyźni mechanicznie odsunęli się od okna. Griselda jednak jakby wyczuła ich obecność, skierowała bowiem spojrzenie w ich stronę. Thomasowi wydawało się, że jej oczy płoną nieugiętą nienawiścią.

To jednak musiało być przywidzenie. Światło było zbyt słabe, by dostrzec wyraz jej oczu. Nie można powiedzieć, że nie żałował tego, co zrobił. Ale ze względu na Mary-Lou zmusił się, by przekazać sędziemu swoje odkrycia, chociaż właściwie z natury nigdy nie był odważny. Rzadko miał śmiałość przedstawić własne opinie, wolał chować się za plecami innych, a jednak myśl o samotnej Mary-Lou sprawiła, że pognał przez miasteczko, zanim zawładnął nim wstyd, zmuszający do milczenia.

Wiedział teraz, że stawką w grze było życie Mary-Lou albo jego. Gdyby cofnął wszystko, co powiedział o tej odrażającej Griseldzie, być może zdołałby ocalić własną skórę, lecz Mary-Lou byłaby zgubiona.

Ach, ale o czymże on myśli? Za późno, by żałować. Ludzie szeryfa zapewne odnaleźli tamtą izdebkę.

Stał się teraz łupem Griseldy. Wszystko zależało od tego, na ile silna jest jej czarodziejska moc. Może była po prostu zwyczajną czarownicą zajmującą się przygotowywaniem trucizn, a on w oszołomieniu, w delirium, miał zwyczajnie wizję?

- Inkub? Ach, mój Boże, co to za pomysł? - jęknął głośno.

Pastor, któremu nagle przypomniało się, że wymawiał się wizytą u konającego, lecz wiedziony czystą ciekawością został w domu sędziego, wkładał właśnie płaszcz z zamiarem wyjścia.

- Tak, tak, wydawało mi się, że zbyt daleko się posuwasz w oskarżeniach wobec tej kobiety. Czy w ogóle wiesz, co to jest inkub?

Owszem, Thomas świetnie to wiedział. Inkub to nieduży zły duch, demon, niewolący czarownicy podczas snu. Z takiego związku może narodzić się diabeł w ludzkiej skórze. Demony, przybierające postać kobiety i dręczące pastorów i mnichów, nazywano sukubami.

- O, tak, wiem - odparł krótko. - Byłem głupi

- Pod działaniem jakichś środków - stwierdził pastor. - Dobranoc.

Thomas został przy oknie. Pochód zniknął z ulicy, pogrążonej już w zupełnej ciemności. W kilku oknach zapaliły się lampy. Czarna postać duchownego sunęła spiesznie po białoszarym śniegu

Wkrótce zapanował spokój.

- Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad moją nieszczęsną duszą - wyszeptał Thomas Llewellyn.

Zaczął się już tego samego wieczoru, zaraz gdy tylko położył się spać. Przede wszystkim trudno mu było zasnąć, wciąż obracał w myślach owe niesamowite, niewiarygodne wydarzenia i wydawało mu się, że w kątach sypialni widzi rozchichotane twarze szczerzących zęby demonów.

To jednak były oczywiście jedynie wytwory pobudzonej wyobraźni. Po jakimś czasie udało mu się wreszcie zapaść w sen.

Po to tylko, by obudzić się chwilę później od huku, jaki rozległ się w jego głowie.

Wewnętrzny wzrok ujrzał rozwścieczone oblicze Griseldy.

Mówiła coś do niego, niewyraźnie, jak to zwykle bywa w snach. Thomas usiłował zrozumieć słowa, lecz były one tylko wiązką niespójnych dźwięków. Z trudem chwytając oddech usiadł na łóżku

- Spieszcie się - szepnął zdyszany w mrok. - Spieszcie się, szeryfie, sędzio i pastarze! Usunąć ją z powierzchni ziemi, czym prędzej!

Noc ciągnęła się dalej tak, jak się zaczęła. Thomas zasypiał i zaraz się budził, wciąż mając przed oczami ten sam przerażający obraz. Wykrzywioną twarz Griseldy, która coś do niego mówiła.

Wreszcie o świcie udało mu się zapaść w sen i spał nawet dość długo, aż do czasu kiedy musiał spotkać się z uczniami. Wieczorem dowiedział się, że Mary-Lou i pięć innych kobiet osadzonych w areszcie w oczekiwaniu na wyrok miało wrócić na wolność.

Dotychczas żadnej z poprzednio oskarżonych nie uwolniono od obwołania czarownicą i wszystkie zostały zgładzone.

Dopiero teraz.

Uwolnienie oskarżonych miało nastąpić nazajutrz w południe. Thomas postanowił zająć się Mary-Lou. Niełatwo jej wszak będzie odzyskać równowagę.

Kolejna noc okazała się straszniejsza niż pierwsza. Twarz Griseldy przysuwała się jeszcze bliżej, wyczuwał jej zgniły oddech, towarzyszący wypluwanym przez usta przekleństwom, z których nie rozumiał ani słowa. Thomas modlił się do Boga i do wszystkich dobrych mocy, jakie tylko był w stanie sobie przypomnieć, na przemian czynił znak krzyża, mieszał religie, ale nie upatrywał w tym niczego złego. Oby tylko pomogło. Niestety, tak się nie stało.

Nazajutrz po godzinie dwunastej stanął wycieńczony przed bramą więzienia. Zdawał sobie sprawę, że wygląda strasznie, oczy miał podkrażone, twarz bladą i ściągniętą. Ale uczesał porządnie długie ciemne włosy i ubrał się jak na uroczystość. Chciał bowiem jak najpiękniej przywitać Mary-Lou, powracającą do życia.

Dziewczyna wyszła wraz z innymi niewiastami, tak samo jak one nic nie rozumiejąc. Nie powiedziano jej bowiem, co się wydarzyło, żadna nie wiedziała o udziale Thomasa w ich uniewinnieniu, co nie przeszkadzało im radować się głośno takim obrotem spraw. Na szczęście dzwonnik przyszedł po swoją żonę, inaczej Thomas musiałby się zająć również nią. Teraz mógł się całkowicie poświęcić młodziutkiej, bezradnej Mary-Lou. Czas spędzony w więzieniu nie wyszedł jej na dobre, to było jasne. Zagubienie widoczne wcześniej na jej twarzy jeszcze się pogłębiło, wyglądało na to, że dziewczyna straciła ostatnie resztki poczucia własnej wartości. Szła z pochyloną głową, jak gdyby oczekiwała, że zaraz spadną na nią ciosy. Thomas musiał więc zmobilizować całą swą życzliwość i sympatię, by choć trochę jej pomóc.

- Już po wszystkim, Mary-Lou - rzekł łagodnie, z czułością obejmując ją za ramiona. Uspokajanie jej trwało przez pół drogi przez miasteczko, wreszcie jednak dziewczyna zdobyła się na krótki żaloszny uśmiech.

- Nie wiem, czy zatrzymają mnie w pracy w gospodzie - powiedziała. - Lubię tam pracować, wynosiłam zlewki, zmiatałam ulicę przed gospodą, szorowałam podłogę w kuchni, kucharka czasami się na mnie złościła i poszturchiwała, bo jestem przecież taka głupia, a i tak pracowałam. Ale teraz nie wiem, jak będzie. Jestem przecież napiętnowana.

- Wcale nie, całe miasteczko wie, że jesteś niewinna.

- Pan jest taki miły, panie Llewellyn - wyszeptwała Mary-Lou, patrząc na niego z podziwem.

Ojej, zaniepokoił się Thomas, nie można dopuścić, żeby się we mnie zakochała, będzie tylko niepotrzebnie cierpieć, a nie chciałbym, żeby tak było.

Bim, bom.

Jedno jedyne uderzenie dzwonu.

Kolejna czarownica skazana. Czeka na szubienicę.

Dopiero w chwilę później, gdy skręcili na rynek, do Thomasa dotarło, że sprawa może dotyczyć bardzo szczególnej czarownicy. Wszystkie inne zostały wszak uniewinnione.

Gdy wyszli z zą węgła domu, szum, jaki podniósł się wśród tłumu, przypominał brzęczenie roju trzmieli. Thomasowi strach legł na sercu niczym ciężki kamień.

- Ach, nie - przeraziła się Mary-Lou. - Wieszają tę miłą panią Griseldę!

Thomas nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa, nie mógł ruszyć się z miejsca.

Szubienica rysowała się na tle nieba tak samo, jak przez te wszystkie lata, kiedy mieszkał w miasteczku. W ostatnim roku bardzo często jej używano. Na podwyższeniu stały dwie osoby. Kat i Griselda.

Oprawca już założył czarownicy pętlę na szyję, wyjął knebel z ust i zdjął opaskę zasłaniającą oczy. Griselda popatrzyła na gromadę ludzi, skupioną wokół niej z wyczekiwaniem. Spodziewali się, że usłyszą, jak błaga o łaskę, ale nie, nie doczekają się tego.

Jej spojrzenie przesunęło się po ludziach błyskawicznie niby jęzor węża. Z twarzy więdźmy nie dało się odczytać żadnej oznaki żalu, smutku czy błagania. Widniała na niej tylko duma i pogarda, która napełniła zebranych przerażeniem i zmusiła, by cofnęli się od miejsca kaźni.

Podczas gdy kat zajmował się ostatnimi przygotowaniem i czekał na sygnał sędziego, otworzyła usta, a jej głos zabrzmiał ostro i przenikliwie. Był zupełnie niepodobny do zwykłego łagodnego głosu Griseldy.

- Widzę, że nie ma pastora? Odmawia więc skazanej na śmierć słowa pociechy? Tak, tak, widać się boi, ten nieszczęśnik, który pełza przed martwym Bogiem. Pastor, który tak pożądliwie upajał się moim winem miłości, teraz trzyma się z daleka.

W istocie mówiła prawdę. Pastor obawiał się konfrontacji z czarownicą.

Griselda podjęła tym samym pogardliwym tonem:

- Wszyscy wy, nędzne robaki, wydaje wam się, że widzicie mnie po raz ostatni? O, nie! Ja wrócę! Wrócę, powtarzam, i to szybciej, niż się spodziewacie. Zemsta bowiem należy do mnie, zemsta na was, nędznicy, i na tym, który był niczym wąż u mej piersi. Nic mnie nie powstrzyma, nie! Jestem bowiem nieśmiertelna, ja, najpierwsza uczennica mego pana!

Wśród zgromadzonych podniósł się jęk przerażenia. Niejeden uwierzył w jej słowa.

Pełne nienawiści spojrzenie wiedźmy odnalazło wreszcie tego, kogo szukało, i złe oczy zmieniły się w wąskie szparki.

Griselda dobrze wykorzystała krótki czas, jaki spędziła w areszcie. Inni więźniowie skarżyli się na monotennie odmawiane zaklęcia, jakie dobiegały z jej celi. Dniem i nocą musieli wysłuchiwać jej okropnych słów, ciekawi przy tym, co robi. Strażnicy jednak, którzy zeszli, by to zbadać, nigdy niczego nie znaleźli.

Prawda była taka, że nie śmieli zanadto się do niej zbliżyć, inaczej prędko by się zorientowali, że wiedźma zajęta jest swoją uplecioną z rzemyków torebką i jej zawartością. Gdy tylko ktoś podchodził, chowała wszystko do obszernej kieszeni, lecz kiedy zostawała sama, rozplątywała splecione w warkocze rzemyki i tworzyła nowe, zawiązując na nich czarnoksięskie węzły. Tak zawiłe, że nikt chyba nie potrafiłby ich rozplatać, gdyż zabrakłoby mu mądrości i przede wszystkim cierpliwości.

W nowym woreczku z rzemyków umieściła wszystkie magiczne środki, które chciała tam widzieć. Każdej wkładanej rzeczy towarzyszyło zaklęcie bądź też odmówienie specjalnej czarnoksięskiej formuły. Kiedy skończyła pracę, zasupłała kolejne węzły i odprawiła nad nią jeszcze inne magiczne rytuały.

Torebkę wsunęła w sam kąt, najgłębiej jak się dało pod pryczę, na której spała. Nieduża sakiewka nie rzucała się w oczy.

- Nie od razu ją zauważą - mruknęła sama do siebie. - Upłynie pewien czas, a potem... Znam ludzką ciekawość i wiem, że ten, kto ją znajdzie, spróbuje otworzyć. Nie będzie to proste, ale on się uprze i nie zrezygnuje. I wreszcie będę wolna! Zacznę wszystko od nowa, nie żyję wszak po raz pierwszy, miałam już przecież do czynienia z przesądnymi ludźmi z dawno minionych stuleci. Rządziłam nimi z ukrycia, byłam już palona na stosie, wbijana na pal i wieszana. Tylko po to, by wrócić za pomocą podobnej skórzanej sakiewki. To w niej mieści się moja dusza i jej ponowne przebudzenie.

Dlatego właśnie, gdy prowadzono ją na szubienicę, nikt nie zobaczył w niej śmiertelnie przerażonej, skruszonej grzesznicy. Griselda już cieszyła się na myśl o tym, jak zemści się na głupcach z miasteczka. Gdy jednak przypominała sobie przystojnego młodzieńca,

którego wybrała na przyszłego kochanka, a który tak niewybaczalnie ją zdradził i odrzucił jej miłość, twarz jej pociemniała z nieprzeblaganej wściekłości.

Odnalazła go w tłumie. Stał błądy z tyłu, opierając się o ścianę jednego z domów.

Na Thomasa niczym błyskawica padło najbardziej nienawistne spojrzenie, jakie kiedykolwiek miał okazję widzieć. Nikt chyba by nie uwierzył, że może istnieć aż tak straszna nienawiść.

- Thomasie Llewellyn! - wrzasnęła Griselda chrapliwym ze wzburzenia głosem. Nie ma bowiem bardziej niebezpiecznej istoty niż odrzucona kobieta, a jeśli ponadto jest czarownicą, jej przekleństwo razi jeszcze dotkliwiej. - Ty szumowino, najnędniejsza istota na ziemi, posmakowałeś już trochę mojej zemsty, a możesz być pewien, że to nie koniec! Sądzisz, że ci nieszczęśnicy mogą zapobiec temu, abym cię nawiedzała?

Wydaje ci się, że śmierć mnie powstrzyma?

Kat usiłował naciągnąć na głowę Griseldy czarny worek, lecz ona, chociaż miała ręce związane na plecach, a na szyi pętlę, wciąż jeszcze zachowała dość sił, by odepchnąć go ramieniem. Musiał się podeprzeć, by nie zlecieć z podwyższenia.

Thomas rozglądał się za Mary-Lou, chcąc ją chronić, ale dziewczyna dawno uciekła.

Griselda nie zakończyła jeszcze rozprawy ze skamieniałym Thomasem. Głos jej brzmiał teraz jak grad uderzający o blaszany dach. Czuła bowiem, że czas ucieka.

- W imieniu mego mrocznego władcy przeklinam cię, Thomasie Llewellyn! Dniem i nocą będziesz żałował strasznego występku, jaki popełniłeś przeciwko mnie. Mogłam dać ci wszystko, bogactwo, chwałę, mam bowiem za sobą potężnych obrońców, ale ty odrzuciłeś moje względy. A jeśli wydaje ci się, że twoja śmierć uwolni cię ode mnie, to wiedz, że się mylisz! Później także nie przestanę cię ścigać. Nigdy nie będziesz miał spokoju, nawet w grobie!

Kat nareszcie zyskał nad Griseldą przewagę, a Thomas wyrwał się z odrętwienia.

Odwrócił się na pięcie i uciekł, dotarł jednak do niego, choć stłumiony czarnym workiem, jej ostatni krzyk.

- Nie zdołasz ukryć się przede mną, Thomasie zdrajco! Zawsze cię odnajdę, zawsze! Nigdy nie zaznasz spokoju, ani za życia, ani po śmierci!

Gdy przerażony dobiegł do następnego domu, usłyszał głuchy dźwięk opadającej zapadni szubienicy. Doszło go również jednogłośnie westchnienie zgromadzonego tłumu, jęk strachu pomieszanego z zachwytem.

Tym razem jednak nikt nie próbował nawet zbierać pamiątek po powieszonej, nikt nie ośmielił się do niej zbliżyć.

Poszeptywano później, że ten i ów widział w momencie śmierci wiedźmy jakieś niezwykle istoty unoszące się w powietrzu wokół szubienicy. Były to, rzecz jasna, tylko wytwory wybujałej wyobraźni i przywidzenia. Ale kat zmarł zaledwie w miesiąc później. Sędzia zrezygnował ze stanowiska, nikt nie mógł pojąć, dlaczego. Szeryf jeszcze tego samego roku nabawił się trwałego kalectwa podczas upadku z konia, a pastor... Cóż, nigdy już nie był sobą.

Pomocnik szeryfa, do którego zadań należało utrzymywanie czystości w areszcie, za bardzo nie przejmował się swoimi obowiązkami. Po co sprzątać w kątach pomieszczeń, w których przebywali tylko przestępcy i biegały szczury?

Sakiewka Griseldy pozostała więc na swoim miejscu przez długi, długi czas. Wiele lat później pojawił się nowy pracownik, który gorliwie wypełniał polecenia. Z niesmakiem wygarnął zakurzony, spleśniały i cuchnący przedmiot, którego, o dziwo, szczury nawet nie tknęły, chociaż wyglądał na skórzany. Nie chciał dotykać obrzydlistwa, wziął je więc na łopatę i wyrzucił na śmietnik, do rowu poza murami więzienia. Przedmiot wkrótce zniknął, przykryty opadłymi liśćmi i wyrzucanymi tam odpadkami.

Thomas Llewellyn w największym pośpiechu opuścił miasteczko jeszcze tego samego dnia, w którym powieszono Griseldę. Przez wiele tygodni krążył po rozległych lasach w głębi kraju. Niekiedy nocował u Indian albo z traperami, handlarzami futer. Nawiedzały go jednak straszliwe koszmary i nocą głośno krzyczał. Towarzysze zwykle więc prosili, by się od nich odłączył.

Wydawało mu się, że widzi twarz Griseldy, ukazywała mu się wśród liści, wśród wzorów kory na drzewach, odbijała się w wodzie jezior. Nocą nawiedzała go w snach, lecz nie wiedział, czy to naprawdę ona, czy też tylko jego strach wywołuje wizje. Najczęściej śniła mu się niewidoma, szukająca czegoś kobieta, o rysach i sylwetce Griseldy, która głośno wołała jego imię. „Thomasie, gdzie jesteś?” - rozlegał się przytłumiony głos. - „Gdzie jesteś, na pewno cię znajdę!” A on we śnie bał się, że mara dostrzeże go w starym zrujnowanym domu czy też w leśnym jarze. Budził się z krzykiem zawsze tuż przed tym, jak docierała do jego kryjówki. Za każdym razem była coraz starsza i straszniejsza.

- Ach, grzeszniku, gdzie się możesz schronić? - szlochał zrozpaczony. - Zasłoń mnie, skało, schowaj mnie, lesie, i ty, ciemne jezioro!

Wiedział jednak, że nie zdoła uciec przed Griseldą. Wiedźma zdołała przeniknąć w głąb jego duszy.

Wycieńczony gorączką i głodem dotarł pewnego dnia do zamkniętej kopalni, pamiętając po jednej z wczesnych, podjętych przez imigrantów, prób wydarcia skarbów ziemi z jej wnętrza. Rozpaczliwie poszukując schronienia, ruszył grożącymi w każdej chwili zawaleniem korytarzami. Miał przy sobie ogarek świeczki, która pomagała mu się orientować, lecz siły właściwie opuściły go już na tyle, że nie wiedział, gdzie idzie. Stara drabina prowadziła w dół. Tutaj będzie miała kłopoty z odnalezieniem mnie, myślał, spuszczając się po kolejnych szczelkach.

W dole czekała go tylko beznadziejność. Zapasy jedzenia już się skończyły, organizm niczego więcej właściwie nie mógł już znieść, lecz Thomas rozpaczliwie usiłował trzymać się życia, najbardziej ze wszystkiego bowiem obawiał się tego, co może czekać go po śmierci. Wiedźma groziła wszak, że i później nie przestanie go nawiedzać, a ta myśl była gorsza niż wszystko inne. Przecież sama należała już do królestwa zmarłych.

Thomas Llewellyn zrozumiał wreszcie bezsensowność swojej ucieczki głęboko pod powierzchnią Ziemi. Skulił się na zimnej podłodze i zapłakał.

Ktoś go dotknął. Poderwał się z krzykiem, pewien, że Griselda go znalazła. Na miłość boską, chyba nie tutaj?

To jednak nie była ona. Przemawiali do niego dwaj nadzwyczajnie wysocy mężczyźni. Thomas, oszołomiony, nie zorientował się, że ich słowa są właściwie myślami rozbrzmiewającymi w jego głowie.

- Młody człowieku, czy pochodzisz z miasteczka na wschodzie? - spytali. - Tego na skraju lasu? Czy mamy cię tam zaprowadzić?

- Nie, nie! - zawołał. - Nie mam nic wspólnego z tym miasteczkiem. Byłem tam tylko przejazdem, pochodzę z południa, jestem tu obcy.

Musiał być ostrożny. Nie może dopuścić do tego, by Griselda wpadła na jego ślad poprzez tych dziwnych ludzi. Dla Thomasa wciąż była realnym zagrożeniem.

Mężczyźni postawili go na nogi, mieli mocne latarki, nigdy takich nie widział, nie przypuszczał nawet, że coś podobnego może istnieć.

- Jesteś chory - stwierdził jeden. - Pójdź z nami!

- Dokąd? Chyba nie do miasteczka.

- Nie - odparli z uśmiechem. - Do o wiele spokojniejszego, miłszego miejsca. Jak brzmi twoje imię, młodzieńcze?

Imię? Griselda mogła go teraz słyszeć. Albo oni mogli je zdradzić.

W panice wymyślił imię, które kiedyś napotkał w jakiejś książce. Wiedział, że jego cera i kolor włosów nie będą mu przeczyć. Nie miał pewności, czy wymawia je właściwie, zdawał sobie sprawę, że nie jest w pełni hiszpańskie, przypuszczał jednak, że wywodzi się z Ameryki Południowej.

- Oliveiro da Silva.

5

Indra przepelniona smutkiem pożegnania skierowała swoją gondolę w stronę miasta Zachodnie Łąki. Zawsze łagodne letnie powietrze delikatnie owiało jej twarz. Rozpoznała kwiaty charakterystyczne dla tej części Królestwa Światła: maki, chabry i rumianki. Znała je jeszcze ze świata na powierzchni Ziemi, z łagodniejszego klimatu Europy, sięgającego aż na południe Szwecji. Poza tym łąki Królestwa Światła pełne były rozmaitych kwiatów, niezwykle kolorowych, o ostrych krzyczących barwach bądź pastelowych odcieniach. Tu jednak, jak się wydawało, zasadzono ziemskie kwiaty. Indra wiedziała także, że Zachodnie Łąki to jedno ze stosunkowo nowych miast w krainie i że ziemię zaczęto uprawiać tu dość późno.

O dziwo, nie uroniła ani jednej łzy nad rozstaniem z Ramem, choć być może było to ich ostatnie spotkanie. Okazało się jednak jej zdaniem nadziemsko piękne. Miłość, którą ledwie sobie wyznali, niemożliwe do spełnienia namiętne uczucia dwóch istot różnych gatunków, z różnych światów. Człowieka i Lemura. Niechciany związek, według niepisanych praw zakazany.

Dopiero w chwili ostatecznego pożegnania powiedzieli sobie to, co najważniejsze. Ram sprawdził gondolę Indry, potem spokojnie przyciągnął dziewczynę do siebie i trzymał w objęciach w milczeniu, bez słowa. Wyczuwała jego szczerze oddanie i cierpienie.

„Nareszcie dotarłam do domu” - szepnęła.

„Ja także - odparł. - Ja także”.

Było tak pięknie, tak cudownie, że właściwie Indra powinna płakać, nad smutkiem przeważała jednak radość i pewność, że nie jest w swej miłości osamotniona.

Poczucie to napawało ją szczęściem, kiedy lądowała na łące.

Musieli się teraz rozstać, Talornin zadba o to, by więcej się nie spotykali. Będzie zlecał Ramowi zadania w innej części krainy.

Ale Ram przecież istniał i na pewno jeszcze go zobaczy. Co prawda zapewne nieprędko, zresztą nie powinna mieć nadziei, że kiedykolwiek dojdzie do czegoś między nimi, ale będzie mogła go widywać. Już tylko ta świadomość wystarczyła, by czuła się szczęśliwa. W trawie bawiły się dzieci, ich radosny śmiech napełniał powietrze niczym aromat kwiatów lub musujące wino. Kolorowa piłka potoczyła się w stronę Indry, dziewczyna złapała ją, zanim sturlała się w dół zbocza, i odrzuciła czterolatki, który biegł w jej stronę na pulchnych nóżkach. Roześmiali się oboje, kiedy chłopczyk złapał zabawkę. Niespodziewanie Indrę zakłuło w sercu. Dzieci! Nigdy nie będzie miała dzieci, bo przecież Ram i ona nie byli sobie przeznaczeni, a z kim innym chciałaby mieć dziecko? Z nikim!

Indra nie okazywała w tej chwili krótkowzroczności właściwej nastolatkom i nie uważała, że nigdy w życiu nie zdoła pokochać nikogo innego. Miłość spada na człowieka w najmniej spodziewanym momencie, właśnie przecież tego doświadczyła. Czy mogła przewidzieć, że zakocha się w Lemurze, najwyższym dowódcy Strażników, który zajmował się nią, jej krewniakami i przyjaciółmi jak ojciec, odkąd przybyli do Królestwa Światła? Chociaż... „ojciec” to niedobre określenie, „starszy brat” również. Ram po prostu był autorytetem, kimś, kto przewyższa człowieka do tego stopnia, że trudno wprost wyobrazić sobie nawiązanie z nim bliższego kontaktu. Jak można zakochać się w kimś takim? Do jakiego stopnia można być niemądrym?

Ale on odwzajemnił jej miłość. Po głębszym zastanowieniu musiała stwierdzić, że Ram podejrzanie często szukał jej towarzystwa. Na długo przed tym, zanim oszołomił ją pierwszym pocałunkiem w policzek. Mój Boże, cóż za beznadziejna historia!

Ale przy tym cudowna. Indra rozjaśniła się i zmierzwiła chłopczykowi włosy. Dopiero potem ruszyła w stronę domu Oliveira da Silvy.

Zgoda, nie była niemądrą nastolatką, w tej chwili jednak nie potrafiła myśleć o nikim innym poza Ramem, bez wątpienia wielkiej miłości jej życia.

Niech sobie przyszłość będzie, jaka chce.

Nagle zadrżała. Oliveiro da Silva.

Miała wrażenie, jakby nagle otoczył ją mrok. Wokół Oliveira jakby gromadziła się nieprzyjemna i niezdrowa atmosfera. Indra nie rozumiała tego mężczyzny i czuła, że jeśli chodzi o niego, to nie będzie w stanie spełnić żadnej misji.

Spojrząwszy na okna jego domu, dostrzegła opadające zasłony. To znaczy, że stał i jej wypatrywał. Nie najlepiej to wróży, stwierdziła.

I rzeczywiście. Z początku Oliveiro da Silva nie chciał jej wpuścić, twierdził, że wszystko jeszcze się pogorszyło. Wszystko!

- Odejdź! - zawołał zza drzwi.

- Z radością - odpowiedziała Indra. - Ale to po prostu mój obowiązek, takie otrzymałam zadanie. I chociaż nikomu z nas się to nie podoba, to ostatnio udało się nam przecież osiągnąć pewne porozumienie, prawda?

Źle trafiła, wyraziła się bardzo niewłaściwie.

- Co masz na myśli, mówiąc o swoim obowiązku i zadaniu? - spytał ostro, nie kryjąc podejrzliwości. - Co to za zadanie?

Do diaska, przyparł ją do muru!

- Mam nauczyć się czegoś więcej o Meksyku, oczywiście - próbowała go przekonać, lecz to się nie udało. Oliveira nie uwierzył jej i miał w tym pełną słuszność.

Spróbowała inaczej.

- A co chcesz powiedzieć, mówiąc, że wcześniej cię okłamałam?

Głupia, zgaśniła się w myśli. Może właśnie uważał, że przychodzi do niego z fałszywymi wymówkami

- Próbowałam się dowiedzieć czegoś więcej o tobie, Indro.

- Jestem czysta jak nowo narodzone dziecko - zapewniła. - Wpuść mnie do środka, spróbujemy to jakoś uporządkować.

- Nie ma czego porządkować, jesteś niebezpieczna.

- Ja? Niebezpieczna? Jestem łagodna jak baranek. Ale jak chcesz, nie zamierzam stać tutaj i wystawiać się na pośmiewisko. Trzymaj się! Odchodzę.

- Nie, zaczekaj! Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tobie, ale nie wpuszczę cię do domu. Ostatni czas był naprawdę straszny. Coś się wydarzyło, nie chcę...

- Nie będę stała pod drzwiami jak niegrzeczna uczennica. Przestań już wygadywać głupstwa, nie mam wobec ciebie żadnych złych zamiarów, przeciwnie. Przysięgam, że będę w stu procentach szczera, bez względu na to, o co mnie zapytasz. Jeśli ty będziesz szczery wobec mnie.

- Ja... nie mogę. Przynajmniej dopóki ci w pełni nie zaufam.

Drzwi jednak otworzył. Indra weszła do środka, nie kryjąc urazy. Oliveira odsuwał się od niej, ale zaprosił do bawialni, urządzonej po spartańsku niczym cela mnicha.

- Chcę wiedzieć - oświadczyła gniewnie, kiedy usiedli z dala od siebie - czegoż to takiego straszego dowiedziałaś się o mnie? Sama nic takiego nie widzę, przeciwnie, niekiedy żałuję, że w moim życiu nie wydarzyło się nic specjalnie ciekawego. Moje życie było niczym psalterz konfirmanta, przynajmniej prawie - dodała w zamyśleniu, mając w pamięci swoje drobne przygody przeżyte w świecie na powierzchni Ziemi

- Okłamałaś mnie, jeśli chodzi o twoją rodzinę - stwierdził zaczepnie, a z jego ciemnych oczu posypały się błyskawice.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przybyłam tu niedawno, razem z ojcem i siostrą. Moja matka i brat nie żyją, co w tym takiego straszego?

- Cóż, może nie skłamałaś wprost, lecz przemilczałaś pewne fakty.

- Innej bliskiej rodziny nie mam. Owszem, Nataniel, Ellen i Sassa są moimi dalekimi krewnymi, podobnie Marco, ale to jeszcze dalsze pokrewieństwo. I Marco to najwspanialszy...

Przerwał jej, pochylony w przód.

- Należysz do Ludzi Lodu!

- Nigdy temu nie zaprzeczałam.

- Nie, ale też i o tym nie wspomniałaś. A Ludzie Lodu to banda czarnoksiężników i więdźm!

- Banda? - wykrzyknęła rozzłoszczona. - Nazywasz nas bandą? Dobrze wiesz, że zarówno Móri, jak i Dolg to czarnoksiężnicy, a przecież są dobrymi ludźmi. Marco jest wyjątkowy, lecz to czysta dusza, cóż złego jest więc w znajomości czarów?

Oliveiro da Silva wstał.

- Chcę wiedzieć wszystko o czarownicach Ludzi Lodu. Kim są, gdzie przebywają i kiedy tu przybyły?

- O mój Boże! - westchnęła Indra i zaczęła liczyć na palcach. - Najważniejsza z nich jest Sol. Czarownicą jest też Ingrid, tak samo jak Halkatla i Tobba... Nie pamiętam, czy jest ich więcej, myślę, że to już wszystkie.

- Czy któraś z nich ma rude włosy?

- Tak, Ingrid...

- Kiedy tu przybyła?

- Razem z innymi, wydaje mi się, że było to w roku tysiąc siedemset czterdziestym szóstym. Do Królestwa Światła dostała się wtedy wielka gromada, rodzina czarnoksiężnika i...

- Tysiąc siedemset czterdziesty szósty? - powtórzył zamyślony. - To może się zgadzać.

- To się zgadza jak najbardziej.

- Nie, chodzi mi o co innego - myślał głośno. - Skoro jednak ona jest już tutaj tak długo, to dlaczego nie...?

Indra uderzyła pięścią w stół, aż Oliveiro, mający niezbyt mocne nerwy, podskoczył.

- Wyjaśnij mi teraz, co to wszystko ma znaczyć. Nie zgadzam się na to, żebyś się tak obraźliwie wyrażał o Ludziach Lodu, którzy porządnemu człowiekowi nie wyrządzą żadnej krzywdy. Owszem, potrafią postępować dość drastycznie, lecz tylko wobec takich, którzy na to zasługują.

Oliveiro usiadł z powrotem, dłońmi zasłaniając twarz. Wydawało się, że płacze.

- Ja na to nie zasłużyłem, nie zasłużyłem!

- Opowiadaj!

Opuścił ręce.

- Nie, ty mów pierwsza. Obiecałaś, że będziesz szczerą.

Indra uznała, że niczego nie straci, mówiąc prawdę.

- Dobrze, będę szczerą. Obcy, Talornin, poprosił mnie, żebym spróbowała dać ci trochę radości i pomogła znaleźć własne miejsce w społeczeństwie, otworzyć się na ludzi. Wiedz, że wszyscy tutaj się o ciebie niepokoją. Jedno tylko Talornin zataił przede mną, a mianowicie, że chce, abym się w tobie zakochała.

Oliveiro zerknął na nią pytająco.

- Tak się nie stało - zapewniła - Nie mogło się tak stać, ja bowiem kocham innego i to właśnie nie podobało się Talorninowi.

- Kogo?

- To... nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Jesteś bardzo przystojnym mężczyzną, Oliveiro, i być może gdybym spotkała cię przed kilkoma miesiącami, zadurzyłabym się na zabój, nie wiem, teraz jednak tak stać się nie może.

Nie skomentował jej słów, był jednak na tyle dobrze wychowany, by zrobić minę świadcząca o pewnym żalu.

- Czy mam ci opowiadać o tym bliżej? Streścić cały ten skomplikowany spisek?

- Żądam tego.

- No cóż, Talornin zlecił mi dodatkowe zadanie, mam się dowiedzieć, co cię dręczy. A teraz, bardzo proszę, twoja kolej!

Oliveiro długo się jej przyglądał, jak gdyby rzeczywiście rozważał, czy może się jej zwierzyć.

- Nie, nie powinienem cię wciągać w swoją niedolę - rzekł po chwili. - Mogę ci jedynie podziękować za szczerość. Miałem swoje przypuszczenia, że twoje zainteresowanie Indianami Meksyku nie sięga zbyt głęboko. Na zmianę podejrzewałem cię i sądziłem, że... jesteś mną zainteresowana.

- Podejrzewałeś mnie... o co?

Wstał, dając tym samym znak, że rozmowa dobiegła końca.

- O tym, jak sądzę, powinniśmy teraz zapomnieć. Indro, bardzo cię cenię. Jest wiele rzeczy, które muszę najpierw zbadać, lecz gdybyś wróciła, bardzo bym się... bym się... Zamierzał chyba powiedzieć „radował”, lecz najwidoczniej doszedł do wniosku, że to zbyt mocne słowo. Indra także się podniosła.

- Możemy więc puścić w niepamięć Azteków i całą resztę?

- O, tak - podchwycił z uśmiechem. - Wyznać ci prawdę?

- Oczywiście - poprosiła z nadzieją, on jednak myślał o czym innym.

- Krążyłem potajemnie po archiwach i bibliotekach, czytając ukradkiem o przeszłości miasta Meksyk. Nie wiem o nim chyba więcej niż ty.

Indra była zaskoczona, lecz prędko się opamiętała.

- Ty nie znasz hiszpańskiego! Dlatego nalegałeś, abyśmy rozmawiali po angielsku.

- Pst - szepnął przerażony. - Jestem Oliveiro da Silva, nie zapominaj o tym!

Skulił się na sofie i rozejrzał przerażonymi oczyma. Indra usiłowała nakłonić go do dalszych zwierzeń, najwyraźniej jednak był to już koniec rozmowy.

Czegóż, na miłość boską, bał się ten człowiek?

Nie pozostawało jej nic więcej, jak tylko odejść. Pograżona w myślach wyszła na ulicę, usiłując odnaleźć jakiś sens w dziwnych sformułowaniach i zaskakujących reakcjach Oliveira.

Po raz pierwszy przeraził się, gdy zobaczył ową nieszczęsną fotografię „kamienia złego oka” czy też „czarownicy zamku”, jak również nazywano tego rodzaju relief.

Zniekształcony wizerunek mężczyzny trzymającego na kolanach czarownicę, na którym mężczyzna, a jednocześnie jakieś zwierzę za jej plecami usiłowali się w nią wedrzeć, każdy od swojej strony. Owszem, była to dość okropna płaskorzeźba, lecz jeszcze nie powód, by tracić przytomność ze strachu.

A teraz oskarżył Indrę o kłamstwo, a raczej o zatajenie prawdy o czarownicach, jakie wywodziły się z jej rodu.

Ten miły da Silva, czy jak się on naprawdę nazywa, zdawał się żywić jakąś awersją do czarownic. Indra uśmiechnęła się do siebie. Strach przed czarownicami był jej absolutnie obcy, wychowała się wszak na opowieściach o słynnych paniach z Ludzi Łodu.

Nagle nieco dalej na ulicy dostrzegła Joriego i zagwizdała na niego. Odwrócił się natychmiast i zaraz do mej podszedł.

- Indro, właśnie ciebie chciałem prędeż czy później znaleźć. Nie spodziewałem się spotkać cię tutaj, co tu robisz?

- Strasznie dużo mówisz na raz. Spytałem krótko: dlaczego mnie szukałeś?

- Wiesz, gdzie są Miranda i Gondagil?

- A więc jestem ci potrzebna po to, by znajdować innych? Nie mam pojęcia, gdzie mogą być, nie zastałeś ich w domu?

- Nie, i nikt nie wie, dokąd poszli. Otrzymałem pewne zadanie - oświadczył Jori z dumą. Indra, która słysząc słowo „zadanie” dostawała niemal wysypki, słabym głosem spytała, w czym rzecz.

- Ram chce, żebyśmy zorganizowali sprowadzenie olbrzymich jeleni z Ciemności tu, do Królestwa Światła.

- Olbrzymich jeleni? - powtórzyła Indra, czując, jak twarz jej się wydłuża. - Ale to przecież ja powiedziałam Ramowi, że...

Dlaczego nie może wziąć udziału w tej operacji? Czyżby krył się za tym Talornin?

- Muszę więc w to włączyć Gondagila i Mirandę - ciągnął Jori niewzruszony.

- Oczywiście - odparła Indra tym samym słabym głosem co przedtem. - Na pewno tylko gdzieś wyszli, próbuj dalej.

Jori usłuchał i tym razem Gondagil odpowiedział na telefon. Ustalili, że spotkają się razem: Jori, Tsi, Ram, Gondagil i Miranda, by omówić sposoby działania. Wszyscy już wcześniej byli w Królestwie Ciemności.

Tylko Indra stała poza ich kręgiem. Zlecono jej jakieś mało ważne zadanie. Jakby chciano się pozbyć kłopotliwej Indry.

Minęła ich młoda, może piętnastoletnia dziewczyna. Jori, chociaż zajęty rozmową przez telefon, posłał jej rutynowy uśmiech. Och, Jori, Jori, ona jest za młoda dla ciebie, pomyślała Indra, to przecież jeszcze dziecko.

- Śliczna - szepnął, rozmawiając z Gondagilem. - Nietknięta.

- Ależ Jori! - szepnęła Indra urażona. Nie powinien się tak odzywać.

Ale Jori był już taki. Wiedział, że nie dorównuje urodą swym rówieśnikom, i dlatego odgrywał twardego. Właściwie wcale nie myślał tak jak mówił.

Nareszcie skończył rozmawiać, a Indra czuła się bardziej niż kiedykolwiek wyrzucona poza nawias. Jakże chętnie wraz z Ramem i innymi przyjaciółmi stawiałaby czoło niebezpieczeństwom czyhającym w Ciemności. Nawet gdyby miało jej coś zagrozić, Ram zawsze byłby przy niej, a tak będzie musiała zostać w domu i zabawiać obojętnego jej da Silwę, podczas gdy oni... Ach, nie, jej spragniona czułości dusza aż zaboląła. Była przekonana, że to wszystko sprawka Talornina.

Zniechęcona pomachała Joriemu na pożegnanie i rozeszli się każde w swoją stronę.

Indra podjęła smutną wędrówkę do gondoli.

Oddaliła się nie więcej niż o jeden kwartał, gdy za plecami usłyszała lekki szum, jak gdyby ktoś się poruszył, a w następnym momencie w głowie jej eksplodował szaleńczy ból.

Wydawało jej się, że zdążyła jeszcze krzyknąć: „Jori! Na pomoc!”, ale nie była pewna. Zauważyła, że ulica niepokojąco zbliża się do jej twarzy, i straciła przytomność.

6

W świecie na powierzchni Ziemi przetaczały się stulecia.

Procesy czarownic w Massachusetts skończyły się wkrótce po egzekucji Griseldy. W sąsiednich miastach, Salem i Andover, w roku 1692 stwierdzono wreszcie, że większość oskarżeń o uprawianie czarów wywołana została ohydnyimi plotkami. Salem zasłynęło

jako to miejsce w Nowym Świecie, gdzie polowanie na czarownice przybrało największe rozmiary. Osiągnięto rekord, którego wstydzi się ludzkość. Wraz ze złamaniem teokracji, potęgi Kościoła, ludzie nabrali rozumu.

Miasteczko Thomasa Llewellyna na skraju lasu przestało istnieć. Zniknęła też puszcza Indian, Boston potężnie się rozrósł na wszystkie strony i tam, gdzie kiedyś usytuowane było miasteczko, wznosiła się teraz cała dzielnica. Boston wchłonął dawne nieduże miejscowości, stare drewniane chaty zmieniły się w murowane domy. Rozbierano kolejne budynki na tym samym terenie, a na ich miejsce stawiano coraz większe.

Wreszcie zaczęto postępować odwrotnie. Człowiek zrozumiał w końcu, co utracił.

Władze postanowiły rozebrać część zrujnowanych budynków i na ich miejscu założyć rozległy park, w którym ludzie mogliby spędzać wolny czas. Supermarket, stację benzynową, niewielkie wesołe miasteczko i biurowce postanowiono zrównać z ziemią.

Lunapark i centrum handlowe i tak zbankrutowały, a właściciel stacji benzynowej zamierzał przejść na emeryturę. Biura przeniesiono gdzie indziej.

Do pracy ruszyły wielkie koparki. Ciężkie metalowe kule zwisające z dźwigów waliły w ściany domów, osypywały się mury.

Gdy brakowało cierpliwości, pod budynek podkładano precyzyjnie wyliczony ładunek dynamitu i w jednej chwili cały dom zmieniał się w kupę gruzów, zasnutą chmurą kurzu.

Tak surowo nie postąpiono z kilkoma mniejszymi budynkami w tej dzielnicy, tam większość pracy wykonały koparki. Gdy jednak domy zniknęły, zaczęto kopać głębiej.

Planowano tu założenie podziemnego akwarium.

Przy pracach natknięto się na resztki dawnych murów, koparka bez trudu sobie z nimi poradziła, lecz zaraz potem dzień pracy dobiegł końca. Na placu rozbiórki pozostały wielkie maszyny, ustawiono tablicę z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” i robotnicy rozjechali się do domów, do rodzin czy też samotnych kawalerek.

Czy jakiegokolwiek dzieci zawracają sobie głowę podobnymi tablicami? Przeciwnie, takie znaki wprost zachęcają do zbadania zakazanego obszaru.

Gdy zapadł zmierzch, grupka chłopców zakradła się na teren rozbiórki. Zaciekawieni przrzucali resztki desek, przesypywali ziemię w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się im przydać. Znaleźli odkładali na kupkę z postanowieniem, że zabrają je później.

Dwóch dwunastolatków dotarło do resztek starego muru, który rozsypał się już na kawałki. Przy jednym takim odłamku gruzu znaleźli coś, co tajemniczo tylko trochę wystawało z ziemi.

Oświetlili przedmiot kieszonkowymi latarkami

- O rany! - zdumiał się jeden z chłopców. - Cóż to, u diaska, może być?

Wyciągnęli niezwykle przedmiot.

- Do pioruna! - zaklął drugi. - Wyrzucimy to!

- Nie widzisz, jakie to dziwne? - zaprotestował przyjaciel. - Musiało leżeć w ziemi na pewno ponad sto lat i chociaż trochę zapleśniało, wygląda na wcale nie zniszczone.

Zabieram to z sobą.

- Nie wygłupiaj się, mnie się to nie podoba.

Pozostali chłopcy uznali jednak, że znalezisko warto jest zbadać. Przysiedli na łapie buldożera, przyglądając się niezwykle przedmiotowi.

- W środku coś jest. Z czego to może być zrobione?
- Z posplatanych rzemyków - stwierdził przywódca grupy, ściskając w palcach trofeum. Zazgrzytało, jakby w środku coś otarło się o siebie. - Ma któryś nóż?
Niestety, wszystkie noże skonfiskowali zapobiegliwi rodzice.
- Spróbuj to rozplątać - zaproponował jeden z chłopców.
Zaczęli mocować się z rzemykami, zeszywniałymi ze starości i mocno zaciśniętymi.
- Za diabła nie uda nam się rozsypać tego cholerstwa - stwierdził wreszcie przywódca ze złością. - Wyrzucmy to!
- Nie, zaczekajcie! - zawołał któryś. - Znalazłem szydło.
Znaleziona rzecz nie była wcale szydłem, ale okazała się równie przydatnym narzędziem. Zdołali jakoś wsunąć jego czubek między rzemyki, a tym samym sporą część pracy mieli za sobą.
Kwadrans później młody herszt odrzucił znalezisko od siebie co sił w rękach, a inni chłopcy odskoczyli z krzykiem obrzydzenia. Poczuli ohydny smród, z jakim dotychczas nigdy jeszcze się nie zetknęli, i wiedzeni instynktem ruszyli do wyjścia, a stamtąd rozbiegli się do domów. Żaden z nich nie śmiał nawet pomyśleć, co mogło się znajdować w owej dziwnej rzeczy ze splecionych rzemyków. Jeszcze przez wiele dni wydawało im się, że wstrętny odór tkwi w ubraniach i w nosie. Nigdy więcej nie wrócili na plac rozbiórki.
Dobrze, że tak się stało. Jeszcze tej samej bowiem nocy w okolicy coś zaczęło się dziać. Dokładnie w miejscu, gdzie przebywali chłopcy, rozegrało się niewiarygodne wydarzenie. Nie było jednak świadków, którzy mogliby je później opisać.

W nocnej ciszy ze zniszczonej skórzanej sakiewki zaczęły się wydobywać kłęby pary albo dymu.
Cuchnące opary poczuły tylko szczury, które natychmiast uciekły. Wreszcie w pobliżu nie było żadnej żywej istoty, umknęły nawet owady.
Plac opustoszał jak nigdy.
Z mgły powoli, stopniowo, zaczęła się wyłaniać jakaś istota.
Wreszcie w pełni się zmaterializowała.
Młoda dziewczyna.
Griselda zawsze postępowała tak samo, odradzała się jako piętnastolatka. Ostatnio tylko wróciła na świat jako swoja nowo narodzona córka, podobała jej się bowiem taka inkarnacja. Zwykle jednak nie interesowało jej dzieciństwo, uważała je za zbędny trud. Ale piętnaście lat to dobry wiek, była wtedy już na tyle dojrzała, że mogła zdobywać kochanków. Odradzała się zawsze w takiej samej postaci, jako niewinna rudowłosa dziewczyna, nieśmiała i budząca zaufanie. Wielu mężczyzn lubiło młode mięso. Dziewice dostarczały im szczególnych przeżyć, poczucia naruszenia tabu, co wywoływało dodatkowe podniecenie. Griselda lubiła też zachować kilka lat w zapasie; mając piętnaście lat, mogła przeżyć o wiele więcej, niż gdyby zaczynała na przykład od dwudziestu pięciu.
Tym razem potrzebowała szczególnie dużo czasu. Powracała bowiem na świat z myślą o zemście. Musi odnaleźć Thomasa Llewellyna, który odrzucił jej względy i ją zdradził.

Oszołomiona rozejrzała się dokoła. Zmaterializowała się w pełni, ręce i nogi miała już bardzo konkretne, przestały być zaledwie smugami dymu.

Nie mogła jednak pojąć, gdzie się znalazła. Wprawdzie było ciemno, lecz nie na tyle, by nie dostrzegła olbrzymiego, przypominającego jakiegoś potwora rusztowania, wznoszącego się ku niebu. Cóż to takiego?

Griselda patrzyła na dźwigi i koparki, nie miała jednak możliwości, by zrozumieć, co widzi.

Oddychała ciężko po wysiłku, jakim było przyjęcie postaci nowego człowieka. Mnóstwo jeszcze musiała zrobić, zanim wyruszy w świat na poszukiwanie Thomasa Llewellyna. Gdzie on mógł się podziać?

Wydawało się, że po prostu zniknął, fakt ten był tak niepojęty, że Griselda nie wiedziała, jak sobie z nim poradzi.

Szukała Thomasa wszak w świecie zmarłych, gdzie sama tak długo przebywała, czekała, aż się tam zjawi, gotowa w każdej chwili uderzyć. On jednak nigdy nie przybył. Nie przestawała nękać go w snach, ale po śmierci niewiele więcej mogła zrobić, niecierpliwie wyczekiwała, aż ktoś wreszcie odnajdzie jej sakiewkę, wiedziała bowiem, że dopiero wtedy będzie w stanie go naprawdę zaatakować.

Nareszcie się to stało, dzisiejszej nocy. Pierwszą rzeczą, o jaką musiała się zatroszczyć, było ubranie. Odrodziła się przecież naga. Jej czarodziejska sakiewka...? Jest, ach, cóż za cudowny zapach! Postanowiła zbadać jej zawartość później, najpierw chciała wrócić do swojej chatki.

Nie bardzo jednak mogła się zorientować, gdzie jest. Co się stało z rynkiem, na którym została powieszona? Gdzie więzienie, wrzuciła wszak sakiewkę pod...

Oczy jej wreszcie zdołały przywyknąć do mroku i widok, jaki się przed nią ukazał, wprost ją przeraził. Gdzie podział się dom aptekarza i las?

Tak tu było nago i pusto, tylko te straszne rusztowania, jakby się do niej szczyrzyły. Nieco dalej dostrzegła zarys czegoś, no właśnie, czego? Wielkich czworokątnych domów, sięgających aż do nieba?

Griselda poczuła, jak mrozi ją wewnętrzny chłód. Gdzie ona jest, co się stało?

Zadrzała z zimna. Ubranie! Gdzie jej dom? Zaczęła iść, trzymając w ręku skózaną torebkę, w kierunku, który wydał jej się właściwy. Potknęła się o jakieś rupiecie, zaklęła tak, jak tylko ona potrafiła, i ruszyła dalej, aż doszła do ulicy biegnącej między tymi nieprawdopodobnie wysokimi budynkami

Tu powinien stać jej dom, a za nim szumieć las.

Torebkę musiano gdzieś przenieść, przecież to się z niczym nie zgadza, nawet w Bostonie nigdy nie było takich wielkich domów. Co to może znaczyć?

Krażyła przez pewien czas po opustoszałych nocą ulicach, aż wreszcie zmarzła tak, iż stwierdziła, że należy coś zrobić. Dotarło do niej wreszcie, że nie odnajdzie swego domu i własnych ubrań. Spróbowała otworzyć jakieś drzwi, lecz okazały się zamknięte na klucz. Nieco dalej dostrzegła wielobarwne ostre światła, rzecz również całkowicie jej nieznaną. Przestraszyła się, mało brakowało, a zaczęłaby krzyżeć.

Stała tam jednak dziewczyna, a raczej młoda kobieta. Griselda ukryła się w jakiejś bramie. Kobieta szła w jej stronę.

Ubranie!

Ale jakże tamta była ubrana! Miała wysokie wąskie buty i spódniczkę tak krótką, że widać jej było niemal zadek. Skandaliczny strój! Cienka obcisła koszulka z tak dużym dekoltem, że Griseldę przeszły ciarki. Jak ta dziewczyna śmie się tak ubierać?

Chociaż, kiedy wiedźma przetrawiła pierwszy szok, twarz rozjaśniła jej się w uśmiechu. Jeśli się ubierze w ten sposób, mężczyźni będą padać jak muchy. Skoro ta kobieta mogła się tak wystroić, cóż stoi na przeszkodzie, aby i ona, Griselda, nosiła podobną garderobę? Zabawne będzie spróbować, zanim znów wróci do normalnego, przyzwoitego ubioru.

Kiedy dziewczyna mijiała bramę, Griselda zaatakowała. Jej silne ręce otoczyły szyję nieznajomej i mocno ścisnęły.

Chwilę później piętnastolatka o rudych włosach wędrowała oświetlonymi ulicami w stroju nie pasującym do niewinnej buzi.

Szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma przyglądała się neonowym reklamom, których kolory wciąż się zmieniały, ukazywały się na nich nowe obrazy i litery, jakich nigdy dotąd nie widziała. Poprzeczną ulicą przejechał nagle dziwny pojazd, Griselda wystraszona ukryła się w ciemnym zaułku.

Tego pojazdu nie ciągnęły konie, miał taki dziwny obły kształt i rubinowy kolor, w środku siedziała jakaś istota, odległość jednak była zbyt wielka, by mogła dostrzec ją wyraźnie. Kilka razy odetchnęła głęboko. Długo spałam, pomyślała. Tym razem musiałam spać aż do osiemnastego wieku, ale Thomas jeszcze żyje, musi już być bardzo stary, na pewno ma ponad dziewięćdziesiąt lat.

Co się stało ze światem? Jak to możliwe, by tak się zmienił?

Podniosła oczy na neonową reklamę, na której ukazywał się tekst.

Jaki straszny zrobił się język, pomyślała z odrazą. I tak mało mogę z tego zrozumieć.

„Katastrofa lotnicza w Miami”. „Spekulacje naftowe ujawnione dzięki Internetowi”. Co to wszystko ma znaczyć?

Na ekranie ukazał się kolejny tekst. „Rok 2009 był rekordowym rokiem dla...”

Griselda nie była w stanie więcej przeczytać. Rok 2009? 2009?

Nie!

Musiała oprzeć się o ścianę jakiegoś domu Czyżby zniknęła ze świata na trzysta lat? Tak długo nigdy jeszcze...

Thomas!

Nigdy nie zawitał do królestwa zmarłych, co do tego była w pełni przekonana, bardzo pilnie to sprawdzała.

Zatem wciąż jeszcze żyje, ale to przecież niemożliwe.

W głębi ducha wiedziała jednak, że Thomas znajduje się wśród żywych. Nielatwo było jej dotrzeć do niego w minionym czasie. Zmarli przecież bez trudu mogą się kontaktować ze zmarłymi, ona jednak musiała przedzierać się przez barierę rozdzielającą świat żywych i umarłych. Wołała go, wzywała, szukała, lecz cały czas poruszała się jakby w gęstej mgle, nie mogąc do niego tak naprawdę dotrzeć.

A więc dlatego nigdy go nie odnalazła. On nie przekroczył granicy świata umarłych.

Mimo wszystko jednak, gdyby znajdował się na ziemi, dotarłaby do niego prędzej czy później.

Musiała się za tym kryć coś jeszcze, coś, czego nie rozumiała.

Jeśli on nie umarł i nie było go na ziemi, to gdzie się podziewał?

Griselda postanowiła ruszyć jego śladami.

Drgnęła gwałtownie, gdy jeden z takich poruszających się samoczynnie pojazdów zatrzymał się tuż koło niej i szklana szyba opuściła się w dół. Człowiek siedzący w środku zwrócił się do niej z pytaniem:

- Ile?

Griselda usiłowała zrozumieć, o co mu chodzi, mężczyzna otworzył drzwi.

- Wskakuj do środka!

Ile? Czyżby chodziło mu o pieniądze? Ach, doprawdy, wziął ją za ladacznicę? No cóż, dlaczego nie, potrzebowała pieniędzy. I mężczyzny. Ukryła torebkę w zaułku, z doświadczenia wiedziała już bowiem, że tylko jej tak bardzo się podoba wydzielający się ze środka zapach. Wsunęła się do powozu.

Spostrzegła, że mężczyzna zmarszczył nos, wcale się tym jednak nie przejęła. Powóz okazał się miękki i wygodny, w jednej chwili ruszył z miejsca.

Uzgodnili sumę, o której wielkości tak naprawdę nie miała pojęcia, i chwilę później mogli zabrać się do dzieła.

Jeszcze nieco później mężczyzna leżał martwy w swoim powozie, a Griselda trzymała w ręku wszystkie jego pieniądze. Znalazła też kurtkę, którą się otuliła. Teraz wyglądała znacznie porządniej. Wróciła do zaułka po torebkę. Zaczynało się już rozjaśniać, otworzyła ją, żeby sprawdzić, czym dysponuje.

W środku znalazła rzeczy niezwykle przydatne dla czarownicy, brakowało tylko jednego, a mianowicie maści wywołującej pożądanie. Została w jej domu, a po rozmowie z mężczyzną Griselda rozumiała już, że to miasto wzniesiono dokładnie w miejscu, gdzie leżało kiedyś jej miasteczko. Odszukanie chatki było więc absolutnie niemożliwe.

Griselda utraciła wszystko, ową niezwykłą maść i inne drogocenne środki, Thomasa, wszystko oprócz tego, co znajdowało się w torebce z rzemyków. Właściwie powinna płakać z rozpacz.

Nie zrobiła tego jednak, w pobliżu mogli być ludzie.

Do czarta, zakłęta pod nosem. Przekłęci ludzie, dlaczego musiało upłynąć tyle czasu, zanim ktoś wreszcie otworzył moją sakiewkę?

Musiała znaleźć coś do jedzenia, a także inne, cieplejsze ubranie i więcej czarnoksięskich środków. Musiała także wydostać się z tego miasta zdającego się nie mieć końca.

Dzień później była już znacznie lepiej przygotowana na spotkanie z nowym światem. Griselda nie należała do osób, które pokornie błagają innych o pomoc. Umiała rozpychać się łokciami, potrafiła być bezwzględna. Ukradła bardzo piękne ubranie, odpowiednie dla młodej dziewczyny z porządnego domu. Sporo czasu zabrało jej stwierdzenie, jak ubierają się współczesne kobiety, moda wydała jej się brzydka i dziwaczna. Znalazła

jednak wreszcie złoty środek. Kobiety w długich spodniach? Nigdy! Wiedziała przecież, za czym gonią mężczyźni. Oni pragnęli zachować swoje fantazje o zadzieraniu spódniczek i sprawdzaniu, co też kryje się pod nimi.

Raz trafiła na sklep, na którym widniał napis „Zdrowa żywność”. Zaskoczona odkryła na wystawie wiele znanych jej ziół, a także inne, których dotychczas nie widziała. Weszła tam natychmiast i wyćwiczonymi sprytnymi palcami zdołała zappełnić kieszenie wszystkim, co mogło jej się przydać. Opuściła sklep ukradkiem, nie zamierzała bowiem za nic płacić.

Tu i ówdzie zdobyła inne przydatne rzeczy. Pewnej nocy natknęła się na jakieś podejrzane indywidua, usiłujące rozsadzić kasę. Griselda trzymała się w cieniu, zafascynowana tylko patrzyła, jak przygotowują ładunek i za naciśnięciem guziczka powodują wybuch. To doprawdy imponujące. Podczas gdy przestępcy zajęci byli zbieraniem łupów, podkraǳła się do nich za ich plecami i poderżnęła im gardła. Trwało to nie dłużej niż sekundę. Nie zależało jej na tym, co oni chcieli ukraść, nie sądziła, aby mogło to być przydatne w przyszłości, najważniejsze dla niej były materiały wybuchowe i ten mały sprytny aparacik. Mężczyźni byli dobrze wyposażeni, myśleli zapewne o kolejnych grabieżach.

Wszystko razem ukryła w przepastnych kieszeniach po wewnętrznej stronie płaszcza i sukienki. Umiała nosić przy sobie mnóstwo rzeczy ukrytych przed ciekawskimi spojrzeniami.

Jedzenie nie stanowiło żadnego problemu. Podkraǳała je na targu i w sklepach, miała już spore zapasy. Co prawda wyglądała trochę może nieforemnie, lecz wśród Amerykanów o obfitych kształtach zbytnio się nie wyróżniała.

Różne pojazdy wciąż jeszcze budziły jej przerażenie i zanim nauczyła się przepisów drogowych, nie raz mało brakowało, a doszłoby do wypadku. Z początku na ich widok podskakiwała wysoko z krzykiem, podrywała się do ucieczki na widok mknących na syrenie karet, niepokoiła ją mnogość docierających do niej dźwięków. Odetchnęła z ulgą, gdy dotarła wreszcie do skraju miasta.

Świat, w którym się znalazła, wydawał się kompletnie oszalały.

Griselda, choć wolnomyślicielka, jednocześnie była zdumiewająco konserwatywna. Znalazła wreszcie nie zamieszkaną letnią domkę nad wodą, daleko od ludzi. Przejrzała tam wszystko, czym dysponowała, i rozpoczęła nowe życie.

Thomas Llewellyn, ten zatwardziały szatan!

Najważniejsze, żeby go odnaleźć, wytropić. Nie ma go ani w świecie żywych, ani w świecie umarłych. Gdzież więc go szukać?

Czarodziejskich środków miała za mało. Potrzebowała większych porcji, by móc wywołać jego obraz.

Wezwała już zaklęciami swoich sprzymierzeńców. Czekala teraz na ich powrót i sprawozdanie. Być może im uda się odnaleźć to, co zaginęło w ciągu tych wieków. I rzeczywiście, dwa „impy”, diabluki, które Thomas błędnie nazwał inkubami, niemal równocześnie usiadły jej na ramionach. Były nieduże, zielone i okropne, a Griselda znała je już od tysiąca lat. Kiedy nie mogła znaleźć ziemskiego mężczyzny, by zażyć z nim uciechy, wzywała jednego z nich. Nigdy nie odmawiały. Po angielsku diabluk nazywa się

„imp”, ochrzciła je więc Impy i Simpy. Właśnie z Impym Thomas nawiązał znajomość tamtego dnia, o którym tak bardzo chciał zapamiętać, lecz nie mógł.

Diabliki wróciły z rekonesansu. Impy przemówił ochrypłym szeptem:

- Wytropiłem tego twego marnego człowieka. Wszedł do jamy wykopanej przez ludzi, jego ślady wiodły w głąb, a potem po prostu zniknęły.

- Zniknęły? Nie mógł chyba ot, zwyczajnie się rozpląnąć?

- Wygląda na to, że tak właśnie się stało.

Simpy podjął:

- Przeszukiwałem wymiary, nie ma go tam. Dotarły jednak do mnie pogłoski...

- Jakże?

Simpy zrobił przebiegłą minę.

- Podobno istnieje kraina nie mogąca się równać z żadnym wymiarem. Tam się nie umiera.

- Przestań mi pleść o niebie - wykrzywiła się Griselda.

- Ach, nie, wcale nie o nie chodzi! - wykrzyknął Simpy. - Ta kraina znajduje się pod ziemią.

- Piekło?

- Nie możesz się oderwać od religii? - prychnął Simpy. - Niebo i piekło to tylko ludzkie gadanie. My nazywamy je, jak wszystko inne, wymiarami. Wydaje mi się, że ten twój nędzny człowiek tam właśnie się znajduje, w każdym razie nigdzie indziej go nie ma.

- To idź tam i poszukaj go.

- O, nie, dziękuję - odparli obaj zgodnym chórem. - Musisz wybrać się sama, my z tobą nie pójdziemy.

- Dlaczego?

Impy pokręcił paskudnym łebkiem.

- To nie miejsce dla nas.

Nie zamierzali dalej drażnić tematu. Griselda rozgniewała się, nie chciała bowiem utracić swoich cennych kompanów, lecz oni się upierali. Nigdy, przenigdy tam nie pójda.

- Wobec tego sama się tam wyprawię - zdecydowała wściekła. - Wskażcie mi tylko drogę.

Ale i tego nie mogli zrobić. Musi spróbować sama. W dodatku diabliki zażyczyły sobie zapłaty...

Dostały, czego chciały, i zniknęły. Griselda nie zobaczyła ich już więcej.

Do czarta, a tak dobrze było ich mieć blisko siebie, służyli jej nieocenioną pomocą.

Obiecali co prawda, że kiedy powróci do zewnętrznego świata, od nowa nawiążą przyjaźń.

Powiedzieli to jednak z takim niedowierzaniem, z takim szelmowskim błyskiem w oku, że Griseldę ogarnęły złe przeczucia. Czyżby stamtąd nie dało się już wrócić? Może dlatego właśnie nie chcieli jej towarzyszyć?

No cóż, ona i tak sobie poradzi. Teraz najważniejszy jest Thomas Llewellyn. Impy udzielił jej wskazówek, jak dotrzeć do kopalni, w której zniknął Thomas, był to jedyny ślad, jaki miała, lecz jeśli on umiał stamtąd trafić do owego nieznanego wymiaru, to i jej na pewno się uda.

W ciągu kolejnych trzystu lat kopalnia podupadła jeszcze bardziej. Wejście do niej zamurowano, a nad nią wybudowano nową dzielnicę, znajdowała się bowiem w rejonie Bostonu. Impy wyjaśnił jednak, którędy można tam zejść: przez piwnicę jednego z wieżowców. Tam znajdzie zabarykadowane drzwi, Impy przeniknął przez nie bez trudu, Griselda jednak była bardziej konkretna, musiała walczyć z deskami i zakrzywionymi gwoździami w strachu, że ktoś ją nakryje, zanim zdoła zrobić otwór dostatecznie duży, by mogła się przezeń przecisnąć.

Przedzierała się potem przez cuchnące kanały kloaczne, aż stanęła przy zamurowanym wejściu do kopalni. Siła jej woli, żądza zemsty były jednak ogromne, przesuwiała kamień po kamieniu, łamiąc przy tym wszystkie paznokcie na starym cemencie, lecz nawet przez chwilę nie zamierzała się poddać.

Wreszcie była w kopalni.

W swoim domu znalazła kieszonkową latarkę, która teraz bardzo jej się przydała.

Wiedźma bez trudu poruszała się korytarzami, natknęła się nawet na drabinę, po której niegdyś spuszczał się w dół Thomas, przeliczyła się jednak co do jej solidności. Drewno zmurszało i zawałiło się pod nią. Z poważnego upadku wyszła z paskudnym siniakiem na udzie, znalazła się jednak na dole.

W miejscu, gdzie urwały się ślady Thomasa.

Zrozumiała, że nie zdoła wspiąć się na górę. Ruszyła więc przed siebie tak daleko, jak daleko ciągnął się korytarz. Odchodziło od niego wiele odgałęzień, tam jednak nie śmiała się zagłębiać, bo latarka zaczęła migotać, a ona nie miała pojęcia o bateriach ani ładowarkach. Siadła w końcu na wilgotnej podłodze i zaczęła wzywać pomocy.

W jaki sposób Thomas zdołał opuścić to ponure miejsce i przenieść się do krainy, w której nawet impy nie mogły do niego dotrzeć?

Nie wiedziała, ile dni spędziła na dole, jedzenia wciąż jeszcze jej nie brakowało, lecz widoki na przyszłość rysowały się przed nią raczej ponure. Nikt nie wiedział, gdzie ona jest, nawet diabliki nie odpowiadały na wezwanie, została sama, samiotka w kompletnie czarnym świetle, latarka bowiem przestała już działać.

Gdyby nie była taka uparta, podjęłaby zapewne rozpaczliwe próby wspięcia się na górę. To jednak nie było w jej stylu. Myślała jedynie o zemście na Thomasie Llewellynie, który, jak się zdawało, po raz kolejny się jej wymknął. To niesprawiedliwe, że zdołał odnaleźć świat, do którego ona nie mogła dotrzeć. Nie zasłużyła na to, zemści się teraz na nim podwójnie. Nie zabije go, choć w tej krainie to chyba i tak niemożliwe, ale będzie go dręczyć, nieubłagane, zmusi do miłości, której sama nie odwzajemni.

Griselda zaczęła snuć marzenia o zemście, która stawała się coraz bardziej wyrafinowana.

Jeśli tylko zdoła go odnaleźć...

Gdy otoczyli ją wysocy mężczyźni w jasnych strojach, jej świadomość właściwie już gasła. Zapasy jedzenia dawno już się wyczerpały, przy życiu trzymał ją jedynie upór.

„Nieszczęsne dziecko” - przemówił głos, który rozbrzmiewał tylko w jej głowie.

„Biedna dziewczyna, jak ona tu trafiła? Jaka niewinna anielska twarz” - powiedział inny. -

„Zabierzemy ją ze sobą”.

„Tak, nikt bardziej niż ona nie zasługuje na to, by dostać się do Królestwa Światła”.

Słabością Obcych było to, że nie potrafili odczytać charakteru ludzi. W ciągu stuleci popełnili wiele podobnych błędów.

Królestwo Światła? Czyżby tak nazywała się ta kraina? Griselda czuła, że jest na dobrej drodze.

7

Jori był przy niej, Jori wezwał pomoc do Indry, która doznała silnego wstrząsu mózgu.

- Nie ruszaj się, leż spokojnie! - mówił, klękając przy niej na chodniku.

Indra widziała mnóstwo pochyłających się nad nią twarzy, dużo więcej niż było ich w rzeczywistości, w oczach jej się bowiem dwoiło.

- Usłyszałem twój krzyk i widziałem, jak padasz. Co się stało?

Nie widziałeś? Indra nie była w stanie odpowiedzieć. Próbowала, lecz to się nie udawało.

Nie bardzo pojmowała, co się z nią dzieje.

Jak to było, czyż nie minęła właśnie rogu ulicy? Usłyszała chyba czyjś ruch, a potem ktoś zniknął za węgłem.

Wydawało jej się, że mówi: „Ktoś mnie uderzył”, lecz język nie chciał jej słuchać.

W oddali usłyszała wycie syren.

- Napad? Tu, w Królestwie Światła? - dziwił się ktoś. - Sądziłem, że to niemożliwe, takie rzeczy zdarzają się jedynie w mieście nieprzystosowanych. Nie tutaj, w Zachodnich Łąkach!

- Czy nikt niczego nie widział? - dopytywał się Jori.

W odpowiedzi usłyszał tylko wymruczane „nie”.

Ach, głowa mi pęka, myślała Indra. Czym sobie na to zasłużyłam? Kto chce mojej krzywdy?

Ten cios miał zabić, zdawała sobie z tego sprawę, prawdopodobnie inni także to wiedzieli.

Syreny rozległy się już bliżej, ich dźwięk dobiegał z góry, z powietrza. Karetka gondolowa...

Ram, dlaczego cię tu nie ma?

Świat zniknął.

Mam go już, widziałam go na ulicy i szłam za nim. Przekradał się do domu i starannie zamykał drzwi na wiele zamków. Słyszałam szcęk zapadek.

Tak, to był mój Thomas, ale na drzwiach widniało inne nazwisko, „O. da Silva”, ale to na pewno on.

Błady, udręczony, oczywiście, lecz równie młody jak wówczas. To niewiarygodne.

Tyle czasu straciłam na przeszukiwanie tego przekłętego Królestwa Światła, nienawidzę tego miejsca. Tropiłam go dniami i nocami, sprawdzałam kartoteki i nigdzie nie znalazłam Thomasa Llewellyna. Wiedziałam jednak, że on tu jest, wyczułam to już w chwili, gdy tu trafiłam.

Od razu zaczęłam go dręczyć, zanim jeszcze go odnalazłam. On wie, że tu jestem, reaguje na moje tortury, wyczułam to. Słyszę jego krzyk nocą, kiedy wdzieram się w jego sny i atakuję z całą siłą. Mogłam przeniknąć w jego duszę, kiedy już wiedziałam, że znajduje się niedaleko.

I przed kilkoma dniami nareszcie go znalazłam. On mnie nie poznaje!

Griselda prychnęła do siebie.

Naprawdę wydaje mu się, że zdoła mi umknąć?

Tutejsi ludzie są tacy głupi. Mężczyźni uśmiechają się do mnie, wydają się im taka bezbronna. Kobiety nie dostrzegają we mnie rywalki, uważają mnie za bardzo młodą i dziecinną. Nie wiedzą, co siedzi w mężczyznach, nie zdają sobie sprawy, że oni pożądamy tego, co czyste, niezbrukane, i pragną to zniszczyć.

Cóż za przeklęty świat!

Taki idealny, daleki od rzeczywistości.

I ileż tu dziwnych typów!

Lemurowie są straszni, nie podobają mi się. Obcy, to oni mnie tu sprowadzili. Powinam odczuwać za to wdzięczność, lecz są po prostu śmieszni. Tacy pompatyczni, wydaje im się, że zjedli wszystkie rozumy.

Widziałam tu jeszcze inne niezwykle istoty. Pewnego niesłychanie ponętnego zielonobrunatnego młodzieńca, od którego wprost bije zmysłowość. On mnie jeszcze nie widział, ale muszę go mieć. Mam nadzieję, że nie jest niebezpieczny dla ludzi i że niczym mnie nie zarazi, bo przecież nigdy nic nie wiadomo...

Griselda nosiła w sobie charakterystyczną dla ludzi z minionych epok niepewność i strach wobec wszystkiego, co nowe, nieznanne. Nie była osobą szczególnie dobrze wykształconą, doskonale się znała jedynie na czarach.

Przydzielono jej niewielki domek niedaleko stolicy. Ci dobroduszni idioci załatwili jej wszystko, mogła spokojnie się tam urządzać. Kiedy już przywyknie do tego świata, będzie musiała poszukać sobie jakiegoś zajęcia, wszyscy bowiem musieli tu pracować.

Cóż za głupota. Praca? To dobre dla niewolników, nie dla wiedźm.

Natychmiast podjęła poszukiwania. Nie chciała żadnej latającej gondoli, ich widok bowiem wprawiał jej prymitywną duszę w strach. Wolała raczej te poruszające się po ziemi, wszak już w Bostonie nawiązała znajomość z samochodami. Naziemnymi gondolami zresztą łatwiej było kierować, mogła po cichu pożyczyć sobie jakiś pojazd od kogoś, wolała jednak nie zwracać na siebie uwagi. Nalegała więc, by dano jej jakąś gondolę na własność, przynajmniej wypożyczono. Ci głupcy zgodzili się na to.

I wreszcie go znalazła. W Zachodnich Łakach.

Tego dnia czuwała dobrze ukryta w pobliżu jego domu. Wiedziała, że Thomas jest w środku. Przygotowywała się do spotkania. Musiało nastąpić jakby przypadkiem, na ulicy albo może w pracy? Wiedziała już, w którym budynku pracuje, chociaż nie była pewna, w jakim pokoju. Miała czas. Wciąż uważała za zabawne dręczenie go nocą, ujeżdżanie niczym prawdziwa zmora z koszmaru sennego. Pragnęła sprowadzać na niego takie okropne sny, żeby nie mógł rano się podnieść. Widziała, że Thomas robi się coraz bardziej wycieńczony i wzburzony. Doskonale!

Griselda drgnęła. Do jego domu zbliżała się jakaś młoda kobieta.

Kobieta? I to taka, której wydaje się, że jest niebrzydka! (Griselda nigdy nie potrafiła się pogodzić z urodą innych kobiet). Długą chwilę stała pod drzwiami. Nie otwieraj,

Thomasie, nie otwieraj, do diabła!

Wreszcie otworzył. Nikczemnik!

Griselda, z ukrycia obserwująca drzwi do jego domu, pozieleniała z zazdrości. Ileż ona czasu tam spędza? Co robią? Może powinna podkraść się pod okno i zajrzeć do środka? Nie, to zbyt ryzykowne.

Zazdrość nie dawała jej spokoju.

Nareszcie, ta okropna dziewczyna wychodzi, idzie ulicą. Spotkała jakiegoś chłopaka i zatrzymała się, rozmawiają. Griselda postanowiła bliżej jej się przyjrzeć. Ruszyła ulicą i wyminięła ich, młody człowiek uśmiechnął się do niej głupkowato, niewinnie spuściła wzrok.

To zawsze działało. A teraz trzeba schować się za rogiem.

Zobaczyła stos desek przeznaczonych na budowę płotu. Ta wielka będzie dobra.

Wyjrzała ostrożnie, młodzi ludzie się pożegnali. Przeklęta dziewczucha idzie w jej stronę. Schowaj się, Griseldo, nikogo nie ma w pobliżu.

Teraz.

Działanie bandyckimi sposobami nie było szczególnie wyrafinowane, lecz Griselda nie miała czasu. Ta prosta dziwka musiała zniknąć ze świata, i to jak najprędzej.

Upadła. Znowu trzeba schować się za róg i spokojnie stąd odejść. Dziewczyna krzyknęła coś, chyba jakieś imię, ale to nie ma żadnego znaczenia. Teraz już na pewno nie żyła, Griselda bowiem nie szczędziła siły przy uderzeniu. Ten cios był śmiertelny.

Bardzo dobrze, jedno niebezpieczeństwo zażegnane. Teraz, kochany Thomasie, zostaliśmy tylko ty i ja.

Zatopiła się w cudownych marzeniach o strasznej zemście, kiedy latająca gondola z wyciem przemknęła jej ponad głową. Pojazd zahamował, ryk syreny ustał, ktoś zaczął coś wołać, najwidoczniej ów młody chłopak.

- Zabierzcie ją czym prędzej do szpitala, ona żyje! Może są jeszcze szanse na ratunek. Do diabła, na ratunek? O, nie, do tego ona, Griselda, nie dopuści.

Sprawiająca tyle kłopotu dziewczyna przekona się, co znaczy mieć do czynienia z wiedźmą.

Doprawdy, strasznie dużo szykuje mi się roboty w tym kraju! pomyślała Griselda ze złością. Sama już nie wiem, w co ręce włożyć.

Szpital? Gdzie może się znajdować? Prawdopodobnie w stolicy, musi się jakoś rozpytać. Ale nie będzie wdawać się w dyskusje z tą arogancką panną z informacji, tą, która śmiała się, kiedy usłyszała imię Griselda. Bezwstydna dziewczucha! Griselda natychmiast wypowiedziała zaklęcie, które zesłało na informatorkę kłopoty żołądkowe, i prędko wymyśliła dla siebie inne imię. Nikomu nie wolno się z niej śmiać!

Kim powinna zająć się najpierw? Dziewczyną, którą zabrali do szpitala, czy Thomasem? E, poradzi sobie z obojgiem jednocześnie. Jest przecież naprawdę świetną czarownicą. Będą tańczyć tak, jak ona im zagra. Do wtóru jej zaklęć, aż sami pożałują, że kiedykolwiek się urodzili.

Później zaś powróci do świata na powierzchni Ziemi, ciągnąc za sobą Thomasa Llewellyna na smyczy jak psa.

Griselda nie dostrzegała braku konsekwencji w swoim rozumowaniu. Nie zorientowała się, że wciąż ogromnie zależy jej na Thomasie, że żywi do niego nienawiść połączoną z miłością, która targa jej duszę niczym orkan.

Wszystko teraz obracało się wokół niego. Powtarzała sobie, że chodzi o jego zdradę. Jednak taka obsesja ukrywa coś więcej niż tylko nienawiść. Miłość nie była dobrym słowem, ponieważ istota z rodzaju Griseldy pozbawiona jest zdolności, by kochać głęboko i szczerze. Thomas jednak był mężczyzną, którego zawsze pragnęła, jedynym, którego naprawdę chciała mieć w swej trwającej wiele tysięcy lat wędrówce dusz. Chciała posiąść go teraz, całego, bawić się nim jak szmacianą lalką. Był przystojny, pięknie zbudowany i męski. Chciała, by należał tylko do niej, by był tylko i wyłącznie jej kochankiem. A tego, co należało do Griseldy, nikomu innemu nie wolno nawet tknąć. Oczywiście, ukarze go surowo. Surowszej kary nie zaznał nigdy żaden człowiek, bo upokorzenia, na jakie ją naraził, odrzucając jej miłość i zdradzając, nie dało się wybaczyć. W głębi ducha jednak nigdy nie zamierzała go zabijać, uznała, że nadal powinien należeć do niej, chociaż na innych, ponurych, warunkach. Będzie jej, będzie go traktować jak szmatę, zamiatać nim podłogę, deptać po nim i upokarzać go, ale jego ciało pozostawi sobie również na przyszłość.

Taki motyw nią kierował, choć sama nie zdawała sobie z tego do końca sprawy. Nie bardzo wiedziała też, jak to osiągnie, w jaki sposób zdoła zaciągnąć do łóżka tak niechętnego jej kochanka, skoro nie miała teraz ani maści, ani diablików do pomocy. Na razie jednak nie chciała się w to zagłębiać. Wydawało jej się bowiem, że wyłącznie go nienawidzi.

Nienawidziła Thomasa, nienawidziła tej młodej dziewczyny, która tak bezczelnie chciała się na niego rzucić, nienawidziła wszystkich mieszkańców Królestwa Światła. Przeklęta kraina!

Prawdę powiedziawszy, Griseldzie pragnącej przedostać się do centralnego punktu Ziemi przyświecał jeszcze jeden cel. Liczyła na to, że ujrzy tu księcia podziemnego świata, Jego Wysokość Szatana we własnej osobie.

Na razie jednak go nie spotkała.

8

Ból! Taki straszny ból! Wystarczyło, że poruszyła choćby powiekami, a wybuchał od nowa, obrócenie się w łóżku było nie do pomyślenia, jawiło się najstraszniejszą torturą. Usłyszała głos ojca:

- Wydaje się, że przeznaczeniem obu moich córek jest trafiać do szpitala po napadzie. Najpierw Miranda, której zadano ciosy nożem i o mały włos nie zabito, teraz Indra, uderzona w głowę nieznanym przedmiotem przez nieznanego przestępcę.

- No, przedmiot jest znany - odparł Jaskari, który był już w pełni wykształconym lekarzem. - To gruba deska. W ten cios musiano włożyć wiele siły, ale przestępcy nie znaleźliśmy.

- Motywu także nie - rozległ się głos Armasa, teraz Strażnika przez duże S. - Kto chciał wyrządzić krzywdę nieszkodliwej Indrze?

- Wcale nie jestem nieszkodliwa! - syknęła przez zęby.

- No, widzę, że żyjesz przynajmniej na tyle, by protestować, kiedy ktoś ci ubliża - uśmiechnął się Armas i nachylił nad nią. - To znak, że wracasz do zdrowia.

- Boli mnie - oznajmiła.

- Wierzę. Szkoda, że nie widzisz guza, jaki wyrósł ci z tyłu głowy.

- Wcale nie mam ochoty go oglądać.

- Dostaniesz zastrzyk przeciwbólowy.

- Co najmniej końską dawkę. A może przydałby się Dolg z niebieskim kamieniem?

- Dolg jest w Nowej Atlantydzie, musi ci wystarczyć koń.

Zrobiono jej zastrzyk w rękę, od delikatnego dotyku przeszył ją elektryczny prąd bólu. Wreszcie odczuła ulgę.

- Ach, jak cudownie - westchnęła i otworzyła oczy.

- Dobrze, ale się nie ruszaj! - nakazał Jaskari - Musisz leżeć spokojnie, żeby mózg płynnie ułożył się we właściwej pozycji

- Mój mózg nie pływa, porusza się powolnymi, dostojnymi ruchami.

- Zgoda, rzeczywiście pracuje powoli.

- Nie rozśmieszaj mnie, to będzie katastrofalne dla tych małych szarych komórek. A gdzie Miranda i reszta?

- Są na spotkaniu w sprawie olbrzymich jeleni. Możesz je obejrzeć w telewizji, jeśli sobie życzysz - powiedział Gabriel i włączył telewizor.

Ukośnie pod sufitem umieszczono duży ekran, tak by pacjenci mogli na niego patrzeć bez wysiłku. Na ekranie ukazał się obraz rozemocjonowanego Joriego. Zaproponował coś, co w jego mniemaniu było bardzo konstruktywne, w rzeczywistości zaś poprowadziłoby całą ekspedycję wprost w paszczę potworów. Zaraz po nim ukazał się Ram. Indra miała nadzieję, że nikt nie zauważył jej rumieńca. Ach, Ram, taki przystojny! Jakże się cieszy, że znów go widzi. Ram spokojnym, wyważonym tonem mówił o niebezpieczeństwach, starając się nie ranić przy tym Joriego.

- Czy oni tu byli? - spytała Indra nieśmiało.

- Nie - odparł Gabriel, nie odrywając wzroku od ekranu. - Joriemu zakazano opowiadać o napadzie na ciebie.

- Zakazano? Kto mu zakazał? Talornin? - z goryczą dopytywała się Indra.

- Owszem, skąd wiedziałaś?

- No właśnie - mruknęła. - Nie, nie wyłączaj, chcę widzieć, posłuchać o zwierzętach. Jestem też dość zmęczona. Czy mogłabym prosić, żebyście poszli paplać gdzie indziej?

- Oczywiście. I tak zaraz zaśniesz - obiecał Jaskari i wszyscy, uściskawszy ją delikatnie, opuścili szpitalny pokój.

Ram! Jakież to szczęście i zarazem udręka widzieć go znów. Wydał jej się jeszcze bardziej pociągający, niż zapamiętała. Miała wrażenie, że kilka razy, kiedy spoglądał wprost w kamerę, patrzył jakby na nią. I mówił właśnie do niej. Zastanowiła się nagle, jak długo właściwie tu leży. Jori jest teraz w studio telewizyjnym, a przecież był przy niej na ulicy w Zachodnich Łakach, no i ojciec zdążył dotrzeć z Sagi. Spotkanie najwidoczniej odbyło się wcześniej, bo przecież nie występowali na żywo w telewizji. Ile czasu właściwie upłynęło?

Ach, Ramie, przyjdź tutaj, tak cię potrzebuję! Boję się, że ktoś chce wyrządzić mi krzywdę.

Głos zabrał teraz prezydent, Indra słuchała go jednym uchem. Zaczęła zapadać w sen i bardzo chciała ujrzeć Rama. Jori, nie dbaj o to, co mówił Talornin, powiedz Ramowi, że tu leżę!

Jori jednak nie wiedział nic o ich nieszczęśliwym związku. Prawdę znali jedynie Oko Nocy i Elena, a ich tutaj nie było. Indra usnęła, a Ram nie pojawił się na ekranie. Miała jednak mgliste wspomnienie, że kiedy goście wychodzili, przez uchylone drzwi zobaczyła korytarz. Mignęła jej przed oczami twarz przechodzącej pracownicy szpitala. Jakaś bardzo młoda dziewczyna, prawdopodobnie pomoc salowej. Gdzie ona już widziała tę twarz? I to całkiem niedawno!

Czy to wstrząs mózgu wywoływał te straszne koszmary? A może morfina, którą jej zaaplikowano? Albo w telewizji pokazano film grozy lub to po prostu następstwa szoku, który przeżyła?

Indra obudziła się z jednego z takich snów z krzykiem przerażenia. Nie, telewizor był wyłączony, ktoś najwyraźniej zajrzał tu do niej, kiedy spała. Albo... Tak, na chwilę się przebudziła, to Armas wszedł do jej pokoju i go wyłączył. „Trzymam straż pod twoimi drzwiami” - powiedział. - „Nigdy nie wiadomo, co się może stać”.

Kochany, dobry Armas! Jak miło z jego strony, że nad nią czuwa. Ale co złego mogło ją spotkać tutaj, w bezpiecznym szpitalu?

Zadrżała, sen był naprawdę okropny. I jeśli coś się jej nie poplątało, to przyśniło jej się kilka takich koszmarów jeden po drugim. Jakaś bardzo stara, paskudna, trudna wprost do opisu kobieta szukała jej oślepiłym spojrzeniem. Musiała mieć co najmniej tysiąc lat, wyglądała jak mumia, w przegniłych łachmanach, z obwisłą skórą. Odrażająca postać pochylała się nad łózkami w wielkiej sali szpitalnej. Indra wychwyciła kilka wymamrotanych czy też wypowiedzianych szeptem słów: „Gdzie jesteś, ladacznico Babilonu, ty, która ośmieliłaś się dotykać mego Thomasa?”

Te słowa nie miały żadnego sensu.

We śnie Indra leżała ukryta w kącie sali, śmiertelnie przerażona, że zmore ją znajdzie. Wyglądała na prawdziwą wiedźmę, była rzeczywiście ohydna. Indra nie mogła wyrzucić jej obrazu z myśli. Jęknęła bezsilnie, bojąc się znów zapaść w sen.

Griselda siedziała w schowku na pościel i głośno przeklinała. Jednych drzwi pilnował jakiś mężczyzna. Zajrzała już do wszystkich sal w szpitalu, pozostawała tylko ta strzeżona. Przeklęta dziewczyna, która ośmieliła się dotknąć Thomasa, musi znajdować się właśnie tam. Ale jak ona zdoła przemknąć się obok strażnika? To jeden z tych Obcych, wysoki i potężny, chociaż jeszcze młody. Ach, jakże serdecznie ich nienawidziła. Griselda jednak nie marnowała czasu. Teraz, gdy się domyśliła, że bezwstydną dziewczuchą leży w pilnowanej sali, postara się dotrzeć do niej w sposób nadziemski. Zaczęła szukać jej w snach. Na razie to się nie udało, ale na pewno się powiedzie. Griseldy nie obchodziło ani trochę, że w pokoju może leżeć jeszcze inny, niewinny człowiek, którego również mogą razić jej przepelnione złem promienie myśli. Takie rzeczy w ogóle jej nie interesowały.

Nie zdawała sobie natomiast sprawy, że ukazuje się w koszmarach jako rozsypująca się, prastara wiedźma, którą była w rzeczywistości. Taką właśnie widział ją Thomas i taką ujrzała ją Indra. Sama Griselda krzyczałaby ze strachu i wściekłości, gdyby tylko o tym wiedziała.

No, cóż, nie musi tracić czasu na szukanie tej przeklętej kobiety, może zaatakować ją w koszmarach tak strasznych, że jej nędzne serce natychmiast przestanie bić.

To dopiero będzie wspaniałe!

Jaskari przysiadł na brzegu łóżka Indry i zmierzył jej puls.

- Miałaś dużo szczęścia. Twój ojciec Gabriel mówił, że macie w waszej rodzinie grube czaszki, i to rzeczywiście prawda. Ta deska nie trafiła na skorupkę od jajka.

- Jak powinnam rozumieć określenie „gruba czaszka”? Zresztą wszystko jedno, cieszy mnie ten rodzinny defekt, jeśli można to tak nazwać. Jaskari, muszę z tobą o czymś porozmawiać.

- Ze mną? A cóż to za sprawa?

- Elena. Ona bardzo cierpi, czy nie możesz się nad nią zlitować?

Chłopak odwrócił twarz.

- Nie, dopóki nie nabiorę pewności, że ona myśli o mnie poważnie.

Indrę ogarnął gniew, a to z całą pewnością nie wyszło jej na zdrowie.

- A kiedy i w jaki sposób będzie mogła ci to udowodnić, jeśli nie dajesz jej żadnych szans? Jesteś najbardziej egoistycznym mężczyzną, o jakim słyszałam! A co z okazywaniem innym odrobiny zaufania zamiast posądzania ich o hipokryzję i użalania się nad sobą?

- Ty tego nie rozumiesz - odparł chłodno. - Elena jest taka niestała, jeśli chodzi o romanse.

- Elena nie jest wcale gorsza od nas wszystkich. Ile razy sam się pomyliłeś, zakochując się w lalkowato pięknych dziewczętach, tylko po to, żeby odkryć, że ich serca są puste? Jaskari miał przynajmniej dość wstydu, by wyglądać na winnego.

Indra podjęła jeszcze energiczniej:

- Elena była niedojrzała, to prawda, ale ma do tego prawo. Myśli jednak przecież o tobie dniem i nocą, płacze z rozpaczy dlatego, że nie chcesz przyjąć jej miłości, chociaż sam powiedziałeś, że ją bardzo kochasz. Czego ty od niej żądasz? Żeby czołgała się przed tobą na kolanach i całowała zabłocone mankiety u spodni?

Jaskari wybuchnął śmiechem.

- Właściwie powinienem się gniewać, ale chyba rzeczywiście zmusiłaś mnie do zastanowienia, Indro.

- Tak, na Boga, człowieku, musisz chyba umieć znieść klęskę, jeśli okaże się, że miałeś rację,

- Nie wtedy, gdy chodzi o Elenę - odparł - Ona zbyt wiele dla mnie znaczy. Nie zniósłbym, gdyby mnie opuściła.

- Bardzo, bardzo wielu ludzi boi się tego, a mimo wszystko wciąż próbują. Jaskari, zachowujesz się jak głupiec. Ja nigdy nie będę mogła dostać tego, kogo kocham, to niemożliwe. A ty masz ten przywilej, że dziewczyna, którą wybrałeś, kocha cię, a mimo to

zadzieras nosa i mówisz „nie, dziękuję”. To szczyt arogancji i użalania się nad sobą. I tchórzostwa!

Upłynęło trochę czasu, zanim Jaskari, wzburzony, lecz zdecydowany, zszedł na dół do sali operacyjnej. Dopiero wtedy uświadomił sobie, co powiedziała Indra.

„Nigdy nie będę mogła dostać tego, kogo kocham, to niemożliwe”.

Indra zakochana? Zajęty sobą nie zwrócił uwagi na te słowa. Nigdy nie dostanie tego, kogo chce? Cóż to za gadanie, o kim mówiła?

Teraz jednak było za późno, by wrócić na górę i wypytywać. Wzywały go obowiązki.

Indra przez pewien czas leżała sama. Odwiedziny Jaskariego były mile widzianym przerwaniem, teraz znów powrócił strach i wrażenie, że gdzieś niedaleko czai się zło.

Tak, takie właśnie miała wrażenie. Świadomość, że Armas czuwa pod drzwiami jej pokoju, przydawała poczucia bezpieczeństwa, mimo to jednak w jej pobliżu kryło się coś tajemniczego, ktoś albo coś, co chciało jej wyrządzić krzywdę.

- W biały dzień zwidują ci się duchy! - prychnęła do siebie, lecz przeświadczenie nie chciało jej opuścić. Można to oczywiście przypisywać przeżytemu szokowi, wywołanemu świadomością, że ktoś nie lubi jej do tego stopnia, że chce ją zabić. Lecz na tym nie koniec. Było coś jeszcze, coś trudnego do określenia, strasznego, przerażającego.

Ach, Ram, gdybym tylko mogła z tobą pomówić!

Powoli zaczęła zdawać sobie sprawę, jak bardzo ona i jej przyjaciele uzależnili się od Rama. Żyli ze świadomością, że zawsze znajduje się gdzieś w pobliżu ich grupy, chroni ich i wszystko załatwia. Zawsze tak było. Teraz, przez jej słabość do niego, zresztą odwzajemnioną, Talornin przeciął związek Rama z grupą. Wysoko postawiony Obcy uznał, że od tej pory powinni sobie radzić sami.

Być może rzeczywiście tak powinno być, nie znaczyło jednak, że tak właśnie jest. Przyszła Elena z kwiatami.

- Jak na zamówienie - uśmiechnęła się Indra. - Właśnie z tobą chciałam porozmawiać. Dziękuję za bukiet, połóż go na stole, a jakiś dobry duch zaraz się nim zajmie.

Elena nie miała czasu na wstępne uprzejmości. Policzki jej płonęły.

- Musiałam tu przyjść, żeby ci o wszystkim opowiedzieć - zaczęła zdyszana. - Jaskari dzwonił, chce się ze mną spotkać, i to jak najszybciej, w najbliższy wolny wieczór.

- To wspaniale - rozpromieniła się Indra. - Rzeczywiście, jakiś czas temu powiedziałam mu kilka słów do słuchu.

Elena należycie potraktowała wyraźnie „jakiś czas temu”. To dość ogólnikowe określenie mogło oznaczać zarówno „przed chwilą”, jak i „przed tygodniem”.

- Tak, wspominał mi o tym, mówił, że prawilaś mu kazanie i pokazałaś jego głupotę. Tak powiedział. Stwierdził też, że powinniśmy spróbować. Och, Indro, taka jestem szczęśliwa i taka spięta. W co mam się ubrać? Jak ja wyglądam?

- Przestań zajmować się błahostkami, on chce cię taką, jaka jesteś. I wyglądasz dobrze. Rozumiem, że kwiaty to podziękowanie za moją wspaniałą interwencję?

- Również, ale przede wszystkim dlatego, że nie zasłużyłaś, by ktokolwiek napadał na ciebie w taki sposób.

Nareszcie przypomniało jej się, co mówiła Indra na początku rozmowy.

- O czym chciałaś ze mną rozmawiać? O Jaskarim i o mnie?

- Nie, na bardziej egoistyczny temat. Eleno, pomagamy sobie nawzajem z naszymi trudnymi mężczyznami. Czy ty możesz pomóc mi jeszcze raz?

- Oczywiście, przecież właśnie po to dla siebie jesteśmy.

Indra poczuła, że cudownie jest mieć zaufaną przyjaciółkę. Opowiedziała jej o zakazie Talornina, który nie pozwolił na poinformowanie Rama o tym, że jest ranna i że jej życiu groziło niebezpieczeństwo.

Zdaniem Eleny był to postępek bez serca, paskudne zachowanie, czym prędzej więc wyszła zatelefonować do Rama.

- Bo przecież ja nic nie wiem o tym zakazie - mrugnęła konspiracyjnie do Indry na pożegnanie.

Działanie morfiny zaczęło ustępować już podczas wizyty Eleny. Piekielny ból znów rozsadał głowę. Indra zadzwoniła na pielęgniarkę, która zajęła się kwiatami i zatroszczyła o nowy zastrzyk

Indra, uwolniona od bólu, powoli zapadała w sen.

Znów śniła, tym razem sen był inny, bardziej natrętny, bardziej... fizyczny. Jak gdyby ktoś uparł się dręczyć jej ciało, lepiej nawet sama sobie nie umiała tego wytłumaczyć.

Była bardzo samotna, sama w całym świecie. Nie znajdowała się w Królestwie Światła, lecz na Ziemi, gdzieś na pustyni.

Griselda była prawdziwą specjalistką od nasyłania przykrych snów na ludzi, których nie lubiła. Nie oszczędzała Indry, uderzała ją w obolałą głowę, ścisnęła za serce, wykręcała ręce, kopała i biła. A wszystko to wywoływała tylko i wyłącznie dzięki własnej sile myśli, siedząc w kącie schowka na pościel.

Indra przebudziła się ze zduszonym krzykiem, omroczone działaniem morfiny. Ten sen był taki rzeczywisty, odczuwała ból w całym ciele. Wkrótce jednak cierpienia ustały, odetchnęła spokojniej.

Co się z nią działo? Nie mogła tego pojąć.

W pokoju było ciemno, pod nocnym stolikiem paliła się tylko nieduża zielona lampka.

Indra leżała z przymkniętymi oczami, gdy usłyszała, że drzwi się otwierają i zaraz zamykają.

Uniosła powieki, oczy nie przywykły jednak do ciemności. Dostrzegła tylko wysoką postać, stojącą przy drzwiach, ale więcej widzieć nie potrzebowała.

- Ram - szepnęła, promieniejąc z radości.

Zbliżył się o parę kroków.

- Przyszedłem natychmiast, jak tylko dowiedziałem się o wszystkim od Eleny - powiedział. Głos mu drżał od tłumionych uczuć. - Tym razem Talornin posunął się za daleko, nie omieszkałem mu zresztą tego wypomnieć!

Przysiadł na brzegu łóżka i ujął ją za rękę. Niebiańsko było go mieć tak blisko przy sobie. Niewypowiedzianie cudownie.

- Indro, moja droga dziewczyno, co się stało? Armas mówił mi o wszystkim i... No tak, sama czujesz, jak trzęsą mi się ręce. Ale co się za tym kryje?

Indrze drżały usta.

- Boję się, Ram.

- Ja także. Nie wiem, jakie zło krąży po Królestwie Światła, ale odnajdę je, dotrę do prawdy.

- Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zostaniesz przy mnie.

Pogładził ją po policzku.

- Kiedy odejdę, dzień i noc ktoś będzie nad tobą czuwał.

Opowiedziała mu też o straszliwych koszmarach sennych, o tym, jak bardzo są żywe, i o swoim strachu przed złem czającym się w pobliżu.

Ram słuchał jej z powagą, obiecał, że to zbada.

- Natychmiast przepytam ludzi w szpitalu, nie dlatego, żebym podejrzewał, że ktoś się tu ukrywa, ale chcę, byś czuła się bezpieczna.

- To dobrze, poczucie bezpieczeństwa jest bardzo ważne. Która godzina, czy nastał już nowy dzień?

- Tak, wkrótce będzie obchód. Armas musi mieć zmiennika, a na mnie też ktoś czeka. Ale wszystko załatwię, Indro, nic złego już ci się nie stanie. Zaraz znajdziemy kogoś, kto zastąpi Armasa, a ty wypoczywaj.

Wstał, przez moment stanął z wahaniem, jak gdyby chciał wziąć ją w objęcia, ale przecież tego nie wolno mu było robić. Ucisnęła go za rękę na znak, że rozumie i podziela jego pragnienia.

Szepnęła jeszcze:

- Wrócę tak prędko jak tylko będę mógł. Oni się dobrze tobą zajmują, zaciemniają twój pokój tak, żebyś mogła spać.

Odszedł. Indrę ogarnął błogi spokój. Odwiedziny Rama w jednej chwili odmieniły całą sytuację. Przestała się już tak strasznie bać. Ram się o wszystko zatroszczy, jak zawsze, ufała mu, a teraz jeszcze łączyło ich coś więcej, coś bardzo delikatnego i pięknego.

W tym momencie nie miało aż tak wielkiego znaczenia, że nie wolno im być razem. Najważniejsze, że mogli sobie ufać i dzielić smutny los, jaki im przypadł. Akurat w tej chwili to było dla Indry najważniejsze.

Usnęła z gorzkosłodkimi myślami, pod wpływem kojącego działania morfiny...

Atak nastąpił całkiem nieoczekiwanie.

Spała bez snów, w objęciach środka uśmierzającego ból, kiedy nagle obudziła się wstrząśnięta.

To już nie był koszmar senny, lecz straszna rzeczywistość!

Jakaś istota wpadła do pokoju i rzuciła się na nią. Ostre, przypominające szpony paznokcie szarpały, rozorywały jej twarz, wydrapując z wściekłością głębokie, długie rany.

Ach, nie, nie niszczyć najlepszego, co mam, nie niszczyć mojej skóry, myślała Indra czując, że coś knebluje jej usta, żeby nie mogła krzyknąć.

9

Indra po omacku usiłowała odnaleźć dzwonek. Była wszak półprzytomna, zamroczona morfiną, lecz ludzki instynkt samozachowawczy jest ogromny.

Napastnik nie bardzo się orientował w zwyczajach panujących w szpitalu. Indrze nic nie przeszkodziło w próbach dotarcia do dzwonka. Okropną postacią, która siedziała jej na brzuchu, powodowała olbrzymia wściekłość, Indra czuła, jak kościste kolano wciska się

jej w pierś, słyszała przyspieszony oddech, twarz nieludzko ją bolała, w głowie się kręciło, próbowała krzyknąć, ale usta miała zatkane. Knebel wprawdzie pachniał czystością, lecz mimo to docierał do niej jakiś odór, który ledwie dawało się wytrzymać. Dzwonek. Przycisnęła go gorączkowo, jak szalona.

Z oddali rozległy się krzyki.

Napastnik musiał się zorientować, co zrobiła. Po ostatnim, niezwykle bolesnym zadrapaniu i wypowiedzianym syczącym szeptem przekleństwie „psiajucha”, istota znów wymknęła się przez drzwi.

Indra z trudem chwytła oddech. Udało jej się wyjąć knebel z ust, próbowała otrzeć krew spływającą z twarzy na poduszkę, szlochała i łkała ze strachu, wzywając Rama, ale on zapewne dawno już odszedł.

Nie był jednak daleko, w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka minut od momentu, kiedy opuścił jej pokój. Rozmawiał właśnie z Armasem i jednym z wartowników szpitala, który miał go zastąpić, gdy nocne pielęgniarki nadbiegły, kierując się w stronę korytarza Indry.

- Czy to ona...? - zaczął Ram.

- Tak - odparła siostra. - Jakieś takie rozpaczliwe dzwonicie, jakby w panice, wskazuje na coś więcej niż tylko pogorszenie jej stanu.

Pospieszyli za pielęgniarkami, Armas przeklinał pod nosem, że zostawił pokój Indry bez opieki. Ram przyjął na siebie połowę winy; należało bardziej wziąć sobie do serca lęk Indry przed zagrożeniem, które kryło się w pobliżu.

Żadnemu jednak nie śniło się nawet, że niebezpieczeństwo może znajdować się aż tak blisko.

Jeszcze bardziej się przerazili, ujrawszy, co się naprawdę stało.

- Ach, nie! - jęknął Armas. - Indra, dziewczyna o najpiękniejszej cerze w Królestwie Światła!

Ram nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Wziął dziewczynę w objęcia, tuląc jej krwawiącą twarz do piersi. Pielęgniarki działały skuteczniej, sprowadziły lekarzy i Strażników, obmyły twarz dziewczyny i usiłowały opatrzyć rany najlepiej, jak umiały.

W tym czasie Armas wydał rozkaz dokładnego przeszukania całego szpitala. Ten, kto to zrobił, musiał nienawidzić Indry nienawiścią, która wydawała się im wręcz nierealna.

Armas cicho i dyskretnie zwrócił się do Rama:

- Ram... wiem o waszej miłości, Elena powiedziała mi o tym dziś wieczorem. Znasz kogoś, kto by się w tobie kochał i był zazdrosny o Indrę?

Ram zmarszczył brwi.

- Nie, nie, to niemożliwe, odpowiedź musi leżeć gdzie indziej. - Oczy, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej mu pociemniały. - Chyba że...

- Co takiego?

Piękny Lemur siedział wciąż na brzegu łóżka Indry, przeszkadzając pielęgniarkom, one jednak nie miały serca poprosić, by się przesunął. Zauważyły już uczucie łączące Rama i Indrę. Owszem, były zdumione, ale uważały także, że to bardzo piękne.

- Myślałem o... - zaczął Ram. - Myślałem o Oliveirze da Silvie. To bardzo dziwny i niezrównoważony człowiek. Czy możliwe, żeby to on rzucił się na Indrę?

Dziewczyna odpowiedziała sama:

- Och, nie, ta osoba była mniejsza, lżejsza i okropnie cuchnęła. Jakiś taki dziwny zapach, smród, powiedziałabym raczej.

- I nikt, kogo byś znała, Indro?

- Absolutnie, nie, ale...

- Mów, o czym myślisz.

- Ten potwór, kiedy zorientował się, że wezwałam pomoc, użył bardzo staroświeckiego wyrażenia, „psiajucha”. Nikt chyba już tak teraz nie mówi.

- Rzeczywiście, brzmi to dosyć śmiesznie, dziewiętnasty wiek albo jeszcze wcześniej - ocenił Armas.

Jaskari zakończył już dzień pracy, twarzą Indry zajęło się więc dwóch innych lekarzy.

- Paskudne zranienia - rzekł jeden do drugiego. - Musimy zabrać ją natychmiast na stół operacyjny, są zbyt głębokie...

- Czy znów będę ładna? - uśmiechnęła się Indra, nieudolnie siląc się na nonszalancję.

Nic na to nie odpowiedzieli, patrzyli tylko na siebie, jak gdyby jeden u drugiego szukał wsparcia. Indra umilkła załamana.

Przy drzwiach zapanowało jakieś zamieszanie. Pielęgniarka oznajmiła:

- Odwiedziny do Indry. Czy ona może przyjąć gości?

Ram wstał.

- Nie teraz, ona... A kto przyszedł?

- Oliveiro da Silva.

- Wpuście go - ostrym głosem nakazał Ram.

Oliveiro, przystojny południowiec, wszedł do pokoju. Na jego widok odezwał się uczony Armas:

- Nosisz portugalskie nazwisko, a wydawało mi się, że mówiłeś, iż jesteś Hiszpanem. Ale po hiszpańsku nazywałbyś się raczej Oliveiro de Silva.

Gość nieśmiało pokiwał głową, sam nie bardzo wiedział, skąd wywodziło się imię, które sobie przysposobił.

- Masz rację - mruknął. - Słyszałem, że Indrę napadnięto na ulicy, w drodze z mojego domu. Chciałem jedynie...

Dostrzegł wreszcie dziewczynę i zakrwawiony mundur Rama.

- Ale co tu się stało? To przecież wygląda świeżo.

- Kolejny napad - odparła Indra, uśmiechając się z trudem, ból bowiem był nie do zniesienia. - Tu, w szpitalu.

Oliveiro zdrętwiał, bukiet kwiatów komicznie zwiślał mu z ręki.

- Nic nie rozumiem.

Indrze założono prowizoryczne opatrunki, miała więc problemy z poruszaniem ustami.

- Ktoś mnie nienawidzi, Oliveiro.

Czuła łzy napływające do oczu i rozgniewała się sama na siebie. Próbowwała przecież traktować wydarzenia lekko, nic sobie z nich nie robić, wszystko jednak się temu sprzeciwiało. Nie umiała nawet zapanować nad płaczem.

- Ależ tu już się nic nie poradzi! - wykrzyknął Oliveiro. Zdumienie wzięło w nim górę nad delikatnością. - Twarz jest przecież strasznie pokancerowana.

- Nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków - powstrzymał go jeden z lekarzy. - W Królestwie Światła sporo potrafimy, nasi lekarze...

- Żaden lekarz nie zdoła wyrównać szram, które... Ach, wybacz mi, Indro, po prostu nie mogłem zapanować nad wzburzeniem.

Wszyscy obecni zauważyli, iż rzeczywiście jest zdenerwowany, i to bardziej niż usprawiedliwiłoby to jego związek z Indrą. Kwiaty, które trzymał w ręku, trzęsły się niczym liście osiki.

Wiedziała, pomyślała Indra zasmucona, wiedziała, że nigdy nie odzyskam swojej ślicznej cery. Co na to powie Ram?

Niemądra Indra, ale kobiety często myślą podobnie. Jakie znaczenie ma uszkodzona skóra dla tego, kto kocha szczerze i gorąco?

Lekarze zajęli się przygotowaniami do przeniesienia chorej, wtóczono łóżko na kółkach.

W tym czasie nadeszły trzy dziewczynki, Berengaria, Siska i Sassa, zaskoczone zatrzymały się w drzwiach. Przyniosły pudełka czekoladek i kolorowe gazety.

Przez chwilę w pokoju chorej panował prawdziwy chaos.

Sytuacji nie polepszyła Oriana, która zjawiła się z olbrzymim bukietem. I ona stanęła w progu.

Indra, bliska szaleństwa z bólu i rozrywającego czaszkę łomotania w głowie, po omacku zaczęła szukać dłoni Rama. Uścisnął ją za rękę uspokajająco.

- Przyjdźcie później, dziewczynki - poprosił. - Indrę zaraz zawiozą na salę operacyjną, muszą pozszywać jej twarz.

Sassa, która nieczęsto się odzywała, szeroko otworzyła oczy.

- Ależ Indro, kto tak ci zniszczył buzię? Marco musi się nią zająć, wiesz przecież, że zlikwidował moje rany po oparzeniu.

W pokoju chorej nagle jakby ktoś zapalił światło. Lekarze popatrzyli po sobie z wyraźną ulgą.

- Tak na pewno będzie dla niej najlepiej - stwierdził jeden z nich. - Bez względu na nasze umiejętności, muszę przyznać, że sami nigdy byśmy sobie nie poradzili z tymi zranieniami.

Ram prędko wyciągnął telefon i wykręcił numer.

- Marco? Przybądź natychmiast do wielkiego szpitala. Indrze okaleczono twarz, nie uda jej się połatać, nie pozostawiając przy tym bardzo nieładnych blizn.

- Już idę - rozległ się głos Marca.

- Czy on nie jest w Nowej Atlantydzie? - zdziwił się Oliveiro.

- Marco przybędzie bez względu na to, gdzie jest - spokojnie odparł Ram, a pozostali pokiwali głowami. Lepiej znali sytuację.

- Dziękuję, Sasso, że powiedziałaś to, o czym wszyscy powinniśmy byli pomyśleć wcześniej.

Nieśmiała dziewczynka rozjaśniła się.

- Wrócimy później, Indro, po wizycie Marca.

- Och, tak, obiecacie, że wrócicie - poprosiła Indra. Wzruszyła ją troska młodych dziewcząt, właściwie niewiele przecież miała z nimi do czynienia.

Lekarze zakończyli swoją pracę, pozostawiając resztę Marcowi. Wyraźnie cieszyli się, że przybędzie im z pomocą. Ram wiedział, dlaczego. Zranienia Indry były bardzo rozległe, dziewczyna nie zdawała sobie nawet sprawy, jak dotkliwie ją pokaleczono. Na szczęście nie uszkodzono jej oczu, ale paznokcie ostre jak ptasie szpony wbiły się głęboko w policzki i poszarpały twarz wszerz i wzdłuż, jak gdyby celem napastnika było dokonanie jak największych zniszczeń w jej urodzie.

Kiedy dziewczęta gotowały się do wyjścia, Ram dyskretnie dał znak Orianie, żeby została.

Spod drzwi w zamyśleniu obserwowała Indrę Berengaria. Młoda pannica ostatnio dojrzała i zrobiła się wręcz grzesznie piękna. Biedny Oko Nocy, pomyślała Indra.

- Wygląda mi to na dzieło kobiety - stwierdziła Berengaria.

- Ja także o tym myślałem - przyznał Armas. - Ale Ram odrzuca możliwość czyjejkolwiek zazdrości z jego powodu. Indro, nie pamiętasz więcej szczegółów?

- To była nieduża, lekka osoba. Cuchnęła. Wykrzyknęła „psiajucha”. Doprawdy, nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

Oliveiro da Silva wyraźnie czuł się nieswojo.

Indra zastanowiła się.

- No i jeszcze te koszmary...

- Koszmary? - szepnął Oliveiro przerażony. - Jakie koszmary?

Wyjaśniła. Oliveiro denerwował się coraz bardziej, szczególnie gdy opowiedziała o prastarej kobiecie ukazującej się w jej snach. Kwiaty wypadły mu z bezwładnej dłoni.

Oriana podniosła bukiet i zmusiła Oliveira, by usiadł pod ścianą na niedużej sofce przeznaczonej dla gości. Na wszelki wypadek przycupnęła obok niego. Rzeczywiście widać było, że z tym człowiekiem jest źle.

- Czy ta stara coś powiedziała, Indro? - spytał Oliveiro zachrypniętym głosem.

Ram i Armas przyglądali mu się zdumieni. Lekarze wyszli, została tylko jedna pielęgniarka. Z recepcji otrzymali wiadomość, że przybył książę Marco. Dziewczynki zaofiarowały się, że wyjdą mu na spotkanie i opowiedzą, co się stało, i nareszcie opuściły pokój chorej. Wyprowadzono nosze..

- Czy coś powiedziała? - zastanawiała się Indra, której mówienie wciąż sprawiało kłopot. Jedno zadrapanie rozerwało jej kącik ust, z rany płynęła krew, przy każdym poruszeniu warg piekielnie bolało.

- Nie, nie udało mi się nic usłyszeć.

Oliveiro pokiwał głową. Wyraźnie pozieleniał na twarzy.

- No tak, wszystko się zgadza, trudno zrozumieć jej słowa.

- Ależ tak! - wykrzyknęła Indra akurat w momencie, gdy do pokoju wszedł Marco, niosąc ze sobą światło, spokój i pociechę. - Ależ tak, raz coś powiedziała, rozumiałam to, ale to były jakieś brednie. I... przecież, moi drodzy, to tylko sen!

- Powtórz, co to było - zachęcił ją Ram.

Marco przysiadł na łóżku Indry i ujął jej twarz w dłonie.

- Ach, twój dotyk działa tak kojąco - westchnęła Indra. - Nie przerywaj, Marco! No tak, co to było, to takie niemądre. Pozwólcie mi się zastanowić. „Gdzie jesteś, ladacznico

Babilonu...” Nie, nie pamiętam, to jakaś bzdura. Chyba... chyba: „Ty, która ośmieliłaś się dotykać mojego Thomasa”. Tak, tak właśnie było, kompletny idiotyzm.

Oliveiro pobladał jak trup, Oriana delikatnie objęła go, a on jak zagubione dziecko złapał ją za rękę.

- Wiedziałem - szepnął. - Ona tu jest, od pewnego czasu wyczuwam jej obecność. A więc mnie odnalazła.

- Kto taki? - ostro spytał Ram, młody człowiek bowiem zdawał się pograżać we własnych myślach.

Oliveiro wolno przeniósł spojrzenie na Rama.

- To ja jestem Thomas. Nie nazywam się Oliveiro da Silva, to tylko imię, które przybrałem dla ochrony, aby nie mogła mnie wytropić, ale i tak jej się udało. Dotarła aż tutaj, do tego błogosławionego świata. Moje prawdziwe imię brzmi Thomas Llewellyn, a ta nadzwyczaj niebezpieczna wiedźma ściga mnie od trzystu ziemskich lat.

10

- Wiedźma? - powtórzył Ram z niedowierzaniem, Indry natomiast ani trochę nie zdziwiła nowa wiadomość. - Co masz na myśli, mówiąc o wiedźmie?

- Najgorsze znaczenie tego słowa - odparł Thomas. - Ona jest bardziej niż śmiertelnie niebezpieczna. Dzięki temu, że znalazłem się tutaj, uniknąłem śmierci na Ziemi. Byłaby to dla mnie prawdziwa katastrofa, ona bowiem posiada moc, by prześladować człowieka nawet po jego zgonie.

Marco opuścił ręce.

- Czy nie moglibyście pójść porozmawiać gdzieś w jakieś inne miejsce? Nie mogę się skupić na ranach.

- Oczywiście - zgodził się Ram.

Marco jednak i z takiego rozwiązania nie był zadowolony.

- Wydaje mi się, że i Indra, i ja, chcielibyśmy usłyszeć, co masz do powiedzenia, Oliveiro, czy też może powinienem już mówić „Thomasie”. Gdybyście mogli wstrzymać się z tym, aż skończę...

- Zaczekamy na zewnątrz. Tylko jedno pytanie, Thomasie. Dlaczego ona cię ściga?

Młody człowiek opuścił ramiona zrezygnowany

- Ona mnie pragnie. Raz już mnie miała, posłużyła się w tym celu obrzydliwym, ohydny wręcz magicznym środkiem. Kiedy się zorientowałem, co zrobiła i jakim jest potworem, wydałem ją. Powieszono ją w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym pierwszym, niedaleko Bostonu w Massachusetts.

- Czarownice z Salem - mruknęła Oriana.

- Salem to sąsiednie miasteczko. Całe Massachusetts ogarnęły niczym zaraza kłamstwa i plotki związane z czarami, a także ataki Kościoła, skierowane przeciwko niewinnym kobietom. Lecz Griselda nie była niewinna, o, nie, to prawdziwa czarownica! Sama rozpuszczała plotki o wszystkich niewiastach, które czymś się jej naraziły... Oj, ale straciłem wątek. Jasne się stało, że jestem jej ulubieńcem i nigdy nie wybaczyła mi tego, co zrobiłem. Groziła, że będzie mnie prześladować za życia i po śmierci. Mówiła, że nigdy się od niej nie uwolnię. A teraz nastaje również na Indrę. W jej chorym umyśle

zrodziła się zapewne myśl, że nas dwoje coś łączy, Indra jest w bardzo poważnym niebezpieczeństwie.

- Widzieliśmy to - cicho zauważył Armas.

Marco odsunął dłonie od twarzy Indry, natychmiast zaczęło jej ich brakować.

- Zrobimy tak: przeniesiemy Indrę do mojego pałacu, tam będzie bezpieczna, a ja spokojnie dokończę leczenie. Wiesz dobrze, Indro, że tego nie da się załatwić w jeden dzień. Dość długo musiałem zajmować się Sassa, zanim jej blizny zniknęły. Ale uczynimy cię na powrót piękną, jak byłaś przedtem.

- Nigdy nie byłam za piękna, możesz dodać coś od siebie.

Uśmiechnął się.

- Najlepiej będzie chyba, jeśli Thomas również przeniesie się do mojego domu w Sadze...

- Daleko mam stamtąd do pracy, a im dłużej będę w drodze, tym łatwiej Griselda mnie dopadnie.

- Jak chcesz, ale musisz mieć jakąś ochronę.

- Traktujecie więc moje słowa poważnie?

- A jak można nie traktować poważnie tego, co się tu stało? - spytał Marco, wskazując na okaleczoną twarz Indry.

W salonie Marca zebrali się wszyscy zainteresowani rozwiązaniem sprawy czarownicy, a także jej dwie ofiary. Obecny był też Talornin, dostojny, majestatyczny i tak niezwykle, jak tylko może być Obcy. Ubrany w bogato zdobioną szatę, świadcząca o zajmowanej przez niego wysokiej pozycji, bacznie przyglądał się zebrany. Jego spojrzenie było o wiele surowsze niż zazwyczaj.

Ram starał się więc nie zbliżać do Indry, usadowił się tylko tak, by swobodnie mogli na siebie patrzeć. Omijał ją jednak wzrokiem.

Ach, Ram był taki piękny, Indrę piekło w środku od samego patrzenia na niego. Przebrał się, zdjął zakrwawiony mundur, jego czarne włosy jak zwykle aż błyszcząły, miękko opadając na ramiona, lecz ciemne oczy wyrażały raczej rozgoryczenie niż zatroskanie, raczej gniew niż czułość.

Dlaczego tak jest, Ramie, dlaczego? Skąd tyle rezerwy, czemu trzymasz się tak daleko ode mnie?

Strach i przerażające wydarzenia przestały się w tej chwili całkiem dla niej liczyć. Sądziła wszak, że upłynie bardzo długi czas, zanim znów ujrzy Rama, a tymczasem wszyscy siedzieli razem. Właściwie więc powinna być wdzięczna tej Griseldzie, ale do takich uczuć było jej daleko. Istnieją pewne granice.

A w dodatku, skoro Ram stał się taki odległy, radość z powtórnego spotkania gdzieś się rozplynęła.

Na zebranie w pałacu Marca chyłkiem wemknęły się również trzy najmłodsze dziewczynki, zamierzały przecież odwiedzić Indrę w szpitalu i uważały się prawie za świadków wydarzenia, a Marco nie miał serca ich przeganiać. Poza tym Siska została już członkiem Najwyższej Rady, jej obecność więc była właściwie oczywista.

Znajdowała się wśród nich także Oriana. Przybyła na prośbę Rama, kierującego się dość niejasnymi motywami. Sam właściwie nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo chce, aby Thomas Llewellyn zaprzyjaźnił się z inną kobietą, a nie z Indrą.

A skoro on sam nie wiedział, co nim kieruje, to jak Indra mogła pojąć, co kryje się w jego myślach?

Obecność Joriego nikogo nie dziwiła, nie było wśród nich natomiast Armasa, który pojechał do domu i dosłownie runął na łóżko, wymęczony trwającym ponad dobę czuwaniem nad Indrą.

- A więc ona nazywa się Griselda - pokiwał głową Rok, którego także wezwano na spotkanie. - Oczywiście sprawdziliśmy to w rejestracji, lecz nie ma śladu, by jakkolwiek Griselda przybyła do Królestwa Światła...

Nie było w tym nic dziwnego, młoda kobieta, która ośmieliła się zachichotać, słysząc imię czarownicy, wciąż przebywała w domu, nie mogąc sobie poradzić z tajemniczymi kłopotami żołądkowymi, nigdy więc o nic jej nie spytano, a Griselda zdecydowała się natychmiast na zmianę imienia, twierdząc, że poprzednio tylko sobie zażartowała, a naprawdę nazywa się Evelyn Barth. Pod tym nazwiskiem ją zarejestrowano. Podała też, że ma piętnaście lat i że po śmierci rodziców została sama na świecie.

O tym, rzecz jasna, nie wiedzieli zgromadzeni w umeblowanym na biało salonie Marca, pełnym bladoczerwonych róż w lazuroniebieskich wazonach. W sąsiednim pokoju dominowała czerń, kolor księcia, lecz i tam stały róże w niebieskich wazonach.

Marco dokonał prawdziwego cudu z twarzą Indry, choć do zakończenia kuracji było jeszcze daleko. Ale na policzkach, wśród opuchlizny i rozległych sińców, w miejscu otwartych ran widniały już tylko czerwone smugi. Indra siedziała w kącie sofy, pozwolono jej także wyciągnąć nogi za plecami najmłodszych dziewcząt, usadowionych prawie na baczność jedna obok drugiej.

Berengaria, obdarzona niezwykłą, niebezpieczną wprost urodą, Siska, księżniczka, delikatnej budowy, trzymająca się niezwykle prosto, o długich, jedwabistych czarnych włosach rozpuszczonych na plecach, z wrodzonym dostojemstwem bijącym z subtelnych rysów. I Sassa, nie będąca niczym innym, jak tylko nieśmiałą próbą ukrycia się tak, by nikt nie zwracał na nią uwagi. Kiedyż wreszcie opuszczą ją mroczne cienie dzieciństwa? Kiedy nauczy się doceniać swoją wartość? Widać przeżycia okazały się zbyt straszne, wypadek, oparzenia twarzy, śmierć ojca i obojętność matki, która zostawiła dziecko. Nic dziwnego, że Sassa nie potrafiła się polubić.

- Jak wygląda ta Griselda? - dopytywał się Rok.

Thomas skrzywił się.

- Wprost trudno mi o niej myśleć. Ma około czterdziestu, czterdziestu pięciu lat i z wyglądu przypomina pobożną, bezbarwną gospodynię domową. (Griselda, gdyby to usłyszała, nie posiadałaby się ze złości). Kiedyś zapewne miała rude włosy o odcieniu marchewki, teraz posiwała, wygląda bardzo zwyczajnie, ale ma straszne oczy. Małe i przenikliwie patrzące.

- Kiedy ja ją widziałam, była prastara - zaprotestowała Indra z sofy.

Thomas przeniósł na nią spojrzenie pięknych oczu.

- Taka jest tylko w koszmarach, przypuszczam, że wtedy ukazuje się jej prawdziwe oblicze.

Marco pokiwał głową.

- Ja też tak myślę. To znaczy, że ona w jakiś sposób powraca po śmierci. Potrafi też ścigać człowieka w królestwie zmarłych, umie doprowadzić mężczyzn do szaleństwa, jak słyszeliśmy z tej smutnej historii opowiedzianej przez Thomasa, a później zesłać na nich zapomnienie. Poza tym utrzymuje stosunki z inkubem, chociaż jeśli o to chodzi, Thomasie, to chyba się pomyliłeś. One nie zachowują się w taki sposób. Myślę, że to jakiś inny rodzaj diabła. No cóż, mamy do czynienia z nadzwyczaj potężną i niebezpieczną czarownicą.

- A więc nie ma nadziei - westchnął Thomas zrezygnowany.

Marco uśmiechnął się tajemniczo.

- Nie mów tak, popełniła wielkie głupstwo, przybywając tutaj.

Uśmiechnęli się wszyscy oprócz Thomasa, który nie wiedział, o czym mowa.

- Griseldzie ziemia prędko zacznie palić się pod nogami, jeśli jeszcze choć raz spróbuje zaatakować Indrę - oświadczył Rok wesóło.

Wreszcie odezwał się Talornin:

- Czy ona długo przebywa w Królestwie Światła?

- Wydaje mi się, że nie - odparł Thomas. - Nie wiem, kiedy tu przybyła, bo zacząłem wyczuwać jej obecność stopniowo, z początku bardzo delikatnie, później coraz silniej.

- Ostatnio nie pojawił się nikt, kto by choć trochę ją przypominał - stwierdził Rok. - W ubiegłym roku przybyło dwóch mężczyzn, a przed kilkoma miesiącami nastolatka. W zeszłym miesiącu, oprócz Oriany i Pauli, zjawiała się pewna rodzina.

Zapadła cisza. Spojrzenia wszystkich skierowały się na Oriane.

- Nie - oświadczyła Indra zdecydowanie. - To na pewno nie Oriana.

- My też wcale tak nie myślimy - odparł Rok. - Ale może Paula?

Paula? Rzeczywiście, odpowiadała opisowi.

- Nie - stwierdziła Oriana. - W istocie pasuje wiekiem i chełpiła się, że jest czarownicą, ale to najbardziej beznadziejna czarownica, o jakiej kiedykolwiek słyszałam. Nic się jej nigdy nie udało, niczego nie wiedziała, umiała jedynie takie rzeczy, o których każdy może przeczytać.

- Mnie także trudno sobie wyobrazić Paulę jako śmiertelnie niebezpieczną wiedźmę. Jej działania wydają się całkiem przypadkowe, jak wtedy, gdy naraziła życie Oriany, pożyczając sobie od niej imię.

- Zbadaj wszystko, co dotyczy Pauli - nakazał Talornin Rokowi.

Lemur pokiwał głową.

- Musisz też, rzecz jasna, przejrzeć wszystkie rejestry - ciągnął Talornin. - Griselda oczywiście nie posłużyła się swym własnym imieniem. Tak, należy się zatroszczyć również o stały nadzór nad Paulą, na okrągło, przez całą dobę.

Oriana zrezygnowana pokręciła głową. Pozostali również się z nią zgadzali. Paula sprawiała wrażenie osoby absolutnie nieszkodliwej.

Wniesiono smaczną i pięknie podaną przekąskę. Wszyscy zaczęli się posilać, Indra miała kłopoty z przeżuwaniem, musiała więc poprzestać na płynnych pokarmach. Po

jedzeniu nastrój zdecydowanie się poprawił. Ram jednak w tym czasie nie wypowiedział ani słowa, a Indrę przez to ze zdenerwowania aż rozboleł brzuch.

- Thomas nie powinien mieszkać w takiej izolacji, mnie się to nie podoba - stwierdziła, żeby odwrócić myśli.

- Nam również - odparł Marco. - Zatrószymy się dla niego o jakąś dyskretną ochronę.

- Dlaczego by nie Sol? - podsunął Jori.

- Powiedziałem: dyskretną - przypomniał Marco. - Wydaje mi się, że Thomas nie życzyłby sobie zalotów kolejnej czarownicy.

- Miałem na myśli to, że Sol potrafi stać się niewidzialna, kiedy tylko chce. W dodatku jest bardzo pociągająca - kontynuował Jori z błyskiem w oku. - Ale macie rację, może ja mógłbym podjąć się tego zadania?

- Oszalałeś? - oburzyła się Berengaria. - Tu potrzeba kogoś, kto potrafiłby stawić czoło Griseldzie. W dodatku zajmujesz się innym zadaniem, olbrzymimi jeleniami.

- Ten projekt zmuszeni jesteśmy odłożyć na później - poinformował Rok. - Teraz najważniejsza jest Griselda. Okazuje się zbyt niebezpieczna na to, byśmy mogli jej pozwolić na swobodne działanie.

- Tak - kiwnął głową Marco. - Nie wrócę do Nowej Atlantydy, zanim nie zostanie odnaleziona i unieszkodliwiona.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Talornin przemówił. On nigdy się nie odzywał ani nie wtrącał, zawsze przemawiał:

- Poruszyłeś niezwykle istotną kwestię, Marco. Odnaleziona. W jaki sposób można znaleźć tę straszną czarownicę?

- Przynęta? - podsunął Jori.

- Dobry pomysł, ale kto zgodzi się nią być? Ona poluje na Thomasa i Indrę, a ich nie powinniśmy narażać na takie niebezpieczeństwo. Musimy wymyślić dla niej jakąś inną rywalkę, może właśnie Sol?

- Nie, ją zostawimy sobie na ostateczną rozgrywkę - zaprotestował Jori. - Jeśli ktokolwiek może dać sobie z nią radę, to tylko Sol. Nie mogę się już doczekać ich spotkania. Ale wśród Ludzi Lodu jest więcej czarownic.

Thomas czuł się bardzo nieswojo, przysłuchując się dyskusji o czarownicach, czarnoksiężnikach i wyborze odpowiedniej rywalki dla Griseldy w staraniach o jego względy. Wszystko w jego życiu odmieniło się tak nagle, kompletna izolacja przerodziła się w troskę, którą okazywało mu tylu ludzi. Marco nalegał teraz, aby Thomas na jakiś czas zwolnił się z pracy i zamieszkał w jego pałacu. Potem zaś zadzwonił ojciec Indry z wiadomością, że razem z jej siostrą Mirandą i osobą o imieniu Gondagil pragną natychmiast złożyć tu wizytę. Miranda wybrała się do innego miasta, dlatego do tej pory nic nie wiedziała o napaści na Indrę. Teraz zaś, by pomóc siostrze, gotowa była poruszyć niebo i ziemię. W jednej chwili zgodziła się odegrać rolę przynęty, lecz Marco zdecydowanie odrzucił tę propozycję, nie zamierzał wystawiać Gabriela na kolejne ciosy. Życzliwa, miła Oriana była Thomasowi prawdziwą podporą, jak gdyby wyczuwała, czego mu potrzeba, i zawsze dyskretnie mu pomagała. Widać było natomiast, że Lemur Ram jest jakiś nieswój, czyżby był zły na Thomasa? Siedział w kącie niczym chmura gradowa i

zdawało się, że z całej siły usiłuje się powstrzymać, żeby komuś nie skoczyć do gardła. Indra zaś wyglądała na straszliwie zasmuconą.

Marco dał wreszcie znać, że powinni powitać rodzinę Indry. Spotkanie dobiegło więc końca.

Thomas zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie śledzić toczącej się rozmowy. Choć większość z obecnych zachowywała się wobec niego bardzo życzliwie, mówili jednak naprawdę o niezwykłych sprawach, o ludziach, czarownicach i duchach, których nie znał. Wraz z innymi wyszedł na słońce.

Zadrzał. Jego dom na uboczu, wielka samotność, zarówno ta w duszy, jak i ta bardziej rzeczywista, namacalna, praca, zagrożenie... Odczuł palącą potrzebę, by wrócić do tego przesyconego harmonią pałacu i nie wychodzić z niego, dopóki Griselda nie zostanie unieszkodliwiona. Jeśli w ogóle można unieszkodliwić istotę, która potrafi atakować również po śmierci.

- Z wielką chęcią zostanę tutaj - odpowiedział z pewnym opóźnieniem na zaproszenie Marca.

- Doskonale - ucieszył się książę Czarnych Sal. - Teraz jednak Indra musi poddać się kolejnemu zabiegowi. Należy przecież przywrócić jej przyzwoity wygląd.

11

Griselda w tajemnicy przygotowała nową torebkę uplecioną z rzemyków, swój bilet do następnego życia. Postanowiła więcej nie ryzykować, ukryła ją w miejscu, gdzie ktoś musiał ją odnaleźć w dość rozsądnym czasie, choć nie teraz. Griselda zamierzała przeżyć jeszcze wiele cudownych lat i w pełni napawać się rozkoszną zemstą.

Dla pewności jednak... gdyby coś się nie udało, dobrze mieć torebeczkę przygotowaną. To dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

Strażnicy, chociaż przeszukali każdy kąt szpitala, nie natrafili na ślad osoby, która zaatakowała Indrę. Nic w tym dziwnego, czarownica bowiem uciekła zaraz po napaści. Nie odeszła jednak daleko, usiadła na ławeczce w przyszpitalnym parku i z tego miejsca obserwowała rozwój wydarzeń.

Wtedy właśnie go ujrzała!

Książę ciemności we własnej osobie! A więc mimo wszystko tu był! Okazał się o wiele piękniejszy, niż kiedykolwiek nawet śniła, żaden ziemski mężczyzna nie mógłby być tak niebiańsko urodziwy, a jednocześnie taki mroczny. Wprost przytłaczał swą urodą.

Taki ciemny, niczym noc lub podziemny świat, i jakież pociągający! Griselda poczuła, że ciało jej zapłonęło.

Musi go mieć! I co więcej, zostanie jego najcenniejszą pomocnicą, będzie służyć mu tak wiernie, że później bez niej sobie nie poradzi.

Razem pokierują światem. Tak, muszą się stąd wydostać, nie mogą na zawsze pozostać w tej dziurze. Najpierw jednak... W oczach Griseldy zabłysło uniesienie. Najpierw zdobędą owe wspaniałe kamienie, o których słyszała i które oglądała przez grube szyby. Ukradzenie ich nie będzie skomplikowaną sztuką.

Twarz Griseldy pociemniała. Widziała, jak Thomas wchodzi do szpitala z wielkim bukietem. Kogo chciał odwiedzić? Chyba nie tę okropną dziewczynę? Nie, na pewno jej nie zechce, teraz, kiedy tak wygląda.

Prychnęła ze złością.

A mroczny ksiązę podziemnego świata? Czy on wkrótce stamtąd wyjdzie?

Jest! Ach, cudownie, fantastycznie, ale...

Cóż znowu, u diaska! Jest z nim pokaleczona dziewczyna, wywożą ją na noszach, i...

Thomas! Thomas jest wraz z nimi i jeszcze mnóstwem innych osób. Ach, nie, to nie do pomyślenia! Strażnik, który zawsze się przy nich plątał, wezwał gondolę, wszyscy wsiedli do pojazdu. Nie, nie mogą teraz odjechać, co ona pocznie? Zostawiła jednak swoją naziemną gondolę daleko.

Griselda podkraśniała się bliżej wejścia, odwróciła się plecami i nasłuchiwała. Wybierali się do Sagi, jakże ona się tam dostanie?

Nienawidziła latać, wiedziała jednak, że między obydwojmi miastami istnieje stałe połączenie. Popędziła więc na przystanek i odszukała odpowiednią gondolę. Ach, jakże tego nie cierpiała! Wszyscy pasażerowie na widok młodzieńczej panny przyjaźnie kiwali głowami, później jednak stopniowo zaczęli się od niej odsuwać. Taka sytuacja ostatnio stała się powtarzać, czyżby do tego stopnia nie znosili wspaniałego aromatu odrodzonej czarownicy? Tak pachniał środek, który właśnie miał umożliwić jej odrodzenie. Jego zapach przez pierwsze tygodnie się utrzymywał, ustępował dopiero później. Ona zawsze go lubiła, nie wszyscy jednak podzielali jej gust.

Wylądowali w Sadze, na szczęście powietrzna podróż dobiegła wreszcie końca. Nie minęła chwila, a Griselda dostrzegła całą grupę ze szpitala, ostatni znikali właśnie we wrotach na szczycie szerokich schodów. Cóż za pałac!

- Przepraszam, ale kto tu mieszka? - spytała jakiegoś mężczyznę. Mężczyzna zawsze pytała chętniej, nie byli aż tak podejrzliwi i sprytni jak kobiety.

- Mieszka tu Marco, ksiązę Czarnych Sal - odparł zapytany.

A więc miała rację. Ksiązę, to oczywiste. Ksiązę Czarnych Sal, ten tytuł chyba mówi wszystko. Rozejrzała się dokoła, gdzie mogłaby zaczekać?

Do tego celu doskonale nadawała się położona naprzeciwko restauracja. Griseldzie przyda się jakieś jedzenie i porządny kieliszek.

Ale nie, kieliszka się nie doczekała. Kelner uprzejmie, lecz zdecydowanie wyjaśnił, że nieletnim nie podaje się tu alkoholu.

Do diabła! Rozwścieczona Griselda wypadła z restauracji, okrążyła budynek i od tyłu zakradła się do kuchni. Nikt jej nie zauważył, w tego rodzaju poczynaniach była bowiem mistrzynią. Do potrawy z grzybów, która spokojnie perkotała w garnku, dosypała nieco proszku z grzybów trujących. Miała go w pudełeczku, które znalazła w torebce. Nie zauważona przez nikogo spokojnie opuściła kuchnię.

Nie mogła dłużej stać przed pałacem. Nie pozostawało jej nic innego, jak wrócić do swego przyjemnego niedużego domku, w którym zdołała już urządzić tajemną izdebkę i umeblować ją tak, jak przystoi czarownicy. Ale w jaki sposób dostanie się do domu? Musi przygotować plan działania. Wygląda na to, że z każdą chwilą przybywa jej pracy, to wprost niemożliwe, ileż przeszkód będzie musiała jeszcze pokonać!

Przede wszystkim należy dostać się do tego pałacu, a dalej działać w zależności od rozwoju wydarzeń. Uwiedzie jego wysokość księcia Marca, potem zemści się na

Thomasie. Tą przebrzydłą dziewczuchą nie musi się przejmować, Thomas na pewno nigdy więcej już na nią nie spojrzy...

Griselda stała zatopiona w myślach, przygotowując się do opuszczenia miasta, gdy wrota pałacu nagle się otworzyły, a jednocześnie przy schodach zatrzymała się gondola. Wyszli! Oto jego wysokość władca podziemia, ach, jakież on piękny, w jakie drzenie zdołał wprawić jej ciało. Za nim zaś...

Co to ma znaczyć? Dziewczyny z okaleczoną twarzą wprawdzie z nimi nie było, lecz Thomas kroczył ramię w ramię z jakąś ciemnowłosą damą. Fuj, Thomasie, nie powinienes tak postępować, co ja teraz pocznę?

Na schody wyszło jeszcze więcej ludzi, witali nowo przybyłych, nieszczególnie interesujących, chociaż ten młodzieniec...? Strasznie dużo przystojnych mężczyzn w tym Królestwie Światła, na powierzchni Ziemi ze świecą by takich szukać, Thomas był prawdziwym wyjątkiem, natychmiast go sobie upatrzyła. Wyglądało na to, że wszyscy urodziwi przedstawiciele płci męskiej znajdowali się tutaj, w centralnym punkcie Ziemi, jeden przystojniejszy od drugiego. Cóż za wspaniały świat dla niewinnej panienki jak Griselda!

Na schodach pojawiły się także trzy młode dziewczyny, zauważyła je już w szpitalu. Zbierały się już chyba do odejścia i... Ach! Jedna z nich, najstarsza, ta z długimi, kręconymi ciemnymi włosami, objęła Thomasa i pocałowała go w policzek. Griselda musiała złapać się gałązki krzewu, żeby nie pobiec i nie zaatakować bezczelnej panny. Jeszcze jedna, którą dotknie jej zemsta No cóż, to właściwie jest zabawne, przynajmniej nie będzie się nudzić.

Ktoś zawołał dziewczynki, Griselda nastawiła uszu.

- Tak, Oriano, zobaczymy się więc wieczorem nad brzegiem rzeki. Pokażemy ci wtedy Złocistą Rzekę i Srebrzysty Las. Nasza łódka jest czerwona w żółte pasy.

Aha, bardzo przydatne informacje, przy jednym ogniu upiekę dwie pieczenie. Pozbędę się obu tych natrętnych dziwek. Thomas będzie miał od nich spokój.

Griselda planowała, że od nowa uwiedzie Thomasa. Był naprawdę smacznym kąskiem, świetnie też sprawdził się w miłosnych igraszkach, a ona znów była młoda i niewinna, na powrót stała się dziewicą. No, prawie, bo przecież tamten mężczyzna w samochodzie i dwa diabliki chyba się nie liczą.

A może powinna zachować dziewictwo dla księcia Marca? Którego z nich wybrać na pierwszego kochanka, którego obdarzyć takimi względami?

Że też zawsze musi być wystawiona na takie próby! Jaki trudny wybór! Obaj wszak oczywiście chcieliby dostać ją świeżą, nietkniętą.

Pozostawała jeszcze kwestia łodzi...

Griselda nie przejmowała się ani trochę, że na pokładzie może znaleźć się ktoś obcy. Rzeka? Nie zauważyła tu żadnej rzeki. Owszem, w Zachodnich Łąkach była rzeka, w stolicy także, lecz być może przez Sagę płynęła również.

Łódź, łódź, w jaki sposób można wyeliminować kogoś, kto płynie łodzią? Griselda śmiertelnie bała się wody od czasu, gdy raz jako czarownicę poddano ją próbie wody. Gdyby utonąła, stanowiłoby to dowód jej niewinności, gdyby natomiast unosiła się na powierzchni, obwołano by ją czarownicą i zgładzono.

Tamtym razem Griselda, postanawiając podroczyć się z sędziami, katem i wszystkimi żądnymi sensacji obserwatorami, zmusiła się do tego, by pójść na dno. Niestety, nikt jednak jej nie wyciągnął, pływać nie potrafiła, a na powierzchnię bała się wynurzyć, przytrzymywała się więc z całej siły wodorostów na dnie. Kiedy wreszcie musiała już wypłynąć na powierzchnię, okazało się, że wszyscy ludzie odeszli, a jej zabrakło sił, by wydostać się na łód. Znowu poszła na dno jak kamień i utonąła.

Od tamtej pory nienawidziła wody i strasznie się jej bała.

W czasach licznych egzekucji niewiast oskarżonych o czary i konszachty z diabłem ginęły nie tylko niewinne kobiety. Niekiedy trafiały się wśród nich i wiedźmy z rodzaju Griseldy.

Może zrobić w łodzi dziurę? Nie, tego raczej nie uda się dokonać niepostrzeżenie. W dodatku mogło się okazać, że te przekłete nowoczesne dziewczęta umieją pływać, czatowanie na dnie pod powierzchnią wody, by wciągnąć je w głębinę, również nie było dobrym pomysłem. Jakże sobie poradzi ze swym łękiem przed wodą? Może zatruć im prowiant? Nie, nie zdoła do niego dotrzeć, nawet gdyby go zabrały.

Przypomniała sobie wreszcie o ładunku wybuchowym. Jak to było? Należało go nastawić na określony czas. Co one mówiły? Kiedy mają się spotkać? O szóstej. Doszła do wniosku, że jeśli nastawi detonator na dwadzieścia po szóstej, to powinny już znaleźć się na pokładzie.

Doskonale, plan był wyśmienity, nie miał żadnych luk. Jej złe serce zaczęło bić radośniej. Podczas gdy Griselda stała, zastanawiając się, w jaki sposób zdoła odnaleźć rzekę, przeżyła kolejny wstrząs. Oto jeszcze jeden człowiek, który ulegnie jej wdziękom. Nadchodził właśnie młodzieniec z wielkim czarnym psem. Griselda nie przepadała za psami, bała się tych zwierząt, odnosiła wrażenie, że potrafią przejrzeć ją na wskroś. No i na dodatek gryzły, prawdziwe bestie. Ale cóż to za mężczyzna! Skóra niczym kość słoniowa, czarne loki i twarz niby wyrzeźbiona na kamei Kierował się w stronę pałacu. Ale jakie on ma oczy! Wyglądał na nadziemsko pięknego człowieka, lecz o oczach Lemura,

Griselda nie chciała pokazywać się Lemurom, umieli wszak patrzeć tak wnikliwie. W dodatku nie byli przecież ludźmi, a więc kontakt z nimi uznawała za upokarzający. Doszła jednak do wniosku, że zjawisko przed nią jest człowiekiem. Zdobędzie go, i to jak najprędzej, stanie się prawdziwym trofeum niczym skalp zdobywany przez Indian w kraju, który opuściła.

Postanowiła, że jeszcze przez pewien czas zostanie w Sadze. To miasto daje doprawdy wielkie możliwości.

Będzie mogła wybierać i przebierać wśród najwspanialszych kochanków. Thomas, książę Marco, zielony faun, a teraz jeszcze ten niesamowity mężczyzna.

Griselda zamierzała więc zarzucić sieci także na Dolga.

No cóż, zawsze można próbować.

12

Godzinę później Griselda zadowolona oddalała się już od rzeki i od miejsca, gdzie cumowały poruszające się w powietrzu i po wodzie gondole. Dla niej były to po prostu łodzie, nie śniło jej się nawet, że potrafią się także wznieść w przestworza.

Odnalazła właściwą łódź, zadanie było bardzo proste, jedna bowiem tylko odpowiadała opisowi. Odczekała, aż przystań opustoszeje, a potem przymocowała ładunek do burty i nastawiła zegar, tak samo jak robili mężczyźni w Bostonie. Prosty, genialny sposób. Zawsze wszak była genialna. Nikt chyba nie był w stanie jej pokonać, jeśli chodziło o diabelsko wyrafinowane pomysły. Ci nieudacznicy jeszcze się o tym przekonają. Wierzby płaczące zanurzały delikatne listki w Złocistej Rzece. Łódź łagodnie sunęła między zielonymi ukwieconymi brzegami pośród lilii wodnych we wszystkich odcieniach od białego poprzez bladoróżowy aż do ciemnej czerwieni. Żółte lilie jaśniały w zakolach, inne przypominające lotos kwiaty rozmarzone unosiły się na olbrzymich liściach. Łabędzie i kaczki mijaly gondole, najwyraźniej nie bojąc się ani łodzi, ani śmiechu dziewcząt.

Wszystkie cztery młode damy ubrały się niezwykle romantycznie, jak na tę idylliczną przejażdżkę gondolą wypadało. Nosiły jasne zwiewne sukienki i białe kapelusze z szerokimi rondkami. Wszystkie też były bose.

Zabrały oczywiście ukochanego kota Sassy, Huberta Ambrozię. Hubert kilkakrotnie wydał już na świat kocięta, męska część kociego imienia powinna więc właściwie pójść w zapomnienie, kota wciąż jednak, starym zwyczajem, nazywano Hubertem Ambrozię. Zwierzątko siedziało teraz na kolanach u Sassy, czujnie śledząc igraszki fal wokół gondoli.

Po pierwszej próbie wyskoczenia i przespacerowania się po błyszczącej powierzchni kot roztropnie postanowił zostać w łodzi. Sassa osuszyła go ręcznikiem.

- Co sądzicie o konstelacji Indra-Ram? - spytała Berengaria, najbystrzejsza z nich i najbardziej pewna siebie.

- A co ty sama o tym myślisz? - spytała życzliwie Oriana, usadowiona z przodu, plecami do dziobu.

- Och, moim zdaniem to niezwykle romantyczna historia - westchnęła Berengaria. - Miłość przekraczająca wszelkie granice, w podwójnym rozumieniu tego słowa.

- Ja też uważam, że to bardzo piękne - uśmiechnęła się Oriana, lecz Siska i Sassa nie były tego takie pewne.

Siska dlatego, że nie lubiła nic ani nikogo, kto się wyróżniał, nigdy nie zdołała się pozbyć prymitywnego strachu przed tym, co nieznanne. Sassa natomiast wciąż była zbyt młoda, by pojąć istotę miłości. Sama podkochiwała się w Marcu, ponieważ uratował jej twarz po poparzeniu, a jej uczucie było dokładnie tak dziecinne i pozbawione wszelkich myśli o erotyce, jak być powinno.

- Moim zdaniem Talornin to głupek - stwierdziła Berengaria.

Oriana natomiast była bardziej wyważona.

- Wydaje mi się, że on wie, co robi.

- Ale przecież małżeństwa ludzi i Lemurów były już zawierane i układały się szczęśliwie.

- Nie wszystkie - rzekła Oriana w zamyśleniu. - Niektóre się rozpadły. Różnice kulturowe okazały się zbyt wielkie.

- Ale oni mogą mieć dzieci?

- O, tak, i zazwyczaj wszystko jest z nimi w porządku. Istnieją jednak wyjątki. Ryzyko zawsze jest bardzo duże.

- Phi! - prychnęła Berengaria. - Małżeństwa wśród ludzi także się rozpadają. I nie wszystkie dzieci przychodzą na świat doskonale.

- Rzeczywiście, punkt dla ciebie - uśmiechnęła się Oriana. - Spróbuję przedłożyć to Talorninowi. Często zagląda do mojego biura.

Berengaria rozpromieniła się, słysząc pochwałę.

Próbowała dopominać się o jeszcze, lecz towarzyszki zajęte były własnymi myślami. Zmieniła więc temat.

- Czyż tu nie pięknie? - spytała z entuzjazmem.

- O, tak - odparła Oriana łagodnie. - Szkoda, że nie zabrałyśmy Thomasa. On tak mało wychodzi, na pewno by mu się tu podobało.

- Nie powinien opuszczać pałacu, dopóki ta straszna czarownica nie zostanie schwytana - odpowiedziała Sassa.

Siska zanurzyła rękę w wodzie. Wychyliła się nieco za mocno i mało brakowało, a straciłaby równowagę, ale przy wtórze głośniego śmiechu przyjaciółkom udało się wciągnąć ją do środka.

- Jesteś szalona - powiedziała Sassa. - Pomyśl tylko, co by było, gdybyś wpadła do wody w tej ślicznej sukience. Usiądź głębiej!

- Nie, zaczekaj! - zaprotestowała Siska, piękna księżniczka z Ciemności. - Wyczułam coś na zewnątrz łodzi.

Jeszcze raz wychyliła się niepokojąco mocno, jej długie czarne włosy musnęły złotą wodę, w której odbijał się kolor nieba. Tak jak wtedy w strumieniu, kiedy woda ocaliła ją przed prześladowcami z Królestwa Ciemności i umożliwiła dotarcie do Królestwa Światła. Gondola posuwała się wolno, aby dziewczęta mogły w pełni rozkoszować się otaczającym je pięknem krajobrazu, Siska więc w spokoju zbadała zewnętrzną część burty, ukrytą pod powierzchnią wody.

- Przytrzymaj mnie, Berengario!

- Co się stało? - dopytywała się Sassa, która nie mogła wypuścić z objęć Huberta Ambrozji.

- Nie wiem, to coś dziwnego. Niczego takiego przecież nie umieszczaliśmy na naszej gondoli!

Siska mieszkała u Sassy i rodziców jej ojca, właśnie ich gondolę pożyczyły dziewczynki.

- Mogę to oderwać, chociaż umocowane jest dosyć mocno. Trzymaj mnie porządnie! O, tak! Mam!

Podniosła znaleźisko w górę, z cienkiego rękawa bluzki zaczęła skapywać woda.

- Na miłość boską! - zdumiała się Berengaria. - Czy to bomba?

- Raczej ładunek wybuchowy - odparła Oriana z takim samym niedowierzaniem.

- Ojej! - zawołała Sassa, cofając się gwałtownie, by zapewnić bezpieczeństwo Hubertowi Ambrozji. - Czy on wybuchnie?

- Nie - roześmiała się Oriana. - Bo osoba, która go umieściła, nie pomyślała o tym, że łódź sporo się zanurzy, kiedy wsiądą do niej cztery damy i kot. Wszystko zamokło, ale moje drogie, spójrzcie! Jest zegar, pokażcie mi!

Zegar na aparacie wskazywał dwadzieścia po szóstej.

- Phi, to już pół godziny temu - prychnęła Berengaria.

- Mam go wyrzucić za burtę? - pytała Siska.

- Och, nie! - zawołała Oriana. - Musimy pokazać to Ramowi, a poza tym nie możemy zaśmiecać rzeki metalowymi odpadkami.

Siska po zastanowieniu przyznała jej rację. Spakowawszy swoje mokre znalezisko i uznawszy, że dość się już napatrzyły na Złocistą Rzekę, dopłynęły bowiem do Srebrzystego Lasu, gdzie nie wolno im było wchodzić, ponownie wzięły kurs na Sage. Gadatliwe zwykle dziewczynki w powrotnej drodze zachowały zadziwiające milczenie. Sassa mocno tuliła do siebie kota, a w oczach Oriany pojawił się niepokój.

Ram i Talornin stawili się bardzo poważni na spotkanie w pałacu Marca, gdzie przebywali Thomas i Indra. Do poprzedniego składu grupy dołączył jeszcze tylko Dolg.

Indra była ogromnie zasmucona, nie śmiała spojrzeć na Rama, on bowiem zachowywał się z ową trudną do zrozumienia rezerwą. Wydawał się wręcz rozgniewany, tak jak przez cały dzień.

Czy zrobiła coś złego? Dlaczego nie chciał z nią rozmawiać ani nawet się do niej nie uśmiechnąć? Czyżby aż tak się pomyliła? Czy tylko ona kochała, a on po prostu okazywał jej życzliwość i nie chciał urazić?

Głos Talornina wyrwał ją z zamyślenia.

- To doprawdy alarmujące. Udało nam się stwierdzić, że ładunek wybuchowy i resztę należącej do niego aparatury wykonano w Stanach Zjednoczonych, a ściślej mówiąc, w Bostonie. Został umieszczony na gondoli przez niewprawioną w technice osobę, której celem jednak było zabicie. Problem polega na tym, że ani Thomasa, ani Indry w gondoli nie było, dlaczego więc? Czy ona uderza bez żadnego planu? I czy to na pewno ona?

- Ależ tak! - odparł Thomas. - Z daleka pachnie mi to Griseldą, jest głupia i nienawistna. Jedyne, czego nie pojmuję, to w jaki sposób zdołała sprowadzić tutaj ten ładunek, i całą resztę. I dlaczego to zrobiła? Co prawda ten aparacik nie jest duży.

Ram poinformował go o tym, że Obcy, którzy pilnują dróg łączących świat zewnętrzny z Królestwem Światła i zabierają ludzi zablakanych w niebezpieczne korytarze wiodące do wnętrza Ziemi, zwykle sprawdzają ich ewentualny bagaż, nigdy jednak nie dokonują rewizji osobistych. Padła wprawdzie propozycja, by to robić, po tym, jak Johnowi udało się przeszmuglować broń do miasta nieprzystosowanych. Obcy nie wiedzieli też nigdy, w jakiej części natrafiają na ludzi, ponieważ poruszali się zwykle w korytarzach pod ziemią i obszukiwanie ich nie było ich zadaniem. Griseldą najwidoczniej musiała wzbudzić zaufanie, ponieważ przyprowadzili ją ze sobą. Nie każdego wszak wpuszczano do Królestwa Światła, lecz niestety nie udaje się uniknąć błędów. Tak stało się między innymi w przypadku Johna, i najwidoczniej również Griseldy, a także kilkorga innych z miasta nieprzystosowanych.

- Prawdopodobnie przybyła tu z jakąś grupą - stwierdził Ram.

Ależ popatrz na mnie, Ramie, błagała w myślach zrozpaczona Indra. Wiem, że głupio teraz wyglądam z twarzą zdeformowaną, jarzącą się kolorami, ale nie zniosę tej milczącej wrogości. Potrzebuję twego wsparcia, Ramie, wszystko wokół mnie jest takie przerażające, czuję się tak żałośnie samotna i nic nie warta, ponieważ ktoś chce mnie zabić i okaleczyć. Dłużej tego nie zniosę.

On jednak nawet teraz nie spojrział w jej stronę.

Żeby zwrócić na siebie jego uwagę, chociaż odrobinę, głośno powiedziała o pomysłach, świetnym, jej zdaniem, jaki przyszedł jej do głowy:

- Mówicie, że biuro ewidencyjne nie może jej znaleźć. Pomyślcie, jeśli jej tu nie ma fizycznie, może przybyła, że się tak wyrażę, na sposób duchowy?

Zamyślili się nad jej słowami.

- To brzmi dość niewiarygodnie - stwierdził Dolg. - Nie jest jednak całkiem niemożliwe. Chodzi ci o to, że wszystkich tych złych czynów dopuszcza się jej dusza? To może wyjaśniać, dlaczego nikt jej nie widział, ale... no, nie wiem...

- Zjawia mocująca ładunek dynamitu? - uśmiechnął się Talornin. - No cóż, proponuję, abyśmy ten problem pozostawili duchom. One powinny odpowiedzieć, czy to możliwe.

- Uważam, że Indra ma po części rację - odezwał się Ram.

Mało brakowało, a z wdzięczności za te słowa rzuciłaby mu się na szyję. Ram jednak nawet nie spojrział w jej stronę. Czyżby nie mógł znieść widoku jej poranionej twarzy? Czyżby naprawdę wyglądała tak strasznie?

Ram ciągnął:

- Wydaje mi się, że Griselda wytropiła Thomasa, a potem, posługując się siłą myśli, odnalazła drogę do nas na własną rękę. Wyliczyła ją w myślach i po prostu się tu przedostała, może przyleciała na miotle, jak to czarownica?

- To właściwie niemożliwe - zaprotestował Talornin.

- Wiem o tym, pamiętajcie jednak, że Griselda to bardzo szczególna istota. Chyba prastara moc w służbie zła.

Do dyskusji włączył się Marco:

- Uważasz więc, że ona rzeczywiście tu jest, lecz dostała się przez nikogo nie zauważona?

- Tak chyba musi być - odparł Ram. I jak podczas całej rozmowy w jego głosie dał się wychwycić dziwny ton. - Tylko Thomas wie, jak ona wygląda, ale nigdy tu jej nie widział.

- Czy ona jest niewidzialna? - spytała Siska.

- Przynajmniej potrafi stać się prawie niewidzialna - powiedział Ram. - Musi posiadać niezwykle silną magiczną moc

Zebranych w pokoju przebiegł dreszcz.

- Zajmijmy się jednak innym problemem - podjął najwyższy dowódca Strażników. -

Dlaczego zaatakowano dziewczęta w łodzi? Były tam Berengaria, Siska, Sassa i Oriana. Co ona może mieć przeciwko nim?

Przez minutę zastanawiali się w milczeniu. Indra siedziała ze spuszczonego wzrokiem, zachowanie Rama pozbawiło ją wszelkiej radości życia. Czuła, że jest bliska płaczu i że niewiele więcej będzie w stanie znieść.

Wreszcie odezwał się Thomas.

- Dość dobrze zdołałem poznać Griseldę. Ona wyznaje zasadę „nikt nade mną, nikt obok mnie”, jest do szaleństwa zazdrosna, wy także mieliście okazję się o tym przekonać.

Głównym motorem jej działania jest zazdrość, wydaje mi się, że chociaż mnie nienawidzi, to żadnej innej nie pozwoli mnie tknąć.

- Ojej! - przestraszyła się bystra jak zawsze Berengaria. - Pocałowałam cię w policzek, pamiętasz?

- Tak, na schodach, bardzo ci za to dziękuję, rozjaśniłaś moje mroczne myśli. A wyszedłem na schody zajęty rozmową z Orianą.

- Ale my niczego nie zrobiliśmy - zaprotestowały Siska z Sassa.

- Nie, ale wasza obecność w gondoli nie przeszkodziła Griseldzie w realizacji jej morderczych planów - stwierdził Thomas, który, czując wsparcie tyłu przyjaciół, odzyskał nieco ze swej dawnej inteligencji. Żelazne szpony strachu nie zaciskały się już tak mocno na jego nieszczęsnym sercu.

- Skąd jednak mogła wiedzieć, że zamierzacie wybrać się na przejażdżkę gondolą?

- Przecież ja o tym prawie krzyczałam! - zapaliła się Siska. - Właśnie na schodach zawołałam do Oriany: „Zobaczymy się wobec tego wieczorem nad brzegiem rzeki”. Wydaje mi się nawet, że wspomniałam o której, o szóstej.

- Nie, to ja - wtrąciła się Berengaria. - Ty za to powiedziałaś, jak wygląda nasza gondola i dokąd się wybieramy. Krwiożercza czarownica miała wszystkie informacje podane jak na tacy, mogła się po prostu częstować.

Talornin uderzył pięścią w stół, aż dziewczęta i Thomas podskoczyli do góry.

- To znaczy, że ona była w pobliżu. Niewidzialna, albo też po prostu się ukrywała. Zauważyliście tam kogoś?

Pokręcili głowami, nikt bowiem niczego szczególnego nie widział. Ot, zwykli przechodnie, jakieś dzieci bawiły się w parku, wszyscy wyglądali bardzo niewinnie.

Nic, co przywodziłoby na myśl śmiertelnie niebezpieczną czarownicę.

Marco rzekł zamyślony.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zmienić planów. Ona jest zbyt nieobliczalna, a przez to po dwakroć bardziej niebezpieczna. Jori, jak daleko się posunęliście w pracach przygotowawczych, związanych ze sprowadzeniem jeleni?

- Bardzo daleko, zostało jeszcze tylko kilka szczegółów.

- Oczywiście, szczegóły - zauważył cierpko Talornin. - Na przykład przeprowadzenie ich przez dolinę potworów i schwytywanie wszystkich zwierząt. Nie możemy żadnego tam zostawić, to by było okrutne.

Jori zaprotestował.

- Ale mamy naprawdę świetne plany. Gondagil zna pewnego człowieka, który znakomicie się orientuje w liczbie jeleni i wie, gdzie ich szukać o każdej porze. Na pewno pomoże nam je schwytać w zamian za...

Jori urwał.

Talornin popatrzył nań surowo.

- W zamian za... przyjęcie go do Królestwa Światła?

- Coś w tym rodzaju - słabym głosem przyznał Jori.

- Z żoną, dziećmi, wujkami, teściową i kuzynkami kuzynek, dziękuję bardzo. I ile potworów przedostanie się do Królestwa Światła w momencie, gdy wrota się otworzą?

- Mamy również plan, który pozwoli nam uniknąć potworów.

- A Waregowie? I ta niemiecka wioska? Myślicie, że oni tak po prostu się zgodzą, aby zwierzęta miały więcej przywilejów niż ludzie, którzy czekają na tę chwilę od tak dawna?

Twarz Joriego zaczynała płonąć, Indra bała się, że chłopak wybuchnie wreszcie i powie Talorninowi coś bardzo niestosownego, ale Jori z udawanym spokojem rzekł jeszcze:

- Pracujemy nad tą sprawą.

- To świetnie - uspokoił się Talornin ku niezmiernej uldze wszystkich zebranych. - O czym chciałeś mówić, Marco?

Ubóstwiany, podobnie jak Heike, Tengel Dobry, Nataniel i wielu innych, bohater Ludzi Lodu popatrzył na zgromadzonych.

- W Królestwie Światła nikt, zdaje się, nie ujdzie Griseldzie, może powinniśmy trochę się z nią podroczyć? Na przykład zabrać wszystkich zamieszanych w tę sprawę na ekspedycję po olbrzymie jelenie z Ciemności. Przyda nam się więcej osób do dopilnowania zwierząt.

Na moment zapadła cisza, niejeden pomyślał o potworach, o ciemności za murem i o strachach, które się tam kryły, nie wspominając już o żalobnym zawodzeniu dobiegającym od strony Gór Czarnych. Lęk przed Ciemnością nigdy nie był obcy mieszkańcom Królestwa Światła.

- Co wy na to, dziewczęta? - spytał Marco. - I ty, Thomasie? Co wolicie, Griseldę czy też nieznane strachy czyhające w Ciemności?

Indra odpowiedziała pierwsza, rozważywszy prędko możliwości przebywania z Ramem:

- Ciemność. Potwory, wiadomo, jakie są, z nimi zawsze jakoś można sobie poradzić, odgryźć się albo coś w tym rodzaju. Ja idę z wami.

- My także - chórem oświadczyły najmłodsze.

Marco ze sceptycyzmem popatrzył na młodziutką Sasse, która aż skuliła się pod jego spojrzeniem. Ona nie bardzo miała ochotę wyruszać na wyprawę w nieznane.

Oriana i Thomas również się wahali, Oriana, którą zawsze radowało, iż zalicza się do dziewcząt, niepokoiła się, że jeśli wszyscy silni i potężni obrońcy wybiorą się na safari ratować jelenie, pozostali mieszkańcy Królestwa Światła zostaną bez obrony przed Griseldą. Thomas zaś chciał się dowiedzieć czegoś więcej na temat Ciemności.

- Ciemność sama w sobie nie jest taka niebezpieczna - odparł Ram, który tego dnia niewiele się odzywał. - Naprawdę przerażające są Góry Czarne, ale my tam się nie wybieramy, nie tym razem.

- A potwory?

- Jak już mówiliśmy, i na nie obmyśliliśmy pewien sposób - spokojnie odrzekł Marco. - A jeśli chodzi o schwywanie jeleni, to dysponujemy niezwykle silnym środkiem, który odkryła Miranda, kiedy tam była. Talorninie, rozmawiałem z Madragami, twierdzą, że ich najnowszy wynalazek będzie gotowy za kilka dni, jeśli tylko dostaną jakąś dodatkową pomoc.

- Cóż to za wynalazek?

- Juggernaut.

Twarz Talornina rozjaśniła się.

- Ale czy to nie było planowane na wyprawę w Góry Czarne?

- Owszem, ale i do tego zadania świetnie będzie pasować. Rozwiąże podwójny problem. Potwory i transport jeleni Nie potrzeba wyposażenia niezbędnego do wyprawy w Góry Czarne, z tym można jeszcze trochę poczekać.

- Oczywiście, rozumiem, to wspaniałe.

Juggernaut?

Indra usiłowała umieścić gdzieś tę nazwę, znała ją dobrze, ale... Nie, chwilowo nie potrafiła jej wyciągnąć z kartoteki pamięci. Mgliście pamiętała jedynie, że ma ona związek z jakimś bogiem, filmem albo dwoma, lub też być może z jakąś wojną.

Marco odwrócił się w ich stronę.

Na miłość boską, taki wygląd, a zarazem taka nieprzystępność powinny być zakazane, pomyślały zgromadzone w pokoju kobiety.

Marco rzekł zaś surowo:

- Do tego czasu zamieszani w sprawę pozostaną w moim pałacu. Poproście, aby przyniesiono wam ubrania i wszystko, czego potrzebujecie. Griselda nie będzie miała szans, by zanurzyć w was swe pazury,

- W takim razie chętnie wybiorę się w Ciemność - oświadczył Thomas z jedynie ledwie słyszalnym drzeniem w głosie.

- Doskonale, a ty, Oriano, co z tobą?

- Ja także jadę z wami - odparła prędko, a Indra zorientowała się, że Oriana czekała na decyzję Thomasa. Najwyraźniej czuła się za niego odpowiedzialna.

Indra szukała wzroku Rama, chciała pokazać mu, jak bardzo się cieszy, że znów będą razem, chciała, by spojrzeniem jak wcześniej potwierdził, że będzie ją chronił z narażeniem własnego życia. Do Rama jednak ostrym tonem zwrócił się Talornin:

- Ram, na czas wyprawy w Ciemność przekazuję ci odpowiedzialność za Królestwo Światła.

Indra czytała o ludziach, którym twarz bieleje z wściekłości, nigdy jednak w to nie wierzyła, dopiero teraz przekonała się, że to możliwe. Ona sama czuła się zawiedziona i bezsilna, słysząc decyzję Talornina, lecz reakcja Rama była o wiele gorsza.

Ram patrzył na swego zwierzchnika, a jego oczy ciskały błyskawice gniewu. Pobladł jak kreda, a twarz mu stężała.

Marco postanowił rozładować sytuację i nakazał Dolgowi i Rokowi wyprowadzenie z pokoju wszystkich pozostałych. Sam został z zamiarem pośredniczenia w sporze między Talorninem a jego najbliższym zaufanym. Indra, kierując się w stronę drzwi, wyczuła, że to, co się teraz stanie, może nie być dobre dla Rama.

Z ulgą, lecz jednocześnie z lękiem, dręczona wyrzutami sumienia, domyśliła się, że nie jest to pierwsze starcie między tymi dwoma i że ona jest tego przyczyną.

13

Griselda nie widziała dziewcząt wracających z rzeki, nie śniło jej się zresztą nawet, że tak będzie. W tej właśnie chwili stała w recepcji hotelu naprzeciwko pałacu Marca, chciała bowiem wynająć pokój z widokiem na ten budynek. Kiedy weszła do pokoju i wyjrzała przez okno, dziewczęta znalazły się już bezpieczne w jego wnętrzu.

Po kłopotach z tą pannicą i drugą bezczelną babą! Wyleciały już w powietrze, może trafiły do nieba, tam gdzie ich miejsce, wśród nudnej muzyki harf.

Zadowolona mruzczała pod nosem.

Pozostaje jeszcze ta, którą nazywają Indrą, paskudne imię, brzydka dziewczyna, Oriana to także nieładne imię, ale pasuje do tej chudej drzazgi. Potem już Thomas będzie tylko mój.

Zakocha się we mnie do szaleństwa, to bardzo proste, przecież on mnie nie poznaje, zabawię się z nim parę razy, to potrwa jakiś czas, sama zdecyduję, jak długo będę się chciała cieszyć jego berłem. Dopóki się nim nie znudzę.

A potem uderzę. Najpierw go porzucę, będzie zdychał z miłości do mnie, tęsknota zeżre go od środka, będzie się zastanawiać, dlaczego tak jest, dopiekę mu, później zaś się zemszczę naprawdę. Obrzydzę mu życie, wolno, kawałek po kawałku mu je odbiorę, przekona się, z kim zadarł.

Ze wzrokiem utkwionym - nie w porę - we wrota pałacu grzebała w swojej torebce, sprawdzając, czy ma wszystkie niezbędne środki, by móc go torturować. Miała miksturę, szarpiając żołądek do tego stopnia, że człowiekowi wydawało się, iż zagnieździły się w nim diabły i rozrywają go od wewnątrz pazurami, próbując wydostać się przez skórę. Miała środek sprowadzający mordercze myśli, przez co osoba, która go zażyła, łatwo trafiała do więzienia. Miała maści stopniowo zżerające całą skórę.

Nagle pod palcami wyczuła pudełeczko, którego nie zauważyła wcześniej, było bowiem maleńkie, zaplątało się w szew.

Skąd się wzięło?

Griselda już wcześniej przełożyła prawie wszystko ze swej ulubionej sakiewki do większej torebki, skradzionej jeszcze w Bostonie, z wieloma przegródkami, dość głębokiej. Schodząc do starej kopalni najcenniejsze ze swych rzeczy ukryła w kieszeniach sukni bądź też umieściła w pasie na brzuchu tuż pod ubraniem. Tam też właśnie ukryła dynamit. Wyglądała wprawdzie dość nieforemnie, uznała jednak, że nie czas na próżność.

Maleńkiego pudełeczka nie poznawała, musiała je mieć już od dawna, od bardzo dawna, przełożyła je widać z sakiewki z rzemyków do nowej torby, ukryło się gdzieś w jej zakamarkach.

Była pewna, że należy do niej. Przypominało jej ukochaną szkatułkę. Otworzyła je ostrożnie, bo przecież nigdy nic nie wiadomo. Pudełeczko mogło jej towarzyszyć przez stulecia albo nawet tysiąclecia, nic dziwnego więc, że go nie zapamiętała.

Cofnęła się, czując bijący ze środka zapach.

Uśmiech uniesienia wykwitł na młodziutkiej buzi o strasznych doświadczonych oczach. Doskonale знаła ten aromat.

W rogach pudełeczka została jedynie odrobina maści, resztką nie większą niż porcyjka prymki. Griselda prędko zamknęła pudełeczko, nie może dopuścić, by bodaj odrobina zapachu się ulotniła.

To maść wywołująca pożądanie, została jej ledwie ociupina, lecz ona już będzie umiała oszczędnie ją wykorzystać. Nie tak dużo potrzeba, aby wyprowadzić mężczyznę z równowagi, zmusić, by zapomniał o własnym ja. Ostrożnie wybierze kochanka, będzie nim, rzecz jasna, Thomas, chociaż on ulegnie jej czarowi i bez tego, była co do tego przekonana. Podobnie z zielonym faunem i tym przystojnym dzikusiem, którego dzisiaj

spotkała. Obaj sprawiali wrażenie zmysłowych istot, a takim nie potrzeba maści ani innych podobnych specyfików.

Nie, musi oszczędzić tę błogosławioną resztkę na mężczyzn, których trudniej podbić. Na księcia, na przykład, i być może...

No cóż, należy wszystko dokładnie zaplanować.

Przez wiele minut Marco usiłował doprowadzić do porozumienia między Ramem a Talorninem. Zadanie okazało się wcale niełatwe.

- Co ty sobie o nas myślisz, Talorninie? - mówił Ram. Z oczu biło mu zmęczenie i wzburzenie. - Naprawdę wydaje ci się, że potrafisz w taki sposób zabić piękne i czyste uczucie? Rozdzieleniem nas? Nie pojmujesz, że to tylko pogarsza sprawę? Samotność i tęsknota jakże często wzmacniają uczucia, dlaczego nie pozwalasz nam kontynuować pięknej przyjaźni, aż nasze fantazje wygasną same z siebie? Jedyne rozwiązanie to pozwolić miłości się wypalić, spotykać się jak przedtem, przyjaźnić, rozmawiać o różnych sprawach. Bez ukradkowych schadzki, bez marzeń niemożliwych do spełnienia. Chcę mieć pewność, że Indra dobrze się miewa. Kiedy nie ma mnie przy niej, moje myśli i tak nieustannie wokół niej krążą, niepokoję się o nią i nie jestem w stanie wykonywać swojej pracy Strażnika.

- Ram ma rację - stwierdził Marco, który nie wiedział zbyt wiele o tajemniczych ścieżkach miłości i mówił po prostu tak, jak podpowiadał mu zdrowy rozsądek. - Wiem, że pragniesz ich dobra i że nie robisz tego ze złego serca, lecz uwierz mi, zarówno Indra, jak i Ram są w stanie poradzić sobie z tym problemem i zapanować nad swoimi uczuciami. Proponuję, abyś pozwolił, by powszedniość zniszczyła romantykę.

- Będę się trzymał od Indry z daleka - zapewnił Ram. - A płomień, który nie znajduje pożywki, z czasem gaśnie.

- Nie zdołasz traktować jej chłodno i trzeźwo - oponował Talornin. - Myślisz, że dzisiaj tego nie zauważyłem? Byłeś twardy i surowy, nie patrzyłeś nawet na nią, a ona stała się przez to najbardziej nieszczęśliwą istotą, jaką zdarzyło mi się widzieć w życiu, nic z tego bowiem nie mogła pojąć. To nie jest właściwe zachowanie wobec kobiety, przyjaciela. Ram był zaskoczony. Nie patrzył na Indrę, dlatego też nie zauważył cierpienia dziewczyny. Głęboko wstrząśnięty powiedział:

- Nie na nią się gniewałem, tylko na ciebie, dobrze o tym wiesz.

- No tak, ale jak ona mogła się tego domyślać? Pilnuj się, żebyś nie zrobił czegoś nierozważnego, bo zachowałeś się wobec niej naprawdę bardzo źle.

- Mówiłeś przecież, że mam ją ignorować.

- Owszem, lecz nie mówiłem, że masz jednocześnie sprawiać wrażenie, jakbyś brzydził się choćby rzucić spojrzenia w jej stronę. Tym bardziej że nie najpiękniej dzisiaj wyglądała.

Przy tych ostatnich słowach Talornin nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu, co zdecydowanie poprawiło nastrój, chociaż niezbyt chyba pomogło Ramowi, zrozpaczonemu, że Indra mogła źle odczytać jego chłód. Marco jednak dostrzegł pewną nadzieję na pomyślny rozwój negocjacji.

- Pozwól im spróbować - poprosił. - Potraktuj wyprawę po olbrzymie jelenie jako swego rodzaju próbę dla obojga. Uwierz mi, żadne z nich nie jest uosobieniem zmysłowości!

- Muszę porozmawiać z Indrą - oświadczył Ram zatopiony w myślach. Wyraz zatroskania nie ustępował mu z twarzy. - Ona nie może myśleć, że ja...

- W tej rozmowie powinien uczestniczyć ktoś trzeci - cierpko oświadczył Talornin.

- Och, przestań! - z rezygnacją rzekł Ram.

- Tak, Talorninie, z całym szacunkiem dla twej mądrości i życiowego doświadczenia uważam, że żądasz zbyt wiele - spokojnie powiedział Marco. - Blisko godzinę rozmawiamy już o tym, czy Ram ma świadomość tego, gdzie są granice. Obiecał, że będzie się trzymał niepisanych praw, obowiązujących w Królestwie Światła, bez względu na to, jak wielkich cierpień mu to przysparza. Nie utrudniaj mu więc życia jeszcze bardziej. Ani jemu, ani Indrze.

Ze słowami Marca Obcy się liczyli, Talornin jednak nie chciał jeszcze się poddać.

- Ty z nią porozmawiaj, Marco. W cztery oczy. Przemów w imieniu Rama.

- Owszem, mogę to zrobić - zgodził się Marco. - Podejrzewam bowiem, że Indrze wydaje się, iż Ram nie chce mieć z nią do czynienia tylko z powodu jej oszpeconej twarzy.

- Ależ nie wolno jej tak myśleć! - Ram był naprawdę zrozpaczony. - Nie jestem taki głupi ani tak małostkowy.

- Spróbuj to jakoś naprawić, Marco - poprosił Talornin przygnębiony. - Ram, znoszę zakaz twojego przebywania z Indrą, ale dopiero po tym, jak Marco z nią pomówi. A teraz wracaj do swoich obowiązków.

Ram natychmiast wyszedł, nie podziękowawszy Talorninowi za zmianę decyzji.

Marco i Obcy przez chwilę stali w milczeniu.

- Nie stać cię na utratę jego zaufania - spokojnie stwierdził Marco.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ram jest niezwykle cennym współpracownikiem i właśnie dlatego nie chcę, żeby popełnił jakieś głupstwo.

- On jest rozsądny. Sądzę, że powinniśmy pozwolić, aby między nim a Indrą zawiązała się piękna trwała przyjaźń, nic więcej. Oni już wiedzą, czego powinni się trzymać.

Talornin westchnął.

- Ufam, że masz rację. Z całego serca chciałbym w to wierzyć.

Marco zawahał się.

- Indra to wspaniała dziewczyna, o wiele lepsza niż ta, za jaką chce uchodzić. Udaje lenistwo, ironię, zbyt mocno podkreśla swoje poprzednie niby lekkomyślne życie. W głębi ducha zaś jest bardzo poważną osobą i absolutnie uczciwą. Nie składaj całej winy na nią, myślę, że tego nie zniesie. Jest na to zbyt wrażliwa.

- Indra wrażliwa? Z początku nawet przez myśl mi nie przeszło, że tak może być, sporo się jednak nauczyłem, postaram się jej nie ranić.

Talornin patrzył w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Marco przyglądał mu się ze zdumieniem. Dlaczego właściwie najwyższy ze Strażników tak gwałtownie sprzeciwia się niewinnemu wszak jak do tej pory związkowi Indry z Ramem? Czyżby kierowały nim jakieś ukryte motywy?

A jeśli tak, to jakie?

Griselda niemalże oślepla już od wpatrywania się w owe wrota pałacu, gdy wreszcie ktoś stamtąd wyszedł.

Och, to ten piękny młody mężczyzna z psem! Najwyraźniej wybierają się na spacer po parku.

Prędko, musi przeciąć mu drogę, ma przecież maść i zdoła podbić serce każdego.

Spędziła już w Królestwie Światła dość dużo czasu i wstrzeźliwość zaczęła dawać jej się we znaki. Chciała mężczyzny, czuła, że dłużej nie wytrzyma. Zastępcze działania nie skutkowały już ani trochę, musiała wreszcie zaspokoić pragnienie dręczące ciało.

Ubrała się skromnie i uwodzicielsko zarazem. Wyglądała teraz jak młoda panienka, nie mająca pojęcia o żądach, jakie kierują mężczyznami, ani o niebezpieczeństwach zmysłowości. Popatrzyła, w którą stronę zmierza młodzieniec z psem, i domyśliła się, że wróca tą samą drogą. Poznała już trochę park i wiedziała, że są tu miejsca, w których rosną gęste krzaki, odpowiednie na kryjówkę i szybką miłość. Gdy on nadejdzie, ona wyłoni się z ukrycia i będzie mogła swobodnie działać.

Cóż to za piękny mężczyzna! Niczym ze snu.

Niedługo później stanęła na czatach, ukryta za krzewami. Wcześniej nasmarowała się maścią i starym zwyczajem nie włożyła bielizny. Po cóż takie niepotrzebne utrudnienia?

Czy on nigdy nie nadejdzie?

Jest! Już idzie.

Zaraz zacznie węszyć w powietrzu, wiem przecież, jak to się odbywa. Przystanie, nie wiedząc, co się dzieje, będzie szukał wzrokiem, a potem ruszy w moją stronę jak ciągnięty na niewidzialnej smyczy. Odnajdzie mnie i...

Nie!

Nie, nie pies, do diabła!

Och, nie, zabierzcie stąd tego drapieżnika!

Nero oszołomiony chłonał osobliwy zapach. Zbliżył się do dziewczyny idącej boczną ścieżką, a dotarłszy do niej, jął obwąchiwać ją od przodu i od tyłu. Opędziała się, krzycząc przeraźliwie, ale kiedy Dolg wydał mu komendę, Nero natychmiast do niego wrócił, co prawda zaniepokojony i zasmucony ostrym głosem pana. Zapach, który poczuł, nie był wcale psim zapachem, ale...

Okropna kobieta! Z gardła psa wydobył się głęboki warkot.

- Ależ Nero! - łagodnie upomniął ulubieńca Dolg. - Co się stało, zwykle przecież tak się nie zachowujesz!

Odwrócił się do dziewczyny, która przerażona wcisnęła się w pień wielkiego drzewa.

- Wybacz, że Nero tak cię przestraszył, to bardzo dobry i łagodny pies.

A dobry i łagodny pies odpowiedział, pokazując panience kły.

Griselda opamiętała się i uśmiechnęła nerwowo.

- To na pewno dlatego, że mamy w domu kota - wyseplenila jak dziecko.

- Tak, to wszystko tłumaczy - przyznał Dolg z ulgą. - Nero nie przepada za kotami.

Ach, jakież on piękny z bliska, nieodparcie piękny, ale...

To się nie zgadza, ten młodzieniec stoi przy niej i spokojnie rozprawia o kotach, a powinien być teraz dziki, opętany żądzą, powinien przewrócić ją na trawę i spieszyć się, pragnąć tylko jednego, tymczasem on...

Może coś stało się z maścią? Czyżby to była inna maść albo po prostu się zepsuła ze starości?

Ale pies przecież ją poczuł. Czyżby pudełeczko zawierało specyfik pobudzający zwierzęta? Chyba nie, czegoś takiego nigdy nie chciałaby zatrzymać.

Zanim zdążyła znaleźć jakieś wyjaśnienie, niezwykle młodzieniec jeszcze raz ją przeprosił, zabrał psa i odszedł. Oddalił się kompletnie nieporuszony.

Wstrząśnięta Griselda została sama. Z wolna zaczęła zdawać sobie sprawę, jakie głupstwo popełniła.

Ujawniła swoją twarz przed jednym z grupy swoich wrogów. Oczywiście ten młodzieniec nie będzie jej łączył z atakami na innych, ale przecież ją zobaczył, przestała być cieniem, którego nikt nie widział, tylko domyślał się jego istnienia. Stała się rzeczywistą osobą.

Gdyby jej uległ, tak jak na to liczyła, mogłaby zesłać na niego zapomnienie i w jego pamięci nie pozostałby nawet ślad ich spotkania i przeżytych wspólnie rozkoszy, lecz on po prostu sobie odszedł, ot, tak, jak gdyby była zwyczajną dziewczyną. Ona, Griselda! Targana złością miała ochotę gryźć kamienie.

Teraz musi być ostrożniejsza. W ogóle nie może się pokazywać.

Kiedy drobnym kroczkiem opuszczała park, poczuła, że dzieje się coś nieprzyjemnego. Ktoś za nią szedł, cała gromada chłopców, dwunasto-, czternastolatków. Wyraźnie było widać, że na tych młokosów jej zapach podziałał. Pędzili za nią, gnani popędami młodości. Griselda, krzycząc jak szalona, pomknęła do hotelu. Chłopcy rzucili się na drzwi wejściowe, które pospiesznie za sobą zamknęła. Nie byli osamotnieni w swych zamiarach, Griselda czuła wbite w siebie wygłodniałe spojrzenie męskich oczu, dostrzegła, że jakiś mężczyzna w westybulu rusza w jej stronę, patrząc na nią szklanym wzrokiem. Pomknęła w górę po schodach i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zrzuciła ubranie i czym prędzej weszła pod nowoczesny prysznic, którego tak nienawidziła. Odkręciła wodę i szorowała się, myła do czysta.

Wszystkie męskie istoty zareagowały na woń wydzielaną przez jej maść, środek więc działał jak należy, wszyscy dali się złapać na tę przynętę.

Wszyscy, tylko nie ten, którego pragnęła.

14

Indra skuliła się w fotelu w niedużym pokoiku telewizyjnym Marca. Wpatrywała się w ekran, po którym przesuwali się kolorowe obrazki, lecz po dwudziestu minutach wciąż nie miała pojęcia, jaki program ogląda.

- Indra? - cichy głos Marca wyrwał ją z zamyślenia. Prędko wyłączyła telewizor i otarła łzy.

Marco podszedł bliżej.

- Czy możemy porozmawiać?

- Oczywiście, Marco - uśmiechnęła się z przymusem. - Jak krewniak z krewniaczką.

- Wysoko sobie cenię nasze pokrewieństwo, chociaż jest ono w istocie bardzo dalekie, trzeba by sięgnąć aż do siedemnastego wieku, by znaleźć łączące nas ogniwo. Mimo to jesteśmy sobie bardzo bliscy, więzy krwi Ludzi Lodu są wyjątkowo silne.

- To prawda. O czym chciałeś mówić?

Marco widział, jak bardzo przygaszona jest Indra. Postanowił więc unikać zbędnych wstępów.

- Ramowi jest niezmiernie przykro, że tak kiepsko dzisiaj poszło.

Indra próbowała żartować.

- Zabawne słyszeć, jak używasz takiego potocznego wyrażenia „kiepsko poszło”, ale wiem, czego ono dotyczy.

Spoważniała, wargi jej drżały.

- Co ja złego zrobiłam, Marco? - spytała cicho.

- Złego?

- Tak. - Długo tłumiona niepewność i uraza wybuchnęły z całą mocą. - Dlaczego on mnie już nie lubi? Co ja zrobiłam? Czy to dlatego, że mam tak okaleczoną twarz? Dlaczego jest na mnie zły?

Marco usiadł w sąsiednim fotelu i pochylił się w stronę Indry. Mogła patrzeć prosto w niezwykle oczy Czarnego Anioła.

- Ależ Ram nie jest wcale zły na ciebie, moja droga - odparł łagodnie. - To Talornin wzbudził jego gniew. Mieli okropne starcie rano i Ram wciąż był na niego oburzony.

- Naprawdę?

- Możesz mi wierzyć. Talornin zabronił mi dawać ci jakąkolwiek nadzieję i nie chciał słuchać zapewnień, że między wami do niczego nie dojdzie. Wieczorem jednak udało mi się sporo wyjaśnić i Ramowi pozwolono mimo wszystko wybrać się do Królestwa Ciemności.

- Ach, Marco, jakże się cieszę!

- Rozumiem, ale pamiętaj, on będzie trzymał się na dystans, chociaż wbrew swej woli.

- Ja także nie będę się do niego zbliżać - oświadczyła Indra z nabożeństwem w głosie. - Wiemy, jak jest.

- Tak, wiecie - rzekł Marco ze smutkiem. - Ustaliłem z Talorninem, że wasza ciepła przyjaźń może wciąż trwać, natomiast innym uczuciom pozwolicie się wypalić.

Jakby to było możliwe, pomyślała Indra.

- Marco, jesteś cudowną osobą - powiedziała miękko. - Często się zastanawiam, czy jest ci dobrze w Królestwie Światła. Nie żałujesz, że zdecydowałeś przenieść się tutaj?

- Nigdy tego nie żałowałem, Indro. Wiodę teraz takie życie, o jakim marzyłem, nareszcie odnalazłem spokój, mam wspaniałych przyjaciół, przede wszystkim Dolga, syna czarnoksiężnika. To cudowny chłopak.

Chłopak? powtórzyła Indra w myśli, uśmiechając się ukradkiem. Ma co najmniej dwieście pięćdziesiąt lat, ale zachował młodość, elfy i kamienie obdarzyły go wiecznym życiem.

- Wiesz, Marco, zastanawiam się nad tymi napaściami na nas. Czy Griselda wie, że my tu, w Królestwie Światła, jesteśmy nieśmiertelni?

Marco popatrzył na nią zaskoczony.

- Ale przecież tu można umrzeć, Indro! Oczywiście, że tak. Na przykład w wypadku albo przez samobójstwo czy morderstwo. Nie dotyczy nas jedynie starość, a nieśmiertelni to zaledwie niewielka grupka.

Do której należysz i ty, pomyślała Indra i zadrżała. Ujęła Marca za rękę i mocno uścisnęła.

Po klęsce z młodzieńcem, któremu towarzyszył pies, Griselda przez dwa dni lizła rany. Kiedy jednak nastał trzeci dzień, miała już gotowy nowy plan.

Rano przeżyła kolejny cios. Zakradła się nad rzekę, zaniepokojona brakiem jakichkolwiek wieści o wybuchu na łodzi. Gdy dotarła do przystani i ujrzała czerwoną gondolę w żółte pasy, o mało nie pękła ze złości. Co się stało? Ponieważ o tak wczesnej porze nie było tu żywego ducha, dokładnie zbadała łódź. Ładunek wybuchowy usunięto, a przecież wyraźnie widać, że łodzi używano, na dnie było trochę wilgoci, leżały też zapomniane bukiety lotosów, a woda zostawiła ślady na burcie.

Jak mogło do tego dojść? Czyżby wszystko sprzysięgło się przeciwko biednej, niewinnej Griseldzie? Czym zasłużyła na tyle niepowodzeń?

No cóż, do diabła z łodzią, prychnęła pod nosem, wspinając się pod górę po stromym brzegu rzeki i kierując w stronę hotelu. Znajdzie inne rozwiązanie.

Najgorsze oczywiście, że te dziewczyny prawdopodobnie żyją i mieszkają się jak najlepiej. Ale już ona to ukróci!

Oriana... Może powinna zacząć właśnie od niej? Zdobyła wszak sporo informacji o tej „damie”.

Dama? Przeklęta dziwka, próbuje zarzucić sieci na cudzych kochanków!

Nie musi jej zabijać, przynajmniej nie od razu. Sprawdzi, że Thomas straci na nią apetyt, dla tak doświadczonej czarownicy jak Griselda to żadna sprawa.

Z tą Indrą też sobie poradzi, i z tą ciemną dziewczyną z pięknymi lokami, którą nazywali Berengarią. To ona ośmieliła się pocałować Thomasa, Pannica odpowie za to, poczuje smak zemsty prawdziwej wiedźmy.

Gdyby Griselda kochała Thomasa wielką, szczerą miłością, być może komuś mogłoby się zrobić jej żal, wydawałaby się patetyczną figurą uwięzioną w kleszczach własnej nienawiści i samotności. Ona jednak chciała mieć, posiadać tylko po to, by zaspokoić swoje żądze i nie pozwolić, by ktokolwiek inny skosztował kaska, który sobie upatrzyła. Obca jej była myśl, by ofiarować cokolwiek Thomasowi, liczyło się jedynie jej własne zaspokojenie. Po wszystkim gotowa była wyrzucić go na śmietnik.

Planowała pozbawić życia Orianą, Indrę, Berengarię, a na samym końcu również Thomasa, i w tym czasie korzystać z wdzięków wszystkich wspaniałych mężczyzn, jacy się zebrali w Królestwie Światła.

Zamiast tego jednak jej pociąg do niszczenia dotknął zupełnie inne osoby. Postąpiła tak nikczemnie, że nawet czarownicom z rodu Ludzi Lodu zaparło dech w piersiach.

Sprawą mniejszego kalibru była jej wizyta w biurze Oriany. Nie zastała tam okropnego Lemura Rama, bo wcześniej upewniła się, że go tam nie będzie. Nikt z pracowników nie zauważył chyba młodej dziewczyny przemykającej się ukradkiem korytarzami.

W miejscu pracy Oriany obrzuciła wzrokiem biurowy pejzaż, to musi być biurko Oriany, najbliższej drzwi pokoju Lemura, nie ma jej tu jednak, doskonale! Jakaś kobieta stoi co prawda i rozmawia z jednym z pracowników...

No, teraz, moi „przyjaciele” ze środka Ziemi, przekonacie się, kim jest Griselda! Do tej pory tylko się bawiłam!

Griselda nie potrafiła stać się niewidzialna, umiała za to sprawić, by ludzie zapominali o tym, co widzą, już w tej samej chwili, dlatego mogła swobodnie poruszać się po budynku. Pułapka na Orianę została zastawiona.

Prosta sprawa.

Zaatakowała z całą siłą tkwiącego w niej diabelstwa.

Tego wieczoru Jaskari wracał do domu zupełnie wycieńczony. Miał za sobą ciężki dzień, właściwie całą dobę. W jednej z najlepszych restauracji w Sadze niczym bomba wybuchła wiadomość o zatruciu grzybami. Laboratorium prędko stwierdziło, że chodzi o bardzo trujący grzyb, w dodatku z gatunku, który nie rośnie w Królestwie Światła. Około dziesięciu osób było bliskich śmierci, personel szpitala jak szalony walczył o ich życie. Teraz niebezpieczeństwo zostało już zażegnane, lecz Jaskari ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia.

Obiecał jednak Elenie, że zjedzą razem obiad, i nie miał zamiaru wycofywać się z przyrzeczenia. Za nic na świecie.

Spotkał się z nią w pobliżu pałacu Marca, gdzie wybrała się z wizytą do Indry. Elena i Jaskari bowiem jako jedni z nielicznych mogli ją odwiedzać, on jednak na razie nie miał na to czasu.

Griselda ze swego punktu obserwacyjnego zauważyła, że spotykają się na schodach.

Chłopak podszedł do dziewczyny, czule ujął ją za ręce, objął i sprowadził na dół.

Dziewczyna pochyliła głowę, leciutko się zaczerwieniła, lecz oczy jaśniały jej szczęściem.

- Do stu piorunów! - mruknęła z zazdrością Griselda. - Do stu piorunów!

Poznała ich, chłopak był lekarzem w szpitalu, po którym się przemykała, żeby odnaleźć Indrę, a dziewczyna przychodziła do niej z wizytą, Griselda wiedziała wszystko.

Każdy by zauważył, że ci dwoje to świeżo zakochani, tak świeżo, że nie zdążyli jeszcze pójść do łóżka, dawało się to poznać po każdym szczególe ich zachowania.

Doskonale, pomyślała Griselda, właśnie tego mi teraz potrzeba! Ten chłopak jest bardzo przystojny, choć nie tak uderzająco piękny jak książę i pozostali, lecz jakież ma muskuły! Bardzo mi się to podoba, wielkie mięśnie to na pewno również silny organ.

Nie uda mi się zbliżyć do innych, myślała dalej, ci jednak doskonale pasują do mego planu, trzymają też chyba z pozostałą grupą, która jakby się nie rozstaje. Zrobię w niej teraz wyłom. Ależ będzie bolało! A mnie sprawi wiele radości.

Młoda para weszła do hotelowej restauracji. Lepiej być nie mogło, miałyby większe trudności, gdyby wstąpili coś zjeść do lokalu obok, tam przecież ją obrażono, nie sprzedano alkoholu, musiała więc się choć trochę zemścić. Odrobina sproszkowanych trujących grzybów wystarczyła, ale tu, w hotelowej restauracji, jeszcze nie dała się poznać. Ubrała się tak, by nie zwracać niczyjej uwagi, i pospieszyła na dół. Znalazła stolik w miejscu, gdzie mogła wszystko słyszeć, a nawet trochę zobaczyć, sama przy tym nie będąc widziana. Nareszcie coś się zacznie dziać, pomyślała, uśmiechając się złośliwie.

Nie spodziewała się natomiast, że w ten sposób zdobędzie mnóstwo użytecznych informacji.

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego - powiedziała Elena, patrząc na Jaskariego z z troską.

- Bo też i jestem zmęczony - roześmiał się chłopak. - Ale niech to nam w niczym nie przeszkadza, Eleno.

Patrzył na Elenę w najładniejszej sukience, z błyszczącymi po niedawnym myciu włosami i dyskretnym makijażem, przy którym niewątpliwie musiała jej pomóc Indra. Elena jadła zupę, przy każdej łyżce zalewając sobie brodę, najwyraźniej bowiem uznała, że elegancko jest jeść bokiem łyżki, zamiast podnosić ją prosto do ust. Jaskariego wzruszyło jej zażenowanie, bezradność i nieskrywana chęć, by mu się spodobać. Gdy zrozpaczona dziewczyna usiłowała dyskretnie obcierać brodę po każdej łyżce, opowiadał o zatruciu grzybami, jakie miało miejsce w sąsiedniej restauracji, i o podejrzeniach, że stoi za tym zła czarownica Griselda.

- Nikt inny nie wpadłby na pomysł sprowadzenia trujących grzybów do Królestwa Światta - tłumaczył Jaskari. - W dodatku laboratorium sprawdziło, że nie chodzi tu wcale o świeże grzyby, lecz o suszone, sproszkowane, bardzo, bardzo stare, ale niezwykle skuteczne.

- Rzeczywiście, to od razu przychodzi na myśl czarownicę - z drżącym uśmiechem przyznała Elena i zaprzestała prób eleganckiego jedzenia. - Ale dlaczego to zrobiła?

- No właśnie. Nikt w restauracji nie może tego pojąć, nie wiedzą też, jak w ogóle mogło do tego dojść. No cóż, w każdym razie udało nam się wszystkich uratować. A jak się miewa Indra?

Elena rozjaśniła się.

- O, jej twarz wygląda już o wiele lepiej, wszelkie ślady po tych paskudnych zadrapaniach zniknęły, opuchlizna także zeszła, zostały jedynie siniaki, ale jutro powinno się im zaradzić. Indra mówi, że z siniakami można żyć, jeśli ktoś lubi kolory. Wiesz, ona jest moją najlepszą przyjaciółką i ogromnie jej współczuję.

- Rozumiem - ciepło zapewnił Jaskari. - A więc jej piękna cera jest ocalona?

- W pełni.

- Tak, on jest niewiarygodny.

Kto? Kto jest niewiarygodny, zastanawiała się Griselda chora z rozczarowania, że ktoś usiłuje obrócić wniwecz jej plan. Ta wymalowana suka Indra miała wszak przestać liczyć się jako rywalka w walce o względy Thomasa. A oto Griselda dowiaduje się, że wygląda równie ładnie jak przedtem. To niepojęte, wręcz skandaliczne.

Jej nienawiść do pary, siedzącej za kwiatowymi dekoracjami, połączonej taką duchową intymnością, wciąż rosła. Najlepsza przyjaciółka, ach, tak, pożałuje tego!

Ta mała ładniczka odezwała się znów:

- Ależ, Jaskari, jesteś naprawdę strasznie zmęczony, może powinniśmy odłożyć...

- Nie przejmuj się tym, Eleno. Jak się miewają pozostali goście w pałacu?

- Miło spędzają czas. Muszą tam zostać, dopóki ta odrażająca wiedźma nie zostanie odnaleziona i unieszkodliwiona. Lecz doskonale się bawią. Rozmawiałam z Ramem, wspominał, że wszyscy wybierają się na ekspedycję ratowania zwierząt z Królestwa Ciemności. Chcą w ten sposób wyprowadzić Griseldę w pole.

- Mam ochotę wyprawić się wraz z nimi.

- Ja także - natychmiast podchwyciła Elena. - Joriemu zlecono poproszenie o pomoc jeszcze innych godnych zaufania młodych ludzi, od razu się zgłosiłam, wspomniałam też, że i ty na pewno zechcesz wziąć udział w wyprawie, jeśli tylko zwolnią cię na ten czas z pracy.

- Świetnie, Eleno, jeszcze dzisiaj zadzwonię do Joriego.

Griselda wyęzżała słuch. Mogłaby przysunąć rękę do ucha, żeby słyszeć jeszcze lepiej, lecz być może wydałoby się to dziwne innym gościom w restauracji. Siedziała, dłubiąc w daniu rybnym, którego wykwintnego smaku nie potrafiła docenić, i popijała wodę mineralną, bała się bowiem poprosić o coś mocniejszego. Nie chciała ryzykować kolejnej awantury.

Za każdym razem, gdy spoglądała poprzez liście i kiść kwiatów na Jaskarięgo, zaciskała uda i wiała się na krześle. Cóż za piękny chłopak! Ileż to już czasu od ostatniego... Z każdym dniem upływało go coraz więcej. Odkąd przybyła do tego zakłamanego świata, nie zaznała prawdziwej rozkoszy!

A więc zamierzali ją unieszkodliwić, to ci dopiero! I uważali, że im się to uda? Idioci! Zapragnęła wziąć udział w wyprawie w Ciemność. Wszystkich wrogów będzie wówczas miała w zasięgu ręki, podanych niczym na srebrnej tacy. Przekonała się już, że do pałacu się nie dostanie, na schodach czuwali Strażnicy, a pomagała im ta bestia, która już raz szczyrzyła na nią kły. Powinno się wyeliminować wszystkie psy świata!

Nie, do pałacu nie wejdzie.

Ale Jori?

Znała to imię. Indra krzyknęła tak, zanim straciła przytomność wtedy na ulicy, Jori to ten młody chłopak, z którym Indra rozmawiała tuż przedtem, obrzucił wtedy ją, Griseldę, lubieżnym wzrokiem.

Łatwa zdobycz, musi z nim tylko porozmawiać. Może opuści pałac, wyruszając na poszukiwanie chętnych do udziału w wyprawie? Griselda będzie czekać gotowa.

Ale... Zdrętwiała. O czym oni teraz rozmawiają?

Mówiła dziewczyna:

- Wygląda na to, że Thomas i Oriana się odnaleźli, są nierozłączni, a jej udało się odegnać nieco jego melancholię, rozmawiają i śmieją się razem. Oriana zdołała chyba przepędzić przynajmniej część paskudnych wspomnień o czarownicy.

Griselda mało nie pękła z wściekłości.

- Doskonale - ucieszył się Jaskari - Co prawda Oriana jest od niego sporo starsza, ale tutaj się to szybko wyrównuje. Już wygląda znacznie młodziej, niż kiedy przybyła.

- On za to pojawił się w Królestwie Światła w siedemnastym wieku - przypomniała Elena ze śmiechem. - Więc jeśli już mówimy, kto tu jest starszy...

- Masz rację, masz całkowitą rację. Pojęcia czasu stoją tu na głowie, okropnie można się w tym zaplątać.

Jaskari przyglądał się Elenie, która elegancko ocierała kąciki ust serwetką po pysznym deserze. Myślał o tym, jak nieładnie potraktował ją i jej szczerze zauroczenie jego osobą. Gdyby Indra nie włączyła się w sprawę, wciąż podejrzewałby Elenę o wielką niestałość i nie chciał jej zaufać. Z dreszczem niezadowolenia z samego siebie przypominał sobie, jak rozważał, czy nie poprosić jednego z przyjaciół o okazanie jej zainteresowania, żeby

sprawdzić, czy nie zadurzy się i w nim. Jakież to niskie i egoistyczne z jego strony!

Gdyby Indra się o tym dowiedziała, nie chciałaby więcej z nim rozmawiać.

Oczywiście intryga nigdy nie doszła do skutku, lecz już sam ten pomysł zmuszał go do zastanawiania się, czy nie jest zazdrosny ponad dopuszczalne granice. Wstydził się teraz jak skarcony pies. Elena jest przecież taka śliczna, taka kochana, taka naiwna, a on chciał...

Nagle poczuł, że powieki same mu opadają i mało brakowało, a zleciałby z krzesła.

Potrząsnął głową, żeby się obudzić, i powiedział wesoło:

- Jeśli skończyliśmy już jeść, to muszę powiedzieć, że zamierzałem spytać, czy miałabyś ochotę wpaść do mnie na filiżankę kawy, mieszkam przecież niedaleko, właściwie mój dom stąd widać. To ten, przed którym stoją czerwone ławki.

- Dobrze wiem, gdzie mieszkasz - odparła Elena urażona. Jakże mogłaby tego nie wiedzieć? - Ale, Jaskari, ty się ledwie trzymasz na nogach, chyba powinniśmy przełożyć tę kawę na inny dzień.

Jaskari dostrzegał słuszność w jej słowach, nie miał jednak ochoty jej wypuszczać, kiedy już ją miał. Ujął ręce dziewczyny ponad stołem i pocałował je.

Ale są dla siebie słodcy, pomyślała Griselda wściekła. Jej bystre oczy badawczo przyglądały się Elenie, wbijała sobie w pamięć każdy szczegół jej twarzy, każdy ruch, mimikę, sposób mówienia, ubranie, wszystko.

Fuj, ten głupek wyjął kwiat z wazonu i wsunął go we włosy dziewczyny. Oboje zakochani roześmiali się. Są śmieszni, czy sami tego nie czują?

Para idiotów.

Do diabła, co on wygaduje?

- Eleno, wiesz, co do ciebie czuję...

- Nie, już teraz nie wiem - odparła nieśmiało.

- Nic się nie zmieniło. O niczym bardziej nie marzę niż o zaproszeniu cię do siebie, posprzątałem nawet i pozmywałem, a brudne ubranie wepchnąłem jak najgłębiej do szafy. Przygotowałem się na to spotkanie, ale...

- Ale jest coś, czego pragniesz jeszcze bardziej - uśmiechnęła się Elena wyrozumiale. - Chcesz położyć się spać.

- To prawda - przyznał Jaskari ze wstydem, lecz nie bez ulgi. - Nie spałem od ponad dwóch dni. Ale spotkajmy się znów jak najprędzej, najchętniej już jutro, choć to chyba niemożliwe...

Wyszli z rozświetlonej restauracji i Griselda niczego więcej już nie słyszała. Widziała natomiast, jak zatrzymują się przed lokalem, jak chłopak przyciąga dziewczynę do siebie i patrzy jej głęboko w oczy. Puścił ją prędko i odszedł.

To ja, pomyślała Griselda, to ja powinnam być na jej miejscu!

Prędko opuściła restaurację i pobiegła do swojego pokoju. Przed wejściem do restauracji na jasnej podłodze leżał kwiat hibiskusa, Griselda złapała go chciwie, na pewno wypadł z włosów Eleny. Doskonale, lepiej już być nie mogło.

Idąc po schodach do pokoju - Griselda nie lubiła wind, tych podstępnych pułapek, z których może być trudno się wydostać - rozmyślała gorączkowo.

Zamierzała wykorzystać najtrudniejsze ze wszystkich swych magicznych umiejętności.

Będzie musiała wybrać się do domu, do swej tajemnej izdebki, nie miała przy sobie wszystkich składników niezbędnych do odprawienia rytuału.

Zadrzała na myśl o tym, co ją czeka. Jej plan wymagał od niej ogromnie dużo, lecz jeśli wszystko się uda, naprawdę zatriumfuje.

15

Griselda stała w izdebce, w której przechowywała swoje najbardziej tajemne wywary i środki

Była już prawie gotowa. Ręce miała czarne i lepkie, wysmarowane aż do łokci smołą i tłuszczem przestępcy, który umarł przez samopodpalenie. Gorzki wywar z jeszcze bardziej makabryczną zawartością stał przed nią na stoliku, przygotowany do wypicia. Miała już wszystkie niezbędne składniki poza jednym: świeżą krwią niemowlęcia. Poza tym znalazły się tam odchody niedźwiedzia, wino mszalne i rzeczy, o których nie powinno się wspominać.

Ale gdzie szukać niemowlęcia?

Znała pewną rodzinę, która zostawiała na noc swoje dziecko na werandzie, widziała, jak układają maleństwo w wózku. Mieszkali niedaleko, lecz Griselda musiała zachować ostrożność.

Dziesięć minut później już zakradała się na werandę, zgięta w pół przemknęła do wózka i podstawiła pod rączkę dziecka maleńką miseczkę. Czubkiem noża nacięła kciuk niemowlęcia, bardzo delikatnie, żeby nie zaczęło płakać. Nie wahałaby się przed poważniejszym skaleczeniem malca, gdyby się nie bała, że zostanie odkryta.

Dziecko pisnęło żałośnie, gdy z małego paluszka wyciskała kilka kropli krwi. Na czworakach, a właściwie na trojakach, bo w jednej ręce niosła miseczkę, podczołgała się do ściany werandy i przez nikogo nie zauważona zniknęła wśród roślinności między domami. Ani trochę nie przejęła się czarnymi śladami smoły, które zostawiła na bielutkim kocyku w wózekczku.

Teraz miała już wszystko.

W domu przed lustrem rozebrała się do naga i z zachwytem przyglądała się własnemu odbiciu. Do stu piorunów, czarująco wygląda jako piętnastolatka, emanuje wprost magnetyczną zmysłowością. Niewiele brakowało, a Griselda, wkładając we włosy kwiat Eleny, zakochałaby się sama w sobie.

Nie miała jednak na to czasu, odetchnęła głęboko i chwyciła duży kubek, w którym nareszcie znalazły się już wszystkie składniki niezbędne do sporządzenia czarodziejskiego wywaru. Trzymając go w obu rękach przed lustrem, zaczęła odmawiać magiczne zaklęcia, przepadłe już dawno we mgle minionych stuleci

Podniosła kubek wysoko i wypita parujący wywar.

Dech zaparło jej w piersiach. Cóż za obrzydliwy smak! Warto jednak go poczuć. To smak zemsty, a jednocześnie rozkosznej miłosnej przygody.

Obserwowała się w lustrze, widziała, jak jej młodą twarz ściąga ból, potem straciła przytomność, lecz tylko na krótką chwilę.

Jaskari usiłował się wydobyć z głębokiej studni snu. Słyszał, że ktoś dzwoni do drzwi.

- Już idę - mruknął i znów zasnął.

Ale dzwonek nie milkł.

- Cóż to za uparciuch! - prychnął.

Usiadł z trudem na łóżku i naciągnął szorty. Może jakiś kryzys w szpitalu? No cóż, obowiązki.

Na bosaka, z gołym torsem, prezentując wspaniałe mięśnie, wyszedł na korytarz i otworzył.

- Ależ Eleno! - przeraził się i przeciągnął palcami po wzburzonych jasnych włosach.

Jakże on wygląda, zaspane oczy, prawie goły! I Elena go takim widzi!

A ona stała w drzwiach onieśmielona, we włosach wciąż miała kwiat i uśmiechała się do niego.

- Zmieniłam zdanie. Tyle przecież mamy sobie do powiedzenia. Czy mogę wejść?

- Oczywiście - wyjąkał Jaskari.

Kiedy go mijala, owionął go ostry zapach perfum. To niepodobne do Eleny, pomyślał zmieszany, tak wpadać jak gdyby liczyły się sekundy. I przecież zawsze tak dyskretnie używała perfum.

A Elena nagle jakby się zatrzymała, jakby przypomniała sobie, kim jest. Znow była normalną zawstydzoną Elena, poruszała się niezręcznie jak zawsze i uśmiechała drżąco. Jaskariemu nie umknęło jednak, że obrzuciła go urażonym spojrzeniem od stóp do głów, a oczy zapłonęły jej jakimś szczególnym, niemal chciwym blaskiem.

Podoba jej się to, co widzi, pomyślał, i chyba się ucieszył. Chyba, bo nie był tego całkiem pewny.

- Spałeś - stwierdziła miękko. - A ja cię zbudziłam, to niemądre z mojej strony, chodź, pójdziemy z powrotem do twojej sypialni, musisz odpocząć, nie będę ci przeszkadzać.

Chciałabym tylko posiedzieć i pogawędzić chwilę, a jeśli zaśniesz, to nic nie szkodzi. Ale tyle ci mam do powiedzenia, musisz mi na to pozwolić. Tak bardzo chciałam cię zobaczyć!

Jaskari przygryzł wargę. Czyżby Elena piła? Nie, nie więcej niż kieliszek czerwonego wina w restauracji Elena, tak surowo wychowana, zawsze bardzo uważała na alkohol. Życzliwie jednak skinął jej głową i pokazał drogę do sypialni. Nie najlepiej dobrała perfumy, ale cóż, nie mógł jej o tym powiedzieć, zawierały jednak w sobie pewną nutę, która psuła całe wrażenie. Jak gdyby użyła dwóch zapachów wzajemnie się niszczących?

Nie poznawał też jej sukienki, była bardzo młodzieńcza, niemal dziecinna. Widać jednak nie zna tak dobrze garderoby Eleny.

Kiedy znaleźli się już przy jego nie zaścielonym łóżku, które w pośpiechu starał się wygładzić, Jaskari objął ją i powiedział:

- Moja droga, kochana, tak się cieszę, że przyszłaś.

W pokoju dzięki zasuniętym okiennicom panowała ciemność. Jaskari usłyszał, jak dziewczyna, czując jego dotyk, z trudem chwyta oddech, i pocałował ją w czoło. Chciał ją uspokoić, ona nie może się bać. Puścił ją zaraz, nie trzeba pośpiechu, mówiła przecież, że chce posiedzieć i porozmawiać. Czyżby naprawdę w to wierzyła? Nie wiedziała, że on od miesiący czeka na ten moment? Kochana Elena, co prawda nie najlepiej się czuł, ale to przecież Elena, ta, w której kochał się od wielu lat.

A teraz wreszcie była tutaj, czy on zdoła nad sobą zapanować?

Przeraziła go reakcja dziewczyny. Elena oddychała ciężko, rozgorączkowanymi palcami szukając zapięcia paska przy jego spodniach, choć ubrany był tylko w szorty. Czy ona nie wie, że takie majtki mają w pasie tylko gumkę?

- Mam mało czasu - szepnęła rozpalona. - Pospiesz się, połów się, chcę...

Jasne było, o co jej chodzi, Jaskari był zbyt oszołomiony, by się opierać, kiedy odkryła wreszcie, jaką praktyczną rzeczą są szorty, i wsunęła rękę za gumkę, przewracając go na łóżko.

Jaskari był rozdarty pomiędzy całkiem naturalnym pożądaniem jedyne go obiektu miłości a zdumieniem nad nagłą przemianą Eleny z nieśmiałej panienki w natrętą kobietę.

Dziewczyna na moment jakby się opamiętała i uśmiechnęła do niego, prosząc o wybaczenie, pozwoliła mu pogłodzić się po ramionach, pokazać, że nie ma jej tego za złe. Później zaś zapomniała o całym wstydzie. Nie pozostawiła mu zbyt wiele czasu do namysłu, zwinęła się w kłębek i wzdychając z zadowolenia zaczęła całować dumę jego męskości, a Jaskari, w pierwszej chwili wstrząśnięty, pozwolił się porwać własnej żądzy. Skoro Elena tego chce, on nie będzie się sprzeciwiał.

Zadbał tylko o to, by znalazła się pod nim, ona zaś chętnie się na to zgodziła.

Chciał pokazać, kto przejął inicjatywę, udowodnić, że i on tego chce i że Elena nie musi się wstydzć.

Poddała mu się przez chwilę, z jękiem, jakiego się po niej nie spodziewał, i zaraz znów znalazła się na wierzchu. Ujeżdżając go z rozkoszą, zaczęła krzyczeć głośno, wręcz wrzeszczeć, a Jaskari zdążył tylko pomyśleć zdumiony: Ależ ona nie jest dziewicą!

Zaraz jednak żądze pochwyliły go niczym sztorm, niczym orkan, poczuł, z jaką namiętnością Elena mu w tym towarzyszy, wzrok miała szklany jak w transie.

Wreszcie zapadła cisza.

Elena osunęła się na niego, ciężko chwyając oddech. Nagle wstała i naciągnęła sukienkę, Jaskari zorientował się, że i przedtem nie miała na sobie nic więcej. Wszystko działo się błyskawicznie, zanim zdążył pojąć jej zamiary, instynktownie naciągnął na siebie cienkie okrycie ze wstydem, jaki nie powinien mieć miejsca między dwojgiem czułych kochanków.

- Eleno, nie musisz chyba jeszcze iść, nie teraz!

- Ach, Jaskari, co ja zrobiłam! - jęknęła. - Co myśmy zrobili? Nie przyszłam tu wcale w tym celu, lecz moja miłość do ciebie okazała się silniejsza, uczucia wzięły nade mną górę, nie, muszę już iść, nie mogę zostać, to niemożliwe. Żegnaj, mój drogi, i wybacz mi moją śmiałość.

Przy tych ostatnich słowach jej głos zmienił się dramatycznie, zabrzmiał niczym dźwięk z płyty gramofonowej, która traci prędkość. Stał się jakiś grubszy, chrapliwy. Elena wybiegła z pokoju.

Jaskari usłyszał trzaśnięcie wejściowych drzwi.

Siedział na brzegu łóżka, nie bardzo mogąc pojąć, co się właściwie stało. Wszystko działo się tak prędko, Elena była zupełnie niepodobna do siebie, a jego, trzeba przyznać, rozczarowało nieco jej zachowanie.

Zniechęcony obracał w palcach kwiat hibiskusa, zgnieciony i stłamszony w gorączkowych objęciach.

Zupełnie inaczej wyobrażał sobie ich romans. Zamierzał nie spieszyć się, okazywać delikatność, na jaką zasługiwała taka dziewczyna jak Elena. Wszystko miało być takie piękne, czułe i kruche. Kilka razy spotkaliby się na mieście, pocałowali, zbliżali do siebie powoli, aż wreszcie nadszedłby ten wieczór, kiedy z pełną naturalnością padliby sobie w ramiona.

Czuł, że w piersi wzbiera mu płacz. To spotkanie było... no tak, trochę upokarzające. W dodatku Elena źle wymówiła jego imię, błędnie je zaakcentowała.

Dlaczego była tak prędką? Taka niecierpliwa? I dlaczego tak się spieszyła, żeby wyjść? Nigdy czegoś podobnego by się po niej nie spodziewał.

W parkowych krzakach Griselda oddychała ciężko, czując nieznośny ból przenikający jej ciało. Dobrze wiedziała, że czarodziejski środek działa jedynie przez krótki czas i czuła teraz zachodzącą w niej przemianę. Wiedziała, że jej twarz powraca do swego pierwotnego kształtu, rysy układają się tak jak poprzednio, wkrótce już znów miała być sobą. Właśnie z powodu krótkotrwałego działania wywaru musiała się tak spieszyć. Wyszła dosłownie w ostatniej chwili, próbowała tej sztuki zaledwie raz wcześniej przed kilkoma stuleciami, proces przeobrażenia był bowiem zaiste bardzo trudny. Tym razem jednak bardzo tego pragnęła.

I dostała godziwe wynagrodzenie za trud. Miała w sobie nasienie tego kłęбка mięśni, zaspokoila dręczące ją pożądanie, przynajmniej na jakiś czas. W dodatku zdołała się zemścić.

Głupia Elena nie ma już czego szukać.

Czując, że na powrót stała się Griseldą, przemknęła do hotelu. Miała nadzieję, że nocny portier nie dostrzeże jej późnego powrotu do domu. Niestety, był na swoim miejscu, uśmiechnęła się tylko nieco zmieszana.

Stojąc już na schodach, odwróciła się i zesłała na niego zapomnienie, tak by nikomu nie zdołał donieść o tym, co widział. Była jednak niezmiernie zmęczona i mogła jedynie mieć nadzieję, że zakłęcie podziała. Ledwie starczyło jej sił na dotarcie do hotelowego pokoju. Pozostawał jeszcze prysznic, ach, jakże nienawidziła tej pluszczącej wody, lecącej na nią z góry. Zabieg jednak był konieczny, jeśli nazajutrz miała się przyzwoicie zaprezentować. Zasnęła, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki

16

Po spokojnej nocy spędzonej w pałacu Oriane dotknęła katastrofa.

Zebrał się przy stole nakrytym do śniadania. Oriana nie posiadała się ze szczęścia, że pozwolono jej przyłączyć się do tej grupy, przepelniały ją też budzące się właśnie uczucia do młodego, bardzo sympatycznego mężczyzny. Z początku, kiedy przybyła do Królestwa Światła, zachwyciła się młodym lekarzem, Jaskarim, prędko jednak się zorientowała, że jego myśli kierują się w inną stronę. Kiedy zrozumiała, że Jaskari świata nie widzi poza Eleną, bez trudu wyzbyła się sympatii dla niego.

Spotkała już wtedy Thomasa, który szczerze ją zafascynował, okazało się też, że jest wolny i że świetnie się rozumieją.

A teraz nastąpił wstrząs.

Zjawili się dwaj Strażnicy i poprosili ją o rozmowę.

- Oczywiście - odparła ze śmiechem, wstając. Wyszła wraz z nimi do hallu.

Oni jednak patrzyli na nią z powagą.

- Musimy prosić, żebyś poszła z nami.

Uśmiech na twarzy Oriany zgasł.

- O co chodzi? Czy coś się stało?

- Zniknęła część rezerwy złota i papiery wartościowe, przechowywane w wydziale naszego szefa.

Wyszedł Ram, dopytując się, co się dzieje. Strażnicy powtórzyli to, co już powiedzieli.

- Nie możecie chyba oskarżać Oriany - rzekł zdumiony.

- Przykro nam, ale wszystko odnaleziono w jej zamkniętej na klucz szafce.

- Ach, nie! - wykrzyknęła przerażona. - Nie, to niemożliwe!

- Ja też w to nie wierzę - stwierdził Ram. - Chodźcie, pójdziemy od razu do mojego biura, to trzeba wyjaśnić.

W gondoli Strażnicy dodali, że na skradzionych papierach i przedmiotach znaleziono odciski palców Oriany.

- Ależ to całkiem naturalne - broniła się. - Przecież to ja jestem odpowiedzialna za tę część biura.

- Żadnych innych odcisków nie znaleźliśmy - wyjaśnił Strażnik.

Oriana wpadła w prawdziwą rozpacz. Jeszcze przed chwilą przyszłość w Królestwie Światła rysowała się przed nią tak wspaniale, a teraz...

- Nic z tego nie rozumiem - jęknęła.

Ram także nie mógł pojąć, co się stało. W jego biurze przebywało niewiele osób, wszyscy pracownicy zatrudnieni byli już od wielu lat i w pełni im ufano. Nie do pomyślenia, by któryś z nich chciał zrzucić winę na Oriane.

Gdy tylko dotarli na miejsce, wypytał, czy w ciągu ostatnich kilku dni nikt ich nie odwiedzał.

Dokładnie rozpatrzono wszelkie odwiedziny, włącznie z wizytą Talornina, doszli jednak do wniosku, że nikt nie miał możliwości, by zbliżyć się do szafki Rama, w której leżały najważniejsze papiery wraz z rezerwą złota.

Nikt poza Orianą.

Oriana stała załamana wśród swoich kolegów z pracy, pilnowana przez dwóch Strażników.

To zawsze prawdziwy koszmar, kiedy w miejscu pracy coś ginie, każdy wówczas czuje, że wszyscy podejrzewają właśnie jego. Oriane wprawdzie podejrzewano otwarcie, lecz to w niczym nie poprawiało jej sytuacji.

Ram usiłował jakoś jej pomóc.

- A czy nie było tak, że pożyczyłaś sobie te rzeczy z ważnych powodów i nie miałaś możliwości odłożenia ich na miejsce?

Oriana usiłowała mówić spokojnie:

- Mogłabym teraz tak powiedzieć, ale to nieprawda. Niczego nie pożyczałam. Uważacie, że naprawdę jestem taka głupia i schowałamby skradzione przedmioty tutaj w biurze? To znaczy gdybym była złodziejką.

Wszyscy myśleli tak samo, Oriana również. Mogła wszak schować łupy w szafce, żeby jak najprędzej przenieść do domu, nie zdążyła jednak, polecono jej schronić się w pałacu.

Dyskusja utknęła w martwym punkcie.

- Czy nie możemy o tym zapomnieć? - zaproponował Ram. - Przynajmniej na razie, tyle mamy innych spraw.

- Nie - zdecydowanie oświadczyła Oriana. - O niczym nie będziemy zapominać. Nie chcę, aby ciążyły nade mną jakiegokolwiek podejrzenia. Pokochałam swoją pracę, ale po tym, co się stało, nie mogłabym tu zostać. Wyjaśnijmy najpierw tę sprawę.

Ram już miał zaprotestować, kiedy jeden z pracowników, Lemur, powiedział z wyrazem zamyślenia na twarzy:

- Poczekajcie chwilę.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

- Mam wrażenie... a może mi się to śniło? - mówił wolno. - Mam wrażenie, że widziałem coś, co jakby przemknęło obok mnie. Tu, w biurze.

- Ty także? - zdziwiła się jedna z koleżanek. - Ja też o tym myślałam, bałam się jednak powiedzieć, to takie mgliste.

Trzeci pracownik zaś dodał:

- Było tu coś... albo ktoś... wczoraj? Albo przedwczoraj? Niczego więcej nie pamiętam, to takie niewyraźne, właściwie jak sen.

Ram oprzytomniał na dobre.

- Nic nie pamiętacie, żadnych szczegółów? Zastanówcie się, to ważne.

Rozejrzeli się po sali, poszukując i w biurze, i w pamięci.

- Mam wrażenie, jakby przed oczami rozpościerała mi się mgła - rzekł mężczyzna. - Ale wydaje mi się jednocześnie, że postać, która tędy przeleciała, była żywą osobą.

- Kręciła się przy szafce Rama - dodała kobieta.

- I przy szafce Oriany - wtrąciła druga.

- Czy to była postać męska czy kobieca? - wypytywał Ram.

Długo zwlekali z odpowiedzią.

- Chyba kobieca - zdecydowało się wreszcie któreś.

- Trudno powiedzieć, ale... chyba tak, to chyba była kobieta.

Na twarzy Rama ukazała się surowość.

- Tylko jedna osoba potrafi sprowadzić na ludzi zapomnienie w taki sposób.

- Griselda? Czarownica? - szepnęła przerażona Oriana.

- Czy nie będzie kresu jej niecnym czynkom? - wybuchnął Ram i zwrócił się do Strażników: - Griselda z całego serca nienawidzi Oriany, nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby to ona znów tak niecznie próbowała nam dokuczyć.

- I nikt nie wie, jak ona wygląda? - dziwił się Strażnik.

- Nikt, tylko Thomas. A on nie widział jej w Królestwie Światła.

- Czarownica? - powtórzyła jedna z kobiet pobladyłymi wargami. - Czy tu w Królestwie Światła naprawdę są czarownice?

Nie wszyscy mieszkańcy wiedzieli o Ludziach Lodu i duchach Móriego. Nie wszyscy też zdawali sobie sprawę, że Móri i Dolg to czarnoksiężnicy, nie znali także prawdy o niezwyklej pochodzeniu Marca.

Większość jednak o wszystkim wiedziała i w pełni to akceptowała. Jedynie niektórzy mieszkańcy miasta nieprzystosowanych nie chcieli pogodzić się z obecnością niezwyklej istot.

- Trafił nam się bardzo nieprzyjemny egzemplarz z gatunku czarownic - cierpko odpowiedział Ram. - Zajmujemy się właśnie jej unieszkodliwianiem.

Cóż, skończyło się uniewinnieniem Oriany od zarzutów kradzieży. Razem z Ramem wróciła do pałacu, nie kryła ulgi, a on narastającego zaniepokojenia. Griselda najwidoczniej umiała się przedostać wszędzie, w dodatku tak, by nikt nic konkretnego nie zauważył.

Ram nakazał wzmocnienie straży wokół pałacu Marca.

W tym czasie Jori wyprawił się na poszukiwanie pięciu godnych zaufania ludzi, którzy mieli pomóc w chwytaniu olbrzymich jeleni. Właściwie samo chwytanie zwierząt mogło być dość proste, chodziło raczej o utrzymanie ich w stadzie i ochronę przed potworami. Musiał się dobrze namyślić. Wybrani powinni być ludźmi odważnymi, lecz pozbawionymi skłonności do ryzykanctwa, musieli posiadać wiele zrozumienia dla zwierząt, a także umieć bronić siebie i jeleni.

Wybrano już jednego ze Strażników, potrzeba jednak było jeszcze czterech osób.

Jori z radością przyjął zgłoszenie Eleny i Jaskariego, chociaż Jaskari był jakiś nieswój, w jego głosie pobrzmiwało jakby rozczarowanie? Jak gdyby młodego zadowolonego lekarza nic właściwie już nie interesowało?

Jori nie potrafił tego zrozumieć, poprzedniego dnia Jaskari był pełen zapału, wszystko świetnie się układało między nim a Eleną, wieczorem wybierali się coś zjeść. Czyżby spotkanie źle się skończyło?

Ale Elena przez telefon wydawała się bardzo radosna. W jej głosie wyraźnie pobrzmiwało szczęście i nadzieja.

Niezwykła sprawa z tym oskarżeniem Oriany o przywłaszczenie sobie mienia. Strażnicy ją zabrali. Oriane? Tę elegancką damę?

Dziwne rzeczy dzieją się ostatnio w Królestwie Światła!

Tsi-Tsunggę i Oko Nocy wyznaczono już do udziału w wyprawie, lecz Jori potrzebował jeszcze kilku ochotników.

Odnalazł dwóch kolegów z klasy, zadzwonił do nich i umówił się na spotkanie. Zgodzili się przyłączyć.

Zmęczony wszedł do parku i usiadł na ławce, żeby się chwilę zastanowić. Kogo jeszcze mógł wybrać?

Alejką nadchodziła jakaś młoda dziewczyna z torbą w dłoni. Podeszła do sadzawki i przykucnęła. Wyjmowała z torebki kawałki chleba, zaraz nadpłynęły kaczki i inne wodne ptaki

Kiedy torebka była już pusta, a ptaki walczyły o ostatnie tonące kąski, wstała, odwróciła się i dostrzegła Joriego. Z przymilnym uśmiechem zbliżyła się do jego ławki.

- Bardzo lubię zwierzęta - wysepleniła.

Co za kłamstwo, nienawidziła zwierząt, one także nie czuły do niej sympatii. Kaczki karmione przez spacerowiczów wychodziły zwykle na brzeg, a tym razem tak się nie stało.

Jori jednak, jeden z najbardziej naiwnych w grupie przyjaciół, natychmiast uwierzył w to, co powiedziała. Przez moment wydało mu się, że już wcześniej widział gdzieś tę dziewczynę, Griselda jednak zdążyła od tamtej pory przeфарbować włosy, które zamiast marchewkowego, łatwego do rozpoznania koloru, przybrały teraz kolor brązowy. Jori zresztą zerkał na wszystkie dziewczyny, nie zapamiętał jej więc w szczególny sposób.

- Czy mogę tu usiąść? - spytała słodko.

- Oczywiście, proszę.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia, dziewczyna jak dziecko wymachiwała nogami.

- Szkoda mi bardzo wszystkich zwierząt, które nie mogą się znaleźć w naszej wspaniałej krainie - powiedziała.

W tym momencie Jori powinien powziąć jakieś podejrzenia, ale tak się nie stało. Dał się złapać na haczyk.

- Wybieramy się na ekspedycję ratunkową - zdradził. - Chcemy sprowadzić jelenie...

- Ach, jelenie są takie cudowne! To chyba znaczy, że wybieracie się do Królestwa Ciemności?

- Tak, i nie będzie to, ot, taka sobie wycieczka.

Dziewczyna roześmiała się.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, że ktoś może się czegoś bać. Mam wrażenie, że nie wiem, co to strach.

- A powinnaś wiedzieć. Strach to bardzo przydatne uczucie, ocaliło wielu ludzi i sporo zwierząt.

- Nie tak chciałam powiedzieć - uspokajała go panna. - Po prostu fascynują mnie przygody.

Jori przyjrzał jej się uważniej. Dziewczyna była bardzo młoda, lecz wyglądała na silną i odważną.

- Czy potrafisz prędko i trafnie ocenić sytuację?

- A któż odpowie przecząco na takie pytanie? - roześmiała się, a Jori musiał przyznać, że rzeczywiście nie najmądrzej spytał.

- No cóż, już twoja odpowiedź świadczy o tym, że jesteś bystra - uśmiechnął się. -

Faktem jest, że my... - zawahał się niepewny, co powie na to Ram, ale nie miał już pomysłu, kogo włączyć do akcji. - Faktem jest, że potrzeba nam jeszcze jednej osoby, która wzięłaby udział w ekspedycji, ale ty jesteś taka młoda.

- Jestem starsza, niż ci się wydaje - zapewniła. I po raz pierwszy tego dnia powiedziała prawdę. I to jeszcze jaką! - Owszem, mogę się z wami wybrać, z radością pomogę tym biednym jelonkom.

- No, no, jelonkom - mruknął Jori, chociaż nigdy nie widział megacerosa i tak naprawdę nie bardzo miał pojęcie, o czym mówi.

- A więc dobrze, pojedź z nami. Ubierz się ciepło i praktycznie i bądź przy postoju gondoli o... o godzinie, no właśnie, o której?

Uzgodnili porę spotkania i dziewczyna lekkim krokiem pobiegła do swojego hotelu.

Mój ty świecie, cóż to za naiwniak! Ale nic mi nie zrobił, zostawię go więc w spokoju, myślała Griselda, lecz tamci niech się pilnują. Na szczęście Oriana na pewno została unieszkodliwiona, to dobrze, bo ona jest naprawdę groźna. Miała już prawie w szponach mojego Thomasa. Teraz kolej na Indrę i na tę Berengarię.

Ileż przyjemności mnie czeka!

Nie wspominając o tych wspaniałych mężczyznach, którzy mi zostaną, kiedy pozbędę się rywalek. Będę mogła przebierać i wybierać.

Wszystko układa się zgodnie z moim planem. Na razie osiągnęłam, co chciałam. Jestem niewyciężona!

17

Gondole kolejno lądowały na wielkiej polanie w pobliżu Srebrzystego Lasu. Akurat w tym miejscu pas lasu przy murze był bardzo wąski, prowadziła też do muru przesieka.

Wreszcie przybyli już wszyscy.

Czekano tylko na Juggernauta.

Ponieważ wśród zebranych nie znalazł się żaden Obcy, dowodzenie przejął Ram. Indra z wielką tęsknotą i żalem patrzyła, jak chodzi od grupy do grupy. Unikali się nawzajem jak tylko mogli, niekiedy jednak ich spojrzenia musiały się spotkać, a wtedy, zdaniem Indry, w otaczającym ich powietrzu rozlegał się jak gdyby słaby śpiewny ton. Czytała w oczach ukochanego, że i dla niego rozłąka jest niezwykle trudna.

Ta świadomość nieco pomagała.

Tsi-Tsungga, elf ziemi, czuł się bardzo ważny. „Jori i ja już tam byliśmy - mówił innym na pocieszenie. - Wiemy już, jak tam jest”.

Niektórzy z obecnych znaleźli się tu, by w ten sposób zapewnić sobie ochronę. Tak było z Thomasem, Indrą, Orianą i Berengarią. Siska uczestniczyła w wyprawie, ponieważ urodziła się w Ciemności i знаła ten świat lepiej niż ktokolwiek inny. Sassa jednak musiała zostać w domu, co niejeden przyjął z ulgą, dziadek Nataniel i babcia Ellen nie zgodzili się na wypuszczenie dziewczynki do Królestwa Ciemności. Osobiście mieli dopilnować, żeby nic się jej nie stało.

Był tu, rzecz jasna, Marco, już sama jego obecność uspokajała tych, którzy odczuwali pewien lęk. Z Nowej Atlantydy przybyli Móri i Dolg, żeby pomóc przy zwierzętach, trudno wszak o większego przyjaciela zwierząt niż Dolg. Nero jednak został w domu. Ciemność nie jest bezpiecznym miejscem dla ciekawego wszystkiego psa. Tsi także zostawił ulubionego Czika w bezpiecznym miejscu w Królestwie Światła, raz już przecież zgubił swą wiewiórkę i nie chciał więcej ryzykować.

Przybyli oczywiście Gondagil i Miranda, Gondagil był chyba najważniejszym ogniwem, jakie mogło połączyć ich z jeleniami. Zamierzał wyruszyć przodem razem z Ramem, by porozmawiać z człowiekiem, który wiedział, gdzie szukać zwierząt. Gondola, mająca ich tam zawieźć, czekała już gotowa. Do udziału w wyprawie naturalnie zachęcono również Oko Nocy, indiańska umiejętność tropienia mogła się okazać nieoceniona.

Poza Strażnikami było jeszcze dwóch weterynarzy, a także Jaskari jako lekarz. Nie wiadomo wszak, czy zdołają uchronić członków ekspedycji od ukąszeń potworów. Zabrali też podrózne laboratorium na wypadek ewentualnych chorób wśród zwierząt.

Towarzyszyła im również nieduża niewidzialna gromadka, niewielu jednak o tym wiedziało.

Zabrakło natomiast Roka i Armasa, ktoś wszak musiał zostać w Królestwie Światła, by pilnować porządku. Tam przecież grasowała Griselda, a kto wie, jakie kroki podejmie ta nieobliczalna czarownica.

Przybył też Jori ze swoimi ochotnikami. Ram zmarszczył czoło, ujrzawszy młodzieńką nastolatkę. Wziął Joriego na bok, by z nim o tym pomówić, lecz dziewczyna sprawiała wrażenie rozsądnej, w dodatku wydawała się silna i odważna, zaakceptował więc wreszcie jej obecność.

Obrzydliwy zapach otaczający Griseldę ulotnił się, pozostał po nim zaledwie cień w powietrzu. Wystarczyła odrobina perfum, by go zagłuszyć. Griselda okazała dość sprytu, by użyć innego, łagodniejszego pachnidła niż poprzedniego dnia, wiedziała bowiem, że wśród uczestników wyprawy na pewno znajdzie się Jaskari, a on przecież nie mógł jej poznać.

Nie zauważyła ani jego, ani Eleny, ale polana była duża, w dodatku dość pofałdowana, no i tyle osób się tu zgromadziło.

Dostrzegła natomiast tę przekłętą Oriane. Cóż to, u diabła, nie powinno jej tu być! Stała zajęta rozmową ze swoim szefem, tym okropnym Lemurem Ramem, i... i... z

Thomasem? Do czarta, czyżby nie odkryli kradzieży w biurze? Co się nie udało?

Czy już nigdy nie pozbędzie się tej baby? Oriana bardzo jej przeszkadzała w powtórnym zdobyciu serca Thomasa. Co robić?

Ta druga dziewczyna, ta o czarnych kręconych włosach, Berengaria, chichotała z przyjaciółką, o której mówiono, że jest księżniczką. To ci dopiero księżniczka! Był też z nimi jakiś Indianin. Indianin? Czy oni naprawdę mają źle w głowie? W Nowej Anglii, dawnej ojczyźnie Griseldy, Indian uważano za istoty najniższego gatunku. Jak, na miłość boską, ktoś taki mógł się dostać do Królestwa Światła, a na dodatek wziąć udział w tej prestiżowej ekspedycji? Jak mogli się z tym godzić?

Jej wzrok przesunął się po zebranych niczym czujne spojrzenie węża. A oto trzecia dziewczyna, której chciała się pozbyć, Indra. Wydaje się wręcz nieśmiertelna. Griselda atakowała ją już tyle razy, lecz nic, jak się zdawało, na nią nie działa. Jej twarz znów była gładka, jak to możliwe?

Młoda, wyglądająca niewinnie i naiwnie dziewczyna imieniem Evelyn dreptała wśród uczestników wyprawy, starając się nie zwracać na siebie uwagi, a w jej głowie aż kłębiły się złe myśli. Nie zniesie obecności wszystkich tych bab na wyprawie. Kiedy przypuści ponowny szturm na Thomasa, będą jej przeszkadzały, a nie wiadomo, czy nadarzy się okazja, by unieszkodliwić je w Ciemności. Wiele by zyskała, gdyby udało się jej pozbyć ich już teraz. Z głupim Jorim zawsze sobie jakoś poradzi, nawet przez chwilę nie miała na niego ochoty.

Ale te trzy...?

Griseldzie przyszedł do głowy pewien pomysł, który wszakże mógł się okazać dość trudny do zrealizowania. Zauważyła, że w jednej gondoli znajduje się prowiant dla członków ekspedycji, usłyszała też, że wkrótce będzie posiłek, zamierzali wykorzystać czas oczekiwania na przybycie kogoś, kto się nazywa Juggernaut. Ale jak ona sobie z tym poradzi?

Trzeba ukryć się między drzewami. Doskonale!

Zbliżyła się do gondoli stojącej wraz z innymi na skraju lasu. Pewien problem stanowiło zatrucie jedzenia akurat tej trójki, gdyż odwracanie wzroku lub zsyłanie zapomnienia na ludzi, którzy by to widzieli, mogło się okazać zbyt wielkim ryzykiem, było ich zbyt wielu, nawet dla czarownicy kalibru Griseldy. Zawsze istniała możliwość, że znajdzie się ktoś, na kogo nie podziała zaklęcie. Mógł akurat patrzeć gdzie indziej albo skryć się za jakimś krzakiem. Nie, wołała się nie narażać, a zatrucie całego jedzenia...

Griselda przerwała rozważania, nie wierzyła własnym oczom. Oto podano jej rozwiązanie niemal jak na tacy.

Jakaś uczynna osoba w kuchni, gdzie przygotowywano jedzenie, włożyła prowiant w zgrabne białe pudełeczka z jakiegoś porowatego materiału i na wszystkich, dosłownie na wszystkich pudełkach wypisała imiona uczestników wyprawy. Cudownie, każdy miał więc swoje własne prywatne pudło, postąpiono tak prawdopodobnie z myślą o tym, by pożywienia starczyło na całą ekspedycję.

Griselda pospiesznie zerknęła na znajdujących się w pewnym oddaleniu uczestników wyprawy. Szczęście jej sprzyjało tak, jak na to zasłużyła, inna bowiem, większa gondola zasłaniała ją przed ich spojrzeniami.

Owszem, istniało niebezpieczeństwo, że ktoś nadejdzie, akurat jednak w tym momencie wszyscy wydawali się zajęci czym innym.

Prędko! Pudełko Indry znalazła stosunkowo szybko. Teraz troszkę proszku z trującego grzyba, w którego działanie wciąż wierzyła. (Nie słyszała opowiadania Jaskariego o uratowaniu wszystkich gości z restauracji).

Nie może zanadto tu nabałaganić, bo jeszcze wzbudzi podejrzenia, ale spieszy się jej, ach, tyle nie liczących się imion!

W połowie jednego ze stosów odnalazła pudełko z imieniem Berengarii.

Doskonale, spora dawka, ta mała dziwka zasłużyła na śmierć w prawdziwych męczarniach. O, Griselda doskonale знаła działanie grzyba, wiedziała o bólach, jakie wywołuje.

Nie znalazła jednak prowiantu przeznaczonego dla Oriany, największego, najbardziej niebezpiecznego wroga. Nerwowymi ruchami przekładała pudełka, odczytywała kolejne imiona. Oto pudełko Rama, czy powinna za jednym zamachem pozbyć się i jego? Nie, nie może marnować czasu i drogiego proszku.

Thomas? Nie, jeszcze nie, najpierw musi go wykorzystać, nacieszyć się nim jak ostatnio, nigdy nie zapomniała tego, co z nim przeżyła.

Jest!

Pudełko Oriany, nareszcie!

Z zadowoleniem bliskim rozkoszy Griselda dosypała naprawdę dużą dawkę trucizny do jedzenia Oriany. Proszek rozpuścił się prędko i wtopił w delikatne danie, przygotowane

troskliwie przez kucharki dla śmiałków, którzy wyprawiali się między potwory grasujące w Ciemności

Nareszcie, sprawa załatwiona. Zamknęła pokrywkę i ułożyła pudełka z powrotem w porządne stosy, tak samo jak stały poprzednio. Uporawszy się z tym, usłyszała głosy. Do diabła!

Zbliżało się dwoje ludzi, najwyraźniej to oni zajmowali się prowiantem.

Do czorta, co teraz robić? Nie zdąży uciec!

Było ich jednak tylko dwoje, to nic trudnego dla Griseldy. Nie kryła się więc, przeciwnie, wyprostowała się i wymówiła zaklęcie.

Nigdy nie będą pamiętać tego, co widzieli.

Przekradła się między gondolami do lasu i wyszła z niego w zupełnie innym miejscu.

Nikt niczego się nie domyślał, ledwie zauważono anonimową dziewczynę, która z pozoru obojętnie przyłączyła się do wielkiej gromady.

18

Griselda była niezmiernie zadowolona z siebie. Oto znalazła się wśród najbardziej znaczących, wśród wszystkich tych, których nienawidziła i po prawdzie lękała się trochę, choć do tego strachu nigdy by się nie przyznała. A nikt, absolutnie nikt z nich się nie domyślał, kim ona naprawdę jest.

Obawiała się trochę spotkania z Jaskarim, nigdzie go jednak nie widziała. Ani jego, ani tej jego przekłętą wielbicielki, Eleny. Ta dziewczyna jednak nie obchodziła Griseldy.

Wiedźma traktowała ją jako osobę pozbawioną jakiegokolwiek wartości.

Griselda wątpiła, by Jaskari mógł ją zdemaskować, nigdy jednak nie wiadomo, dlatego lepiej trzymać się od niego z daleka. Jedyne, co mogło ją zdradzić, to zapach. A on przestał już być właściwie wyczuwalny.

Rzeczywiście Griselda nie mogła widzieć Jaskariego, on bowiem znajdował się w drugim końcu polany.

Kiedy podeszła do niego Elena, zdrętwiał.

Dziewczyna nadbiegła zarumieniona.

- Witaj! Dziękuję za wczorajszą wieczór!

Jaskari poczuł, jak zaciskają mu się szczęki, i odpowiedział niechętnie:

- Wiesz... To wczoraj... Przepraszam za swoje zachowanie, to się więcej nie powtórzy. Uznał, że najlepiej zrobi, jeśli weźmie całą winę na siebie. W ten sposób Elenie będzie łatwiej.

Uśmiech na ustach dziewczyny przygasł. Szum rozmów pozostałych członków wyprawy stał się w jednej chwili taki daleki, jak gdyby porwał go ze sobą wiatr.

- Ale przecież nie zrobiłeś nic złego.

- Posunąłem się za daleko.

Elena roześmiała się nerwowo.

- Kiedy? Wtedy gdy włożyłeś mi kwiat we włosy?

- Nie, nie, potem.

- Potem? Po czym? Kiedy wyszliśmy?

Marco stał w pobliżu i nie mógł nie słyszeć rozmowy. Wyczuł, że zaszło jakieś nieporozumienie, i dyskretnie usiłował się dowiedzieć, w czym rzecz.

- Nie pojmuję - powiedziała do niego zasmucona Elena. - Jaskari prosi o wybaczenie czegoś, czego nie zrobił. A może chodzi ci o to, że po wyjściu z restauracji objąłeś mnie na pożegnanie? Albo że byłeś taki zmęczony i musiałeś wracać do domu? Ależ mój drogi, przecież ja to rozumiem.

- Nie to - zirytował się Jaskari. - Później, wieczorem, w nocy. Marco, proszę cię, to nie twoja sprawa. Poradzimy sobie sami z Elena.

- Chwileczkę - sprzeciwił się Marco. - Coś tu się kompletnie nie zgadza. Wyjaśnij wszystko od początku, Jaskari.

Jasnowłose siłacz był już teraz naprawdę zagniewany. Słońce rozświetlało jego loki, ale opalona twarz przybrała odcień czerwieni.

- Mam na myśli to, co się stało, kiedy Elena przyszła do mnie do domu.

Dziewczyna zbladła jak płótno.

- Kiedy przyszedłam do ciebie do domu?

- Nie powtarzaj wszystkiego, co mówię, czuję się jak idiota! Chcesz udawać, że nic się nie stało?

Wargi dziewczyny drżały.

Elena należała do tych osób, które nigdy nie wpadają w złość, jest im tylko bardzo przykro.

- Że co się nie stało?

Twarcz Jaskariego była jak wykuta w kamieniu.

- Kiedy przyszedłaś do mnie do domu i poszliśmy do łóżka.

Bładość na twarzy Eleny ustąpiła miejsca płomiennej czerwieni.

- Przyśniło ci się to, Jaskari.

- O, nie, założę się o własną duszę, że mi się to nie przyśniło. Kwiat, który miałaś we włosach, leżał w łóżku po tym, jak uciekałaś, a przedtem bardzo brutalnie domagałaś się tego, po co przyszedłaś, i dostałaś to, czego chciałaś.

Doprawdy, ona nie może wszystkiemu zaprzeczyć!

Elena starała się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

- Kwiat zgubiłam chyba zaraz po wyjściu z restauracji, zauważyłam to już, kiedy się żegnaliśmy - powiedziała, a w oczach zabłyśły jej łzy.

Włączył się Marco:

- Mylisz się, Jaskari. Indro, Indro, chodź tutaj! - zawołał. - Ja i wszyscy obecni w pałacu możemy zaświadczyć, że Elena wróciła rozpromieniona z restauracji, widziałem nawet, jak się żegnaliście, i siedziała razem z nami w salonie, a w nocy spała w tym samym pokoju co Indra. Indro, czy Elena w którymś momencie wychodziła?

- Jeżeli tak, to o świcie - odparła Indra. - Bo wtedy zasnęłam jak kamień.

- To nie było rano - prychnął Jaskari. - Tak gdzieś około północy.

- Niemożliwe, wtedy leżaliśmy w łóżkach i rozmawialiśmy, mniej więcej do wpół do czwartej. W końcu zabrakło nam już sił na gadanie. Zasnęliśmy i dlatego trochę spóźniłyśmy się dzisiaj.

Jaskari nie mógł niczego pojąć.

- Przysięgam, że mówię prawdę! Chociaż o wpół do czwartej Eleny już dawno nie było. Niczego nie rozumiem.

- Czy ona była sobą? - ostro spytał Marco.

- Sobą? Elena jest tylko jedna.

- No tak, ale czy zauważyłeś w niej coś szczególnego?

Jaskari zastanowił się nad pytaniem.

- Oczywiście, to na pewno była Elena, chociaż zachowywała się jak ktoś inny.

- W jakim sensie? - szepnęła Elena zdruzgotana. - Mówiłeś, że zachowywałam się brutalnie?

- Tak, nie poznawałem cię. Wybacz mi, że to powiem, ale byłaś podniecona, przejęłaś inicjatywę w bardzo natrętny sposób, źle wymówiłaś moje imię i...

Urwał zawstydzony. Z piersi Eleny wyrwał się jeden głošny szloch. Indra zaniemówiła ze zdumienia.

- Mów dalej - nakazał Marco Jaskariemu.

- Nie byłaś dziewczicą! - wybuchnął chłopak.

- Ale przecież nią jestem! - wykrzyknęła Elena, jak gdyby była to sprawa życia i śmierci. - Marco, co to wszystko znaczy? Kto z nas się myli albo oszalał?

- Nikt - krótko odrzekł Marco. - Jaskari, Elena nie odwiedziła cię dzisiejszej nocy.

- Ale...

- Ktoś jednak u ciebie był. Doprawdy, ona jest bardziej złośliwa i posiada większe umiejętności, niż przypuszczałem.

Jaskari musiał wesprzeć się na ramieniu Indry.

- Griselda? - słabym głosem spytała Elena.

- Tak - odparł Marco. - To niezwykle trudna i skomplikowana sztuka, nie jest jednak wcale nowa, rycerz Lancelot z dworu króla Artura przeżył to samo co ty, Jaskari. Piękna Elaine zapragnęła go, on jednak świata nie widział poza żoną króla, Ginewrą. Pewna wiedźma pomogła Elaine przemienić się w Ginewrę, i to aż dwa razy...

- Nie pozwolę się już więcej oszukać! - wykrzyknął Jaskari kompletnie wyprowadzony z równowagi. Wyglądał na chorego.

- Lancelotowi wydawało się, że kocha się z Ginewrą - podjął Marco niewzruszony. - Później Elaine wydała na świat syna, Galahada, który odnalazł świętego Graala, ale Lancelot nigdy jej nie wybaczył, Ginewra także.

Indra już chciała wtrącić, że Lancelot nie był wcale tak nieskazitelny, cudzołożąc z małżonką swego króla, doszła jednak do wniosku, że nie jest to właściwy moment na takie uwagi.

- Ale to znaczy, że Griselda wszystko zepsuła! - wybuchnęła płaczem Elena.

Jaskari chwiejnym krokiem ruszył w stronę krzaków i zaczął wymiotować. Nikt się temu nie dziwił. Przeszedł potem do drzewa i usiadł, opierając się o nie piecami. Twarz zasłonił dłońmi.

- Idź do niego - podpowiedziała Indra Elenie.

Dziewczyna usłuchała, Marco i Indra patrzyli, jak Elena siada przy Jaskarim i nieśmiało gładzi go po włosach. Wyglądało na to, że płaczą oboje.

- To prawdziwa teściowa diabła do siódmej potęgi! - zdenerwowała się Indra. - Ile jeszcze zniszczy, zanim zdołamy ją złamać?

- Ona jest niewidzialna - westchnął Marco. - Może nie dosłownie, ale nikt dotychczas jej nie zauważył.

- Kiedyś chyba popełni jakiś błąd - rzekła Indra z nadzieją. - Posłuchaj, może powinniśmy ją zwabić?

- W jaki sposób? - uśmiechnął się Marco.

- Można na przykład urządzić zawody w czarowaniu. Na pewno nie odmówi.

Przypuszczalnie jest bardzo próżna.

- Kusząca myśl - stwierdził Marco z uśmiechem. - A co wy na to, moje przyjaciółki z Ludzi Lodu?

- Wspaniały pomysł - rozległ się głos Sol. - Jesteśmy gotowe.

- Brzydko podsłuchiwać - oświadczyła Indra, która nikogo wokół siebie nie widziała. - Ile was tu właściwie jest?

- Same najlepsze - odparł głos Ingrid. - Szkoda, Indro, że nie dotknęło cię bodaj w najmniejszym stopniu tak zwane przekleństwo Ludzi Lodu. Byłabyś wspaniałą czarownicą.

- Mnie też się tak wydaje - przyznała Indra, nie siląc się nawet na fałszywą skromność. - Ale na pewno dobrą, dość mam złośliwych bestii.

- No cóż, umiarkowanie dobrą - mruknęła Sol. - Nie należy przesadzać.

Indra dostrzegła stojącego nieco dalej Rama i tęsknie popatrzyła w jego stronę.

- Marco, czy nie mógłbyś poprosić Rama, żeby tu przyszedł? On bardzo tego chce, a ja nie mogę nic zrobić. Lecz jeśli ty...?

Marco uśmiechnął się wyrozumiale. Skinął na Rama, który natychmiast do nich podszedł.

- Rozmawiamy sobie - powiedział Marco - i pomyśleliśmy, że może miałbyś ochotę wysłuchać naszych teorii.

- Jakich teorii? - krótko spytał Lemur. Widać jednak było wyraźnie, że cieszy się z dołączenia do tej maleńkiej grupki. On także nie widział otaczających ich czarownic z Ludzi Lodu.

W łagodnym powietrzu krążyły motyle, bąki i pszczoły. Siadały na przepięknych kwiatach, Srebrzysty Las odgradzał gęstymi liśćmi ludzi od muru. Dzień był wspaniały, jak zresztą wszystkie dni w Królestwie Światła.

O takim dniu zawsze się marzy w starej Norwegii, pomyślała Indra. Często planuje się jakieś uciechy pod gołym niebem, małe albo duże, ale te plany są bardzo kruche, wystarczy jedna chmura albo powiew chłodnego wiatru, żeby wszystko zepsuć. W najgorszym razie nadciąga śnieżna burza w czerwcu, bo przecież i to się zdarza.

A tutaj przez cały rok można żyć pod gołym niebem!

Marco odpowiedział Ramowi, Indra przysłuchiwała się jego słowom.

- To, co mi się nie podoba w tej Griseldzie...

- Mnie się nic w niej nie podoba - natychmiast wtrąciła Indra.

- No tak, to oczywiście, ale najstraszniejszy jest sposób, w jaki ona powraca.

- Co masz na myśli? - spytał Ram.

- Pojawiła się znów po trzystu latach, żeby zemścić się na Thomasie, a wnioskuje ze słów, jakie wypowiedziała przy szubienicy, taki właśnie ma zwyczaj. Jak to robi?

- Może wędrówka dusz? - podsunęła Indra. Nie patrzyła na Rama ani on na nią, oboje jednak byli w pełni świadomi wzajemnej bliskości.

Marco wyjaśnił:

- Nie, wędrówka dusz nie odbywa się w ten sposób. Po to, by dotrzeć do celu, należy doświadczyć istnienia w skórze ludzi wywodzących się ze wszystkich warstw społecznych, wszystkich zawodów, obu płci, doznać szczęścia i nieszczęścia.

- Aha - zrozumiała Indra. - Kiedy już raz było się czarownicą, więcej się to nie powtórzy?

- Właśnie. Nie, ona to robi w inny sposób - Marco zastanawiał się. - Ale istnieje bajka ludowa, znana chyba w większości krajów. Po norwesku nazywa się „O gałązce, która nie miała serca”, a po rosyjsku „Żabia księżniczka”, o czarnoksiężniku Kostii, skrywającym swoje serce, a raczej swoją „śmierć” w jajku tkwiącym w kaczcze w skrzynce pod dębem nad brzegiem rzeki.

- Chcesz powiedzieć, że Griselda ukryła gdzieś swoje serce?

Marco odpowiedział z wahaniem:

- Nie, nie serce, przypuszczam raczej, że swoją duszę. Nie jestem pewien, ale to chyba do niej pasuje, w ten sposób może wracać raz po raz.

- Ale trzysta lat? - z powątpiewaniem wtrącił Ram.

- Przypuszczam, że ten okres może mieć różną długość. Prawdopodobnie nie przypuszczała, że tym razem tak się to przeciągnie. Sądzę, że zamierzała wrócić jeszcze za życia Thomasa, wskazują na to jej słowa. Kiedy się nie udało, próbowała go odszukać w królestwie zmarłych, tam jednak także go nie było. Musiała się dobrze nagłowić - zakończył Marco z uśmiechem.

- Szkoda, że tu trafiła - westchnęła Indra.

- Łagodnie to ujęłaś. No cóż, w każdym razie w Ciemności nie będziemy mieć z nią do czynienia.

- Spójrzcie, wzywają nas na posiłek - wskazał Ram. - Przyda się, długo już czekamy na Madragów.

19

Jak nam tu przyjemnie, myślała Indra, siedząc na zielonej trawie między Ramem a Markiem. Rozdzielono białe pudełka z prowiantem i na moment zapadła cisza, jak to często bywa na początku posiłku.

- Cała Berengaria! - westchnął Oko Nocy. - Zawsze zaczyna od deseru.

Buchnął śmiech, nie śmiała się tylko Griselda. Do pioruna, zaklęła w duchu.

- Trzeba słuchać impulsów - broniła się Berengaria.

- Musisz uważać - spokojnie odparł Dolg. - Może cię to drogo kosztować.

- Zaczynanie od deseru? - żartowała.

Co za wspaniała grupa, myślała Indra. Świetnie do siebie pasujemy. Nawet ta małowówna nowa przyjaciółka Joriego dobrze sobie radzi, chociaż jest taka młodziutka. Wszystkich nas łączy pragnienie ocalenia wspaniałych, wymarłych już na powierzchni Ziemi zwierząt, uratowanie ich przed Ciemnością. Wiem, że niejeden w Królestwie Światła ma co do tego pewne wątpliwości. Uważają, że tak duża gromada nowych

zwierząt może spowodować kłopoty, ale większość jest pozytywnie nastawiona do naszego projektu.

Pyszne jedzenie!

Griselda trzymała się z dala od Dolga, po niepowodzeniu przeżytych w parku nie chciała zostać rozpoznana. Na szczęście nie zabrał ze sobą psa.

Indra zobaczyła, że na posiłek przyszli także Elena z Jaskarim, nie wyglądało jednak na to, że czują się najlepiej ani że jedzenie im smakuje. Żuli przednimi zębami, co jest nieomylną oznaką sytości albo po prostu braku apetytu. Siedzieli w milczeniu, z boku, Elena zapłakana i bardzo blada, Jaskari zaś wyglądał, jakby właśnie zsiadł z karuzeli, na której przejażdżka nie sprawiła mu ani trochę radości.

Berengaria natomiast była we wspaniałej formie. Właściwie nie wolno jej było spędzać tyle czasu razem z Okiem Nocy - takie było przynajmniej życzenie jego krewnych - lecz oto wspólnie mieli przeżyć przygodę, i to z dala od baczących spojrzeń niemądrych dorosłych. Indra była pewna, że jeśli tylko Berengaria zostanie sam na sam z ubóstwianym przyjacielem z dzieciństwa, bez sekundy wahania spróbuje go uwieść. Pytanie tylko, na ile twardy potrafi być Oko Nocy.

A przecież nie ulegało wątpliwości, że Indianin ma do Berengarii wielką słabość.

Posiłek składał się z sałatki na przystawkę, głównego dania i deseru. Personel kuchenny naprawdę się postarał. Siedzenie w piękny dzień na łonie natury, z dala od wszelkich zabudowań, przy przepysznym jedzeniu w miłym towarzystwie... Czegóż więcej można chcieć? Krzyk Berengarii sprawił, że oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

Dziewczyna zgięła się wpół i przerażona patrzyła na Oko Nocy.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony.

- Boli - odparła, nic nie rozumiejąc - I... widzę podwójnie.

Jaskari poderwał się, a jednocześnie z nim na równe nogi skoczył Marco.

- Zatrucie grzybami! Znów!

- Nie jedzcie nic więcej! - nakazał Ram. - Nikomu nie wolno nic przełknąć. To prawdopodobnie deser. Czy ktokolwiek poza Berengaria go próbował?

Pewien wystraszony Strażnik przyznał, że i on skusił się na słodkości.

- Panowie laboranci - poprosił Ram. - Zajmijcie się najpierw zbadaniem jego deseru i Berengarii. Później wszystkimi pozostałymi. Weźcie też próbki głównego dania.

Na deser był puszysty, pięknie ozdobiony krem śmietanowy.

Wśród zamieszania, jakie powstało, Griselda zastanawiała się nerwowo, co robić.

Czy powinnam posypać trucizną swój deser, żeby odsunąć od siebie podejrzenia?

Nie, lepiej nie zwracać na siebie uwagi i za wszelką cenę zachować anonimowość. Poza tym ktoś mógłby to teraz zauważyć. Siedź cicho, Griseldo.

Przekłeta dziewczucha, zaczęła od deseru. Nigdy jej nie lubiłam, jest taka samowolna.

Robi to, na co akurat przyjdzie jej ochota. Idzie za głosem instynktów i impulsów, tak jak zresztą mówiła. Smarkula! Gdyby wszyscy zjedli deser jednocześnie, mieliby większe problemy. Nie mogliby uratować trzech dziewcząt, bo wszystkich musiano by obserwować. Popsuła cały plan, ale mam nadzieję, że przynajmniej jej się pozbędę.

Wsypałam jej sporo trucizny, chociaż najwięcej poszło na Orianę, szkoda, dlaczego tak im się układa?

Żałuję, że nie jestem trochę starsza, piętnaście lat to zbyt młody wiek dla tych obłudników. Ale przecież są mężczyźni, którzy lubią młode ciało!

Chyba jednak nie tutaj, paskudne miejsce, chciałabym już wrócić na Ziemię, zabrać Thomasa i wynosić się stąd. Pociągnąć go za sobą na smyczy, ale to i tak nie będzie potrzebne, on pójdzie za mną wszędzie, gdy tylko zdecyduję, że nadeszła już właściwa pora. Najpierw tylko muszę się pozbyć tych trzech kobiet.

Jaskari, korzystając z pomocy Eleny i jeszcze dwóch osób znających się na medycynie, zabrał Berengarię na bok i rozpoczął zabiegi. Laboranci w pośpiechu starali się stwierdzić, ile deserów zatruto, okazało się bowiem, że mają do czynienia z takim samym przypadkiem zatrucia grzybami jak poprzednio. Tym razem wszystko przebiegało znacznie prędzej. Parę osób zaczęło skarżyć się na bóle, nietrudno bowiem sobie to wmówić.

Jeden z lekarzy zrozpaczony podniósł głowę.

- Nie poradzimy sobie, tracimy ją!

- Dolg! - zdenerwował się Ram.

Czarnoksiężnik od razu wiedział, co ma robić. Griselda okrągłymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w niebieski kamień, który Dolg wyjął z aksamitnego woreczka. Na mego wielkiego złego władcę, pomyślała, drętwiejąc, to przecież jeden ze świętych kamieni, zabrał go z sobą tu, na to pustkowie, czy on już kompletnie oszalał?!

Bystry wzrok odkrył, że przy pasku Dolga wisi jeszcze jeden podobny woreczek. A więc ma i ten drugi kamień?

Niebywałe szczęście mi dopisuje, będę je miała, oba! Zakłęciami odwrócę jego wzrok i kamienie już wkrótce wpadną w moje ręce. Zaczekam tylko, aż znajdziemy się w Ciemności.

Griselda nie miała pojęcia, co tak naprawdę oznacza wyprawa w Ciemność. Zmierzch, nocny mrok to właściwie jej żywioł.

Dolg wziął ze sobą kamienie, ponieważ miały ich chronić, gdyby przypadkiem natknięto się na wysłanników z Gór Czarnych. Talornin, Marco i Ram długo rozważali wszystkie za i przeciw, aż wreszcie postanowili zaryzykować zabranie klejnotów.

Teraz byli ogromnie radzi ze swej decyzji.

Griselda zdumiona patrzyła, jak Dolg, ten, który oparł się jej zalotom, pomimo iż użyła maści, podnosi szafir i kieruje go na Berengarię, leżącą na trawie w otoczeniu lekarzy. Całą okolicę zalało przecudne niebieskie światło, skupiło się w promień, sięgający do wijącej się z bólu dziewczyny. Berengaria z wolna rozluźniła się, aż wreszcie odetchnęła z ulgą.

- Ach, Oko Nocy - szepnęła. - Ależ się bałam! Dziękuję ci, Dolgu, kocham ciebie i twój kamień.

Muszę mieć tę cudowną kulę, pomyślała Griselda z chciwością. Stanę się wtedy najpotężniejszą czarownicą wszech czasów, musi być mój!

Kiedy Berengaria odżyła, niejeden odetchnął z ulgą.

- Musiała dostać solidną dawkę - zauważył Ram.

- To pestka w porównaniu z tym, co znaleźliśmy w kremie Oriany - rzekł jeden z laborantów. - Dość tam było trucizny, żeby zabić nas wszystkich.

- Indrze też przypadła spora porcja proszku - dodał drugi - Suszone trujące grzyby, znamy je już z tamtej katastrofy w restauracji.

- A jedzenie Thomasa?

- Nic u niego nie wykryliśmy. Nie zbadaliśmy jeszcze wprawdzie wszystkich pudełek, sądzę jednak, że znaleźliśmy już ofiary.

- Mnie też się tak wydaje - z ponurą miną przyznał Ram. - Ale szukajcie dalej. Nie rozumiem tylko, kiedy dokonano tego nikczemnego czynu. Wszystko przecież przez cały czas pozostaje pod ścisłą kontrolą.

- Musiało to nastąpić przed dotarciem tutaj - stwierdził Marco. - Ale już po wypisaniu imion na pudełkach. Człowiek odpowiedzialny za zaprowiantowanie przyznał zakłopotany:

- Nie brałem udziału w końcowej fazie pracy, podczas załadunku gondoli zajęty byłem w kuchni.

- To się mogło zdarzyć wtedy - przyznał Ram dość niepewnym głosem. - Przy przenoszeniu kartonów. Wydawało mi się, że przedsięwzięłem już wszystkie środki bezpieczeństwa, gdybym jednak wiedział, że istnieje możliwość zatrucia jedzenia, zaleciłbym jeszcze baczniejszą obserwację, ale przez myśl nawet mi nie przeszło, że coś podobnego mogłoby się stać.

- Gondola pozostawała przecież pod kontrolą - mówił zasmucony zaopatrzeniowiec. - Nie pojmuję, jak mogło do tego dojść.

- Ona jest diabelsko podstępna - stwierdził Marco. - I naprawdę doskonale zna się na czarach. Mogła zamącić wzrok pracującym w kuchni.

Dolg się nie odzywał, nie chciał ich straszyć, przynajmniej na razie. Ogromnie jednak zaniepokoiły go mętne cienie w niebieskim szafirze, zwykle był to znak, że gdzieś w pobliżu ukrywa się jakaś zła moc.

Wolno omiółł spojrzeniem wszystkich obecnych.

Nikt. Nikt, kto mógłby być Griseldą. (No tak, bo czarownica schowała się za Strażników).

Jakby w odpowiedzi na jego myśli odezwała się stojąca przy nim Indra:

- Czy ona mogła przebrać się za mężczyznę?

Dolg popatrzył na nią.

- Umiesz czytać w myślach?

- Nie, ale nawet taka głupia gąska jak ja widzi, że poszukujesz podejrzonej osoby.

- Wcale nie jesteś głupią gąską tylko dlatego, że nie posiadasz nadprzyrodzonych zdolności. Ale masz rację, nie potrafię po prostu sobie wyobrazić, w jaki sposób Griseldą zdołała niepostrzeżenie zakraść się do gondoli. Indro, nigdy nie zetknąłem się z nikim, kto potrafi być do tego stopnia niewidzialny. W jaki sposób udają jej się te wszystkie nieczne postęпки? I nie pozostawia po sobie żadnego śladu. Ona przecież jest z krwi i kości! I ty, i Jaskari możecie o tym zaświadczyć. Ale gdzie ona jest?

- Dzięki Bogu nie tutaj - westchnęła Indra. - Tego, przypuszczam, byśmy nie znieśli. Ale gdzieś z jakiegoś niewidzialnego miejsca dyryguje naszym życiem w taki okropny sposób. Dolgu, wkrótce już więcej nie wytrzymam.

- No tak, a co dopiero mają powiedzieć Jaskari i Elena? To naprawdę łotrowski postępek. Prawdziwy cud się stanie, jeśli uda im się przełamać rozczarowanie i żal.

Dziwnie się słucha Dolga rozprawiającego o miłosnych związkach, pomyślała Indra z czułością.

Ona nie jadła deseru, nie zdołałaby go nawet przełknąć. Zauważyła, że niejeden ma kłopoty z rozkoszowaniem się wykwintnym kremem.

- Ci, którzy teraz jedzą, nie chcą prawdopodobnie sprawić przykrości kucharzom - stwierdziła Indra. - Większość chyba i tak straciła apetyt.

- To prawda - odparł Dolg, patrząc na zbliżających się do nich Rama i Marca.

Umilkli, przysłuchując się dobiegającemu z oddali hałasowi, przypominającemu huk grzmotu za horyzontem.

- Jak słyszę, Madragowie są gotowi - powiedział wreszcie Marco.

- Ale co to takiego? - zdziwiła się Indra. - To się zbliża!

- Juggernaut - odparł Ram.

20

W oczekiwaniu na pojawienie się najnowszego wynalazku Madragów Marco wrócił myślą do rozmowy, którą odbył z Talorninem tego samego dnia rano.

Obcy prosił go o czuwanie nad Ramem i Indrą oraz nad tym, by ich przyjaźń nie przerodziła się w coś więcej,

- Talorninie - zaczął Marco ostrożnie. - Uważam się za twojego przyjaciela...

- Przyjaciela i równego mnie - krótko odrzekł Talornin. - Rzadko tak traktujemy ludzi.

- Lemurów także?

- Ależ skąd! Chociaż Lemurowie stoją w połowie hierarchii.

Najpierw Obcy, potem Lemurowie, a na samym dole ludzie, pomyślał Marco. Wielkie dzięki! Zgadzał się jednak, że Lemurowie to istoty o wyższej kulturze i szlachetniejszym charakterze niż obecni mieszkańcy Ziemi.

- Jeśli więc osmielę się spytać o coś, nie przyjmiesz tego źle?

- Pytaj.

- Twój sprzeciw wobec związku Rama i Indry wprost rzuca się w oczy. Co się za tym kryje?

Talornin rozpoczął długi wykład o niebezpieczeństwie grożącym łączeniu się dwóch różnych gatunków, ale Marco mu przerwał.

- To niczego nie tłumaczy. Wcześniej godziłeś się na podobne związki. Młodziutka Berengaria wypowiedziała pewną słuszną uwagę: nie wszystkie związki małżeńskie między ludźmi układają się szczęśliwie i nie wszystkie dzieci rodzą się idealne. Dlaczego tak protestujesz przeciwko Indrze? Pytam, ponieważ to dobra dziewczyna, moja daleka krewna, i dystans, z jakim ją traktujesz, wprost mnie rani. Nie mówiąc już o jej ojcu Gabrieli i siostrze Mirandzie. No i przede wszystkim o samej Indrze. Twoje zachowanie bardzo ją boli.

Szlachetny Obcy westchnął.

- Przypuszczam, że masz prawo żądać wyjaśnień, lecz rozdrapywanie starych ran nie przychodzi mi z łatwością. Nie mam nic przeciwko Indrze jako osobie, jest obdarzona wspaniałym poczuciem humoru, które potrafi rozwiać najbardziej ponury nastrój, i właściwie sprawdza się we wszystkich sytuacjach. Czy to ci nie wystarczy?

- Przykro mi, ale nie.

Po kolejnym westchnieniu i chwili przerwy Talornin wyznał:

- Chodzi mi o Rama. Mam wobec niego inne plany.

- Nie można sterować cudzym życiem!

- Wiem, Ram jednak jest dla mnie szczególną osobą.

Marco już zaczął się zastanawiać, czy Talornin nie jest przypadkiem prywatnie zainteresowany swym najbliższym współpracownikiem, ale tak wcale nie było.

- Jestem związany pewną obietnicą - wyznał Obcy. - Przede wszystkim musisz się dowiedzieć, że Ram jest w połowie Obcym.

- Nie wiedziałem o tym, wcale tego po nim nie widać.

- A jednak to prawda. Mało wiesz o nas, Obcych, Marco.

- To akurat nie moja wina, nie udzielacie zbyt wyczerpujących informacji o samych sobie. Talornin uśmiechnął się półgębkiem.

- Tajemniczość to zawsze dobra broń obronna. No cóż, Ram dorastał u swego ojca w naszym zewnętrznym sektorze, tam gdzie teraz mieszka Armas. Nie będąc czystej krwi Obcymi, nie mają dostępu do naszego wewnętrznego regionu. Wcześniej jasne się stało, że Ram będzie doskonałym przywódcą korpusu Strażników...

- To prawda - kiwnął głową Marco.

- Wiązaliśmy z nim wielkie plany i wciąż tak jest. - Talornin zawahał się chwilę, zanim podjął: - My, Obcy, jesteśmy mniej więcej tacy jak wy, ludzie, jeśli chodzi o cieplejsze uczucia do osób płci przeciwnej. Ja sam...

Marco czekał. Wyraźnie było widać, że Talorninowi trudno o tym mówić. Wreszcie wysoki mężczyzna odetchnął głęboko i wyznał:

- Pokochałem kobietę, która niestety nie była już wolna.

Ach, tak, a więc na tyle jesteś ludzki, pomyślał Marco.

- Naturalnie nie pozwoliłem, by ktokolwiek się domyślił moich uczuć, ona także widziała we mnie jedynie bliskiego przyjaciela rodziny. Miała dziecko...

- Rama - dopowiedział Marco.

- Nie, nie, córkę. A potem stało się tak, że utraciłem swą jedyną miłość, która tak naprawdę nigdy nie była moja.

- A więc i wy możecie umrzeć?

- Oczywiście! Nie stało się to tutaj, nie chcę zagłębiać się, w jaki sposób i gdzie do tego doszło, lecz została śmiertelnie ranna. Wtedy nareszcie mogłem ją trzymać w ramionach i właśnie wówczas zażądała, bym złożył jej tę obietnicę. Marco, niczego nie mogłem dla niej zrobić za jej życia, musiałem stać obok i być jedynie przyjacielem, jej i jej niewielkiej rodziny. Mąż mojej ukochanej nigdy się nie domyślił, że żywię wobec niej głębokie, szczere uczucia. Wiedziałem, że bardzo wysoko ceni Rama, działo się to już po tym, jak dorósł i zaczął pełnić służbę Strażnika. Jej córka także była już dojrzała, mieli zostać małżeństwem. Niestety, fatalny traf chciał, że dziewczyna zakochała się w innym.

- Wiem o tym, ona jest zatrudniona w ratuszu, prawda?

- Tak, również ona jest w połowie Obcą, ojciec był Lemurem. Jej matka, moja wielka miłość, zrozpaczona na łożu śmierci prosiła, bym przysiągł na mą duszę, że córka poślubi Rama i nikogo innego. Protestowałem, wiedząc, że nie wolno w taki sposób

kierować cudzym losem, lecz ona nie zносиła wybranego córki i już uważała Rama za zięcia. Tamten był Lemurem, miał więc mniejszą wartość niż Ram.

- Zdaje mi się, że niedaleko wam do rasizmu - stwierdził Marco po chwili namysłu.

- Nie, mówiąc, że nie był tyle wart, miałem na myśli również przyszłość Rama. On zajdzie wysoko, Marco, wyżej nawet niż sobie wyobrażasz. Jego obecne stanowisko to dopiero początek. - Talornin milczał przez kilka sekund. - Wiedziałem, że moja ukochana umiera. W tym czasie nie mieliśmy ani ciebie, ani Dolga, ani też niebieskiego szafiru. Jak mogłem nie dać jej słowa? A przyrzeczenie złożone na łożu śmierci jest święte, dobrze o tym wiesz.

- Nie wtedy, gdy jest sprzeczne z wszelkim rozsądkiem i wolą danej osoby. Ale ten drugi mężczyzna... On przecież zniknął, wyprawił się w Góry Czarne.

- Tak, i ze wstydem muszę przyznać, że odczułem wtedy ulgę. Teraz droga przed Ramem była otwarta, ale on... Marco, Ram nigdy właściwie nie interesował się tą dziewczyną, a ona pozostawała wierna swemu zaginionemu bohaterowi. Od tamtej pory staram się z całych sił dopełnić obietnicy złożonej mojej ukochanej, lecz jak dotychczas z marnym rezultatem. Błagałem Rama, by od nowa zaczął się do niej zalecać, ale bez skutku. A kiedy pojawiła się Indra... Jak mam teraz dotrzymać przyrzeczenia? Marco, to była jedyna rzecz, jaką mogłem ofiarować ukochanej. Muszę dotrzymać słowa. Ani nie chcę, ani nie mogę go złamać.

- Stawiasz obietnicę złożoną martwej kobiecie przeciwko życiu czworga istot.

- Czworga?

- Nie wiemy, czy człowiek, w którym się zakochała, jeszcze żyje. Co będzie, jeśli powróci?

Talornin wyglądał na bardzo zmęczonego, ale nagle się ożywił.

- Marco, ty i twoi przyjaciele sprowadziliście Filipa, syna Gabriela, z królestwa zmarłych. Czy nie możecie przywrócić mi także mojej ukochanej?

Marco pokręcił głową.

- Po pierwsze, Filip nie znajduje się wśród żywych, przebywa na tym samym poziomie co duchy Ludzi Lodu, może pojawiać się wszędzie, stawać się widzialny i niewidzialny w zależności od tego, jak mu się w danej chwili podoba. Po drugie, nasz eksperyment nie okazał się udany, Gabriel żałuje, że go na nas wymusił, nie jest wcale tak, jak gdyby chłopiec żył. Filip niemal całkiem zerwał kontakt z rodziną, woli przebywać z duchami. Również jego siostry, Indra i Miranda, czują się przy nim nieswojo i rzadko mówią o bracie. Poza tym nawet gdyby twoja ukochana do nas wróciła, to twoja sytuacja i tak chyba się nie zmieni. Przecież jej mąż i córka wciąż żyją.

- Ale przynajmniej będę mógł ją znów zobaczyć.

Książę Czarnych Sal, który nie poznał siły miłości, ze współczuciem popatrzył na Talornina.

- Twoje uczucie najwidoczniej nie ma granic, przyjacielu. Bardzo chciałbym ci pomóc, lecz przede wszystkim muszę się troszczyć o Indrę.

Talorninowi ściągnęła się twarz.

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że podjąłem kontrprzedsięwzięcie. Ty wymusiłeś na mnie, aby oboje, i Ram, i Indra, wzięli udział w tej ekspedycji, ja zaś nakazałem tej dziewczynie z ratusza, by im towarzyszyła.

Marco, stojąc więc i czekając na Juggernauta, wiedział już o tym. Dostrzegł ją w tłumie, idealną kobietę, o której każdy mógłby marzyć.

Kiedy Talornin wypowiedział ostatnie słowa, Marcowi przyszedł do głowy pewien pomysł:

- Utraciłeś swoją najdroższą, ale jej córka żyje i jest wolna, dlaczego u niej nie spróbujesz swoich sił, Talorninie?

Obcy poczerwieniał z urazy.

- Usiłujesz ingerować w moje życie? Nie wolno się targować o cudze...

Nagle odkrył, że sam przecież właśnie to robi. Poprosił o wybaczenie i oświadczył, że ta dyskusja chyba nigdzie już dalej ich nie zaprowadzi. Marco jednak zauważył, że na pięknej twarzy Talornina pojawił się wyraz zadumy.

21

Na polanie panowała niezwykła cisza. Ludzkie głosy brzmiały tak, jak gdyby dobiegały z daleka. Niezwykłe było to oczekiwanie na coś, co miało nadejść, a czego nikt nie znał.

Kobieta o imieniu Lenore, zatrudniona w ratuszu, ukradkiem przyglądała się Indrze i Ramowi. Wśród zebranych na polanie w pobliżu muru mogła ich swobodnie obserwować.

Oni stali razem z księciem Markiem i nawet nie próbowali się dotknąć, lecz kobieca intuicja pomagała Lenore dostrzec niewidzialne iskierki, które się między nimi sypały. Słyszała o sile, jaka ich do siebie ciągnie, nie przypuszczała jednak, by było to coś poważnego. Teraz jednak zaniepokoiła ją ta sprawa.

Lenore nie kochała Rama, zawsze jednak czuła, że ma go w pewnym sensie w zanadrzu. Ram należał do niej, choć z początku wcale go nie chciała. Teraz dotarła do niej świadomość, że przez cały czas myślała, iż gdyby śmierć jej kochanka kiedykolwiek się potwierdziła, to przecież i tak zawsze był w zapasie Ram, naprawdę doskonała partia, najlepsza, na jaką mogła liczyć. Nigdy jednak nie żywiła dla niego głębszych uczuć. Ale taka sytuacja...? Ram bardzo lekko przyjął zerwanie przez nią umowy, stanowczo zbyt lekko. Wtedy jego reakcja wywołała w niej pewną ulgę, teraz ją to zaniepokoiło.

Indra próbowała zawładnąć jej rezerwami.

No cóż, Lenore wiedziała, że może wybierać i przebierać wśród mężczyzn. Starających nigdy jej nie brakowało. Ram jednak był szczytem marzeń każdej kobiety, wuj Talornin często to podkreślał, twierdził, że Ram zajdzie naprawdę wysoko.

Krytycznym wzrokiem obserwowała swoją rywalkę. Dziewczyna nie była właściwie piękna, wiele z innych obecnych tu pań przewyższała ją urodą, a z nią, Lenore, nie mogła się nawet mierzyć. Lenore musiała jednak przyznać, że Indra obdarzona jest niesłychanym wdziękiem.

Może lepiej zdobyć Rama, zanim będzie za późno? Wuj Talornin zapewniał, że Indra nigdy go nie dostanie, Lenore jednak nie życzyła sobie żadnych gorętszych uczuć między tą parą. Lepiej zaatakować w porę, pilnować swoich praw i włości.

Talornin nie miał chyba pojęcia, jak strasznie wybuchowe mieszanki zgromadził tego dnia na polanie.

Indra-Ram-Lenore. Elena-Jaskari-Griselda. Thomas-Oriana-Griselda. Berengaria-Oko Nocy. Jori-Evelyn (Griselda) i jeszcze jedna kombinacja, o której na razie nikt nie wiedział, nawet sami zainteresowani.

Wszyscy stali zwrócenii w stronę wzgórza, zza którego dobiegał grzmot. Wreszcie na szczycie pojawił się Juggernaut. Z początku dała się widzieć jego górna część, szeroki dach, lecz z każdą chwilą ukazywało się coraz więcej i więcej, jakby nigdy nie miało się skończyć.

- Ach, mój Boże - szepnęła Indra.

Wśród zebranych podniósł się szmer zdumienia.

- Tym razem Madragowie rzeczywiście niczego nie pożałowali - szepnął ktoś.

- Przeszli samych siebie - pokiwał głową inny.

Po zboczach zaczęła się staczać ciężka, potworna machina wojenna. Jej ukazanie się podziało na obserwatorów tak samo jak na publiczność kinową w świecie na powierzchni Ziemi widok statku kosmicznego kolosalnych rozmiarów w filmie „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”. I tamten pojazd zdawał się nie mieć końca. Podobnie rzecz się miała z Juggernautem. Indrze przypomniło się wreszcie, że nazwa owego olbrzyma wywodzi się od hinduistycznego boga, mającego swój wizerunek w świątyni w Puri, Dżagannathy, „władcy świata”, jednej z inkarnacji Wisznu. Ów wizerunek obwożono raz do roku na rydwanie, a ogarnięci ekstazą pielgrzymi masowo rzucali się wówczas pod koła pojazdu, by ponieść obrzędową śmierć. Później imię boga wykorzystywano na określenie niezwyciężonej maszyny wojennej, stąd też wzięły się tytuły wielu filmów. Indra z podziwem przyglądała się potworowi sunącemu po równinie. Kiedy zbliżył się nieco bardziej, z luku w dachu wychylił się Madragowie, wymachując triumfalnie rękami z uśmiechem na dobrodusznym bawolich twarzach.

- Mój ty świecie! - zwróciła się Indra do Rama. - Czy to jakiś przerośnięty czołg?

Ram uśmiechnął się.

- Nie jest wyposażony w armaty ani w inną śmiertcionośną broń. Wciąż nie jest jeszcze gotowy na wyprawę w Góry Czarne, ale możemy go wykorzystać w bardziej pokojowych celach, takich jak na przykład nasza ekspedycja. Ta machina przewiezie was przez krainę potworów i przetransportujemy nią do Królestwa Światła olbrzymie jelenie. Taką przynajmniej mamy nadzieję.

Indra odwróciła się w stronę Rama i po raz pierwszy tego dnia uważnie mu się przyjrzała. W jego oczach wyczytała tęsknotę i żal.

- Zawiezie nas? Tak powiedziałeś? Czy ty z nami nie jedziesz?

- Pamiętasz chyba, że razem z Gondagilem mamy wypuścić się niewielką gondolą przodem i porozumieć się z człowiekiem, który zna liczbę jeleni i miejsca, gdzie przebywają. Przelecimy przez szczeliny odkryte przez Joriego i Tsi, wysoko pod sklepieniem muru. Już niedługo wyruszamy.

- Dobrze, ale czy zdążycie załatwić wszystko, zanim Juggernaut tam dotrze?

- Przejazd przez teren potworów i dalej w góry zajmie trochę czasu.

- Ale przecież trzeba zrobić ogromny wyłom w murze. Jak zamierzacie powstrzymać potwory przed wdarciem się do Królestwa Światła?

- I na to znaleźliśmy sposób.

Juggernaut się zatrzymał, wszyscy rzucili się w jego stronę, Madragowie wyskoczyli ze środka, powitały ich gratulacje i wesołe śmiechy.

- Ach, muszę zrobić zdjęcie! - zapaliła się Indra. - Całej grupy, wszystkich uczestników ekspedycji.

- Dużo fotografujesz - uśmiechnął się Ram.

- Zdobyłam mistrzostwo w obcinaniu dachów domom i krzywieniu kątów. Jestem największą amatorką w całym Królestwie Światła. Chodź i ty!

Ustawienie wszystkich przed Juggernautem zajęło jej trochę czasu. Sporo osób wzbraniało się przed zdjęciem. Panie protestowały, ponieważ ubrane były w sportowe, odpowiednie do podróży, ale mało eleganckie stroje, Tsi, ponieważ nie miał ze sobą Czika, a Oko Nocy dlatego, że w jego plemieniu nie lubiono, gdy ktoś robił zdjęcia żywym istotom. Jori musiał namawiać także Evelyn, by zgodziła się na fotografię, broniła się, mówiąc, że jest taka brzydka. Po długim przekonywaniu, że wcale tak nie jest, pozwoliła się w końcu wziąć za rękę i podprowadzić do pojazdu, lecz Madragów nie przestała się bać.

Brakowało jedynie Jaskariego i Eleny, wciąż siedzieli pod drzewem.

- Zostawcie ich - powiedziała Indra, kiedy ktoś zaofiarował się, że ich sprowadzi. - Im i tak jest dostatecznie trudno.

Pozujący do fotografii stali żartując przy czarnej olbrzymiej ścianie Juggernauta. Indra poczuła nagle, jak bardzo jej wesoło, tu, w lesie w pobliżu Rama, bez patrzącego surowo Talornina, a przede wszystkim z dala od okropnie niebezpiecznej Griseldy.

Dopiero teraz Indra naprawdę poczuła wszystkimi zmysłami, jak strasznie cięży im obecność czarownicy. Lecz tu naprawdę byli wolni.

- O, tak, dobrze, spróbujcie przez chwilę stać spokojnie. Proszę o uśmiech. Gondagilu, staraj się nie wyglądać tak, jakbyś kompletnie nie zrozumiał dowcipu. Dobrze... Dziękuję, teraz zostaliście uwiecznieni. Przynajmniej na fotografii kochanej, mądrej, pięknej Indry. Właśnie w tej chwili zorientowała się, że kobieta z ratusza ustawiła się tuż przy Ramie i poufale wsunęła mu rękę pod pachę.

Wstrętne babsko, zepsuła takie ładne zdjęcie, a przede wszystkim dobry humor Indry.

Trzej Madragowie z dumą zeszli ze swego umieszczonego wysoko punktu obserwacyjnego, gdzie królowali na zdjęciu. Misa nie brała udziału w ekspedycji, spodziewała się dziecka. Wszyscy w Królestwie Światła cieszyli się, że ten niezwykle gatunek nareszcie mógł się rozmnażać. Madragowie wymyślili już sposób na uniknięcie kazirodztwa. Misa spodziewała się teraz dziecka z pierwszym z nich, drugi miał ożenić się z jej córką, a następny Madrag miał czekać na kolejne pokolenie. W ten sposób mogli rozprzestrzenić geny najlepiej jak tylko się dało. Wszyscy potomkowie naturalnie odziedziczą geny Misy, to było nie do uniknięcia, tak jednak było choć trochę lepiej. Griseldę do szaleństwa niemal przeraził aparat Indry.

Była pewna, że to jakaś tajemnicza broń strzelecka i po naciśnięciu guziczka wszyscy wylecą w powietrze. Kiedy błysnęła lampa, pisnęła i próbowała się wyrwać, lecz Jori przytrzymał ją ze śmiechem, pytając, czy nigdy wcześniej nie była fotografowana.

Rzeczywiście Griselda nigdy przedtem nie robiła sobie zdjęć. Wciąż wymawiała się swoją brzydotą, lecz kiedy nie wydarzyła się żadna katastrofa, wrócił jej spokój. Gorączkowo snuła już dalsze plany. Najpierw Oriana, musi wreszcie pozbyć się tej żmii. Miało to nastąpić już w Ciemności, Griselda dokładnie wiedziała, jak zabrać się do dzieła. Cudownie!

Potem kolejno dwie następne, Indra i Berengaria, a na koniec długi, bolesny proces: Thomas Llewellyn.

Wspaniałe widoki na przyszłość.

Ram nie na żarty się rozgniewał postępkami Lenore. Przytuliła się do niego akurat w chwili, kiedy Indra pstryknęła, nie zdążył więc odepchnąć jej ręki intymnie pełznącej mu pod ramię. Zaraz potem jednak odsunął się od niej i podszedł do Indry.

- Wiem, że nie wolno nam zbyt dużo ze sobą rozmawiać - zaczął przygnębiony. - Chcę się jednak usprawiedliwić. To nie była moja wina, od wielu lat nie okazywała mi ani trochę zainteresowania, to przyszło tak nagle. Przypuszczam, że dowiedziała się o nas, i dlatego to zrobiła.

Indra pokiwała głową.

- Myślałam, że ona jest dobrym człowiekiem.

- Bo w pewnym sensie tak jest, właściwie nie ma się do czego przyczepiać. Kiedy jednak ktoś widzi, że jego pozycja jest zagrożona...

- Rozumiem - powiedziała Indra. Była wszak kobietą i doskonale znała swoje siostry. - Ona cię nie chce, lecz nie życzy sobie, byś związał się z jakąkolwiek inną, to dość typowe.

- Podejrzewam, że kryje się za tym coś więcej. Mam wrażenie, że ona traktuje mnie jako rezerwę, lecz o tym może zapomnieć.

- Doskonale - uśmiechnęła się Indra szeroko, nie bez złośliwego zadowolenia.

Pełni zapału ludzie krążyli dookoła, wielu wdrapało się do Juggernauta. Madragowie z radością demonstrowali pojazd. Indra nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że ona i Ram znajdują się jakby w próżni, w świecie, który istnieje tylko i wyłącznie dla nich, jak gdyby jedynie dla nich pachniały kwiaty i śpiewały ptaki...

Nie wolno mi popadać w zbyt sentymentalizm, pomyślała trzeźwo. Nie wszystko przecież rysuje się w takich jasnych kolorach.

Ale tak właśnie jej się wydawało. Chwila, którą spędziła stojąc blisko rosnącego Lemura, drugiej co do ważności osoby w Królestwie Światła, wydawała jej się momentem duchowej ekstazy, przesyconym trudną niemal do zniesienia słodyczą.

Oczywiście coś jednak musiało zepsuć nastrój.

Ram zmarszczył czoło.

- Co się stało, Indro? Wyglądasz, jakby coś cię dręczyło?

- To takie idiotyczne - zaśmiała się zawstydzona. - Muszę na stronę.

Co ona mówi? Nie powinna się przecież zwierzać z takich rzeczy!

On jednak przyjął to naturalnie.

- Biegnij do lasu! - uśmiechnął się spokojnie. - Będę uważał.

- Dziękuję.

Szybko poszło, uśmiechnął się, kiedy wyszła z lasu.

- Lepiej?

- Duża ulga - przyznała. - Czytałam niedawno, że jeśli chodzi się tak na wszelki wypadek, co często się zdarza kobietom, to ten przekłety pęcherz przyzwyczajają się i reaguje na drobne ilości, kurczy się i człowiek wpada w błędne koło. Ale, ojej, nie powinnam z tobą o tym mówić, w dodatku tutaj, teraz.

- Cieszę się, że masz do mnie takie zaufanie - rzekł z powagą. - Uważam, że ten drobny epizod tylko umocnił naszą przyjaźń.

- Wiesz, mnie też się tak wydaje - uśmiechnęła się zażenowana. - Jesteś taki miły, taki potężny i ludzki zarazem. A może to nie jest komplement dla Lemura?

- Oczywiście, że jest. Najważniejsza jest intencja.

I znów otaczający ich świat rozśpiewał się wysokim drżącym tonem. Znów ukazały się barwy i zapachy, których nikt oprócz nich nie widział ani nie wyczuwał. Indrę ogarnęło pragnienie, by móc należeć do Rama, a z jego fascynującej twarzy mogła wyczytać, że i on odczuwa podobnie.

- Och, Indro, Indro - rzekł cicho ze smutkiem.

- Dlaczego nie jestem dla ciebie dość dobra, Ramie? - szepnęła.

- Nie wiem - odszepnął. - Nie wiem, dlaczego Talornin sprzeciwia się naszemu związkowi. Pytałem o to, ale nie dał mi odpowiedzi.

Nie mówili już nic więcej, patrzyli tylko na siebie, tęskniąc za sobą nawzajem, jak gdyby znajdowali się każde na oddzielnym globie, zawieszonym gdzieś w bezkresnej przestrzeni kosmicznej.

- Muszę w końcu wyruszyć z Gondagilem, spotkamy się niedługo w Ciemności - rzekł wreszcie Ram.

- Zaczekaj - poprosiła. - Już wywołuję zdjęcie. Przekonasz się, ile głów udało mi się obciąć tym razem.

To jedno zdanie wystarczyło, by oboje powrócili do rzeczywistości. Aparat fotograficzny Indry był bardzo nowoczesny, nie ot, takie sobie pudełko, które wypłuka odbitkę wątpliwej jakości na złym papierze. Indra otworzyła aparat i wyjęła z niego zdjęcie o doskonałej ostrości i nasyconych barwach. Przyglądali się mu razem, ich głowy może za bardzo zbliżyły się do siebie, ale nie patrzył na nich nikt oprócz Marca, który zaciekawiony już zmierzał w ich stronę.

- Całkiem nieźle jak na mnie - sapnęła Indra zadowolona. - Ale zobacz, jak ta pani z ratusza się do ciebie przytula, Ram. Mam ochotę...

Poczuła, że Ram gwałtownie drgnął.

- Marco, podejdź tutaj - rzekł głucho.

- Co...? - zaczęła Indra.

Wtedy i ona zobaczyła. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, ziemia zachwiała jej się pod nogami, poczuła, że ogarniają ją mdłości.

Na zdjęciu nie było młodziutkiej Evelyn, Jori trzymał za rękę budzącą grozę prastarą mumię.

22

- Widzieliście coś... - zaczęła Indra, niemal sparaliżowana niesamowitym widokiem odpadającego od kości ciała i gnijących łachmanów.

- Nie rozglądajcie się za nią - ostrzegł Marco. - Nie pozwólcie, by coś wyczuła.
- A więc aparatowi fotograficznemu udało się to, co nam się nie powiodło - rzekł Ram powoli, równie wstrząśnięty jak oni.
- Ona nie chciała się fotografować - szepnęła Indra.
- Z innych powodów - odparł Marco. - Bała się, jak przypuszczam, że aparat na przykład wystrzeli.

Indra nie mogła powstrzymać się od zduszonego śmiechu. Zaraz jednak spoważniała. Nie miała siły dłużej patrzeć na zdjęcie, było ohydne.

- Co teraz zrobimy?
- Zachowamy tajemnicę - nakazał Marco.
- Mam ochotę wydrapać oczy tej panienczce, z którą włości się Jori.
- Nie wolno ci tego robić, tylko źle się to dla ciebie skończy. Ona jest niezwykle potężną czarownicą, muszę się zastanowić...
- Może Dolg - podsunął cicho Ram. - Dolg i czerwony farangil.
- O, tak! - wykrzyknęła z entuzjazmem Indra. - On ją zniszczy.
- Nie, nie - ostrzegł Marco. - Musimy pojmać ją żywą i wydusić z niej, gdzie ukrywa duszę. Inaczej powróci z nowymi siłami. Ale z tymi wszystkimi ludźmi tutaj... Boję się.
- A ja nie zgadzam się na to, żeby zabierać ją w Ciemność. Jestem odpowiedzialny za całą ekspedycję. Mieliśmy już przecież okazję się przekonać, że powoduje nią żądza mordy jakich mało.

Marco zastanawiał się.

- A może zostawić w Królestwie Światła Indrę, Orianę i Berengarię, razem z Thomasem?
- Ależ Marco! - Indra nie kryła rozczarowania.
- Co więc zrobimy? - westchnął. - Nie możemy jej zdemaskować i narazić tym samym na niebezpieczeństwo życia tylu ludzi, nie powinniśmy też wywoływać wśród nich paniki, musimy milczeć. Może wtajemniczyć nielicznych...

Nagle jego piękna twarz się rozjaśniła. Indra, patrząc na niego, wpadła na ten sam pomysł.

- Duchy! Czarownice!
- Oczywiście - ucieszył się Ram. - Czarownice Ludzi Lodu.
- Mamy też Móriego i Dolga - przypomniał Marco. - Oni na pewno będą mogli podjąć walkę, lecz musiałyby toczyć się otwarcie, a należy zachować większą ostrożność. Indro, poproś Móriego, żeby tu przyszedł. Niech przyprowadzi ze sobą niewidzialnych czarnoksiężników, Nauczyciela i Hraundrangi-Móriego.
- Przypuszczam, że pozostali nie pozwolą im występować samodzielnie - uśmiechnęła się Indra. - Czy mam wezwać również Dolga?

Marco wahał się.

- Tak, zawołaj go. Inaczej będzie się zastanawiał, co knujemy za jego plecami.
- Indra pomknęła jak strzała. Na nieszczęście wpadła prosto na Joriego i młodą Evelyn, która nie odstępowała go ani na krok. Indra na moment zacisnęła zęby, ale zaraz wesoło pozdrowiła Joriego i jego towarzyszkę.
- Dokąd się tak spieszysz, Indro? - zainteresował się Jori.

- Marco chciałby, żeby Móri i Dolg popatrzyli okiem znawców na mur - skłamała bez zmruczenia oka.

Ach, gotowa była przebić kołkiem tę ohydłą czarownicę o niewinnej dziecięcej twarzy, takim kołkiem, jakim przebija się wampiry, choć akurat nie z wampirem mieli do czynienia, lecz z jeszcze bardziej niebezpieczną istotą.

Pobiegła dalej, żałując, że nie może ostrzec Joriego, to jednak byłoby najgorsze z możliwych posunięć. Jori nie zdołałby zachować kamiennej twarzy, uderzyłby w krzyk i wszystko popsuł.

A więc ona była z nimi przez cały czas! Teraz Indra przypomniała sobie, gdzie wcześniej widziała dziewczynę. Jori oglądał się za nią na ulicy, a chwilę później Indra została uderzona w głowę.

W szpitalu Evelyn-Griselda przechodziła korytarzem obok jej pokoju, niedługo później Indrę znów zaatakowano.

Thomas... Należało go ostrzec, ale nie, to niemożliwe. Indra odwróciła się i zobaczyła, że Ram rozmawia z Orianą. Powiedział jej, co się stało? Nie, na pewno poprosił tylko ją i Berengarię, żeby trzymały się blisko niego, może w czymś mu pomogły. Odwrócił się teraz i patrzył na nią zatroskanym wzrokiem. Uspokajająco pomachała mu ręką.

Ach, jakie te chwile pełne napięcia! Zorientowała się, że drżą jej ręce, a ciało oblewa zimny pot.

Nareszcie jest Móri i Dolg, na szczęście stoją razem, nie będzie więc musiała już biegać. Czarnoksiężnicy natychmiast ruszyli razem z nią, Indra deptała im po piętach, byle tylko nie stracić z nimi kontaktu.

Kiedy pomyślała o tym, co straszna wiedźma zdążyła zdziałać w krótkim czasie swojego pobytu w Królestwie Światła... Najstraszniejsze chyba było to, co uczyniła Elenie i Jaskariemu. Dlaczego to zrobiła? Czyżby powodowała ją tak silna żądza niszczenia? A może raczej pragnęła młodego, silnego mężczyzny? Prawdopodobnie motywów jej postępowania było wiele. Griselda wiedziała wszak, że Elena i Jaskari należą do grupki młodzieży, której nienawidziła.

Marco i Móri weszli w las, żeby przywołać duchy. Musiało się to odbyć w jak największej tajemnicy.

Kiedy duchy Móriego usłyszały, w czym rzecz, natychmiast ogarnął je zapał, wszystkie chciały uczestniczyć w rozprawie z wiedźmą. Marco wezwał tylko trzy czarownice, Sol, Ingrid i Tobbę. I one zacierały ręce na wieść o możliwości zniszczenia okrutnej Griseldy. Halkatlę Marco postawił w stan gotowości na wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło. Marco popatrzył na polanę, na której wielka gromada czekała na sygnał odjazdu. Widział niedużą grupkę, z którą właśnie się rozstał, i zdawał sobie sprawę, że Ram nie może zbyt długo wstrzymać się z daniem hasła do wyruszenia. Wiedział, że Jaskari zdołał wreszcie pozbiierać się na tyle, by wdrapać się do kontrolnej wieżyczki Juggernauta wraz z Madragami. Zawsze przecież interesowała go technika. Elena stała na ziemi w pobliżu maszyny. Nie miała dość śmiałości, by wejść do środka. Jori gawędził z Evelyn. Biedny chłopak, Marco miał szczerą nadzieję, że Jori nie zdąży się w niej zakochać, nie przypuszczał jednak, by do tego doszło, wszelkie romanse Joriego bywały zwykle

powierzchowne i krótkotrwałe. To właściwie przerażające u dorosłego już mężczyzny, jakim był Jori.

Oko Nocy wciąż niepokoił się o Berengarię, która ozdrowiała już całkiem po zatruciu, ale nie przestawała udawać chorej, chciała bowiem, by jej ukochany Indianin dalej ją pocieszał. Tsi-Tsungga prezentował sztukę przeskakiwania z drzewa na drzewo zainteresowanym widzom.

Wciąż panowała sielanka.

Miał nadzieję, że nic jej nie zakłóci i że zdołają unieszkodliwić Griseldę bez żadnych przykrych konsekwencji. Ale co z jej duszą?

Starł się wytłumaczyć zgromadzonemu duchom, że właśnie o nią chodzi. Sama Griselda nie była tak istotna, Evelyn to tylko jedno z jej wielu wcieleń, Thomas wszak opowiadał o kimś zupełnie innym, wtedy używała swego prawdziwego imienia, Griselda. Tym razem nie mogła tego zrobić, imię brzmiało staroświecko i nieco śmiesznie, choć kiedyś nosiła je szlachetna kobieta, żona największego ze wszystkich męskich szowinistów. Tamta Griselda czy też Grisilda wywodziła się ze starej opowieści i nie miała nic wspólnego z Evelyn-Griseldą, pomyślał Marco. Poza tym Indra i wszystkie inne nowoczesne, świadome kobiety ogromnie by się oburzyły treścią tej opowieści. Płynący z niej morał ilustrował pogląd na kobiety, pogląd obecnie absolutnie nie do przyjęcia.

Duchy i Móri zajęły się dyskusją na temat starcia z Griseldą, a Marco w myślach przypominał sobie tamtą okropną historię.

Bogaty pan długo nie chciał się żenić w obawie, że żona okaże się nie dość dla niego dobra. Po długim namyśle wybrał dziewczynę mającą w sobie dość pokory, piękną pasterkę owiec, Grisildę, która musiała przyrzec, że nigdy nie będzie go krytykować ani się mu sprzeciwiać. Przed ślubem rozebrał ją do naga, by zrozumiała, że jemu zawdzięcza wszystko. Rzeczywiście była taka, jakiej pragnął, cierpliwa, posłuszna i kochana przez otoczenie, mimo to wciąż jednak miał pewne wątpliwości. Gdy przyszło na świat ich pierwsze dziecko, córeczka, odebrał je matce i zapowiedział, że zostanie zglądzone. Grisilda posłusznie oddała maleństwo, mąż jednak postanowił wypróbować ją ponownie. Pozbawił ją również syna, który urodził się później. Po wielu latach posłał po Grisildę i oświadczył w obecności służących, że papież zezwolił na ich rozwód, ponieważ pochodziła ze zbyt niskiego rodu, a on zasługiwał na lepszą żonę. Znowu zażądał, by rozebrała się do naga, a wtedy kobieta po raz pierwszy zaprotestowała. Spytała, czy może zatrzymać choć koszulę, łaskawie pozwolił jej na to, musiała jednak zająć się przygotowaniami do weseliska i przyjęcia nowej dwunastoletniej panny młodej i jej młodszego braciszka. Na uczcie powitalnej Grisilda życzyła szczęścia byłemu mężowi, poprosiła go jednak, by okazał swej młodej narzeczonej więcej serca niż jej. Widząc taką pokorę mężczyzna wyjawiał wreszcie, że jego narzeczonej i jej brat to ich własne dzieci, które dorastały u dobrych krewnych. Grisilda powróciła do łask, mąż nie obawiał się już bowiem z jej strony żadnego sprzeciwu.

Marco zacisnął zęby, nie lubił tej opowieści, przypominającej mu swym okrucieństwem historię Hioba. Sam na miejscu Grisildy rzuciłby męża i odszedł, zabierając dzieci, ale baśń kończyła się pieśnią pochwalną dla nieszczęsnej kobiety jako wzoru cnoty.

Ocknął się z zamyślenia, bo duchy zwróciły się do niego z prośbą o radę.

- Co takiego? Bardzo dobry pomysł, niech Ingrid zaczyna. Pamiętajcie, wszystko robicie po to, żeby dowiedzieć się, gdzie ona ukrywa swoją duszę i jak ona wygląda.

- Na pewno jest czarna - oświadczyła z mocą Sol. - Ale trochę chyba możemy się z nią podroczyć?

Prosząco przekrzywiła głowę, a oczy rozbliły jej nadzieją.

Marco nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Dobrze, tylko nie utracie nad nią kontroli. A więc najpierw Ingrid, potem Tobba i dopiero na koniec Sol. Gdyby wam się nie udało, to duchy Móriego czekają w pogotowiu.

- Możesz na nas liczyć - obiecał Nauczyciel.

Marco i Móri wiedzieli, że nikt poza nimi nie dostrzega duchów, jeszcze tylko Dolg, ale on nikomu o niczym nie powie.

- I nie zapominajcie, że ona jest niezwykle niebezpieczna. Nielatwo będzie pokonać ją w magicznym boju, lepiej więc do niczego takiego nie dopuszczajcie.

- Będziemy bardzo grzeczne - zapewniła Sol, lecz Marco nawet przez chwilę jej nie wierzył.

- Nie widzi was teraz nikt poza Dolgiem - podjął. - Same zdecydujecie, kiedy się ukazać, ale starajcie się nie wystraszyć innych.

- Wystraszyć? My? - niewinnie zdziwiła się Ingrid. - No, życzy mi powodzenia, przyjaciele, zabieramy się do unieszkodliwiania potwora.

I właśnie wtedy Marco poczuł - jakby ktoś trącił jakąś strunę - że coś zaczyna psuć ich idyllę. Coś, nad czym nie miał kontroli.

A jeśli było coś, czego Marco nienawidził, to właśnie nie mieć kontroli.

23

Nikt nie mógł przewidzieć tego, co się stanie.

Joriego zaczęła irytować Evelyn, miał ochotę porozmawiać z innymi, lecz ona czepiała się go jak rzep. Nie chciała podejść do Juggernauta (w środku był Jaskari, który mógł ją poznać po zapachu) ani do Dolga (widział ją przecież w parku), ani do Thomasa (który mógł rozpoznać ją po rysach twarzy). Jori nic nie umiał z tego pojąć. Dziewczyna była śliczna i miła, lecz zbyt absorbująca.

A Griselda wiła się, jakby śwędziały ją plecy. Wyczuwała coś w pobliżu, rozglądała się dookoła, lecz niczego nie widziała, a stali przecież z Jorim na szczycie niedużego pagórka na polanie.

Kiedyż wreszcie wyruszą do tej Ciemności? Griselda miała już przecież przygotowany plan. Dlaczego tak zwlekają?

Znów to samo, ktoś uszczypnął ją w pośladek? Skarciła wzrokiem Joriego, ale nie, on nie mógł tego zrobić.

Przesunęła się o parę kroków do przodu i potknęła, padając na głowę w bardzo brzydki sposób. Zupełnie jakby ktoś podstawił jej nogę, a przecież nikogo przy niej nie było.

- Co ty wyprawiasz, Evelyn? - zdziwił się Jori.

Griselda miała ochotę puścić wiązanek siarczystych przekleństw, lecz jakoś się opamiętała.

- Po prostu się przewróciłam - uśmiechnęła się słodko, chociaż wymuszenie.

- Jori! - zawołał Ram, który chciał go odciągnąć od Griseldy. - Czy mógłbyś przez chwilę pomóc innym Strażnikom?

Joriego ucieszyła możliwość wyrwania się kłopotliwej nastolatce.

- Wybaczysz mi na chwilę? - zwrócił się do niej.

Ona jednak nie chciała o tym słyszeć.

- Oczywiście idę z to...

Co, u diabła? Jakby napotkała na jakiś miękki mur, nie mogła się ruszyć.

Ingrid, najślabsza z czarownic z Ludzi Lodu, otrzymała zadanie podrażnienia się z Griseldą, wzbudzenia w niej niepewności i wyprowadzenia z równowagi, tak by łatwiej uległa innym.

A w Griseldzie obudziła się podejrzliwość. Dzieje się tu jakieś diabelstwo, pomyślała, co to ma znaczyć? Przecież takie sztuki to moja domena, kto się wdziera w moje obszary? Rozejrzała się dokoła, wszystko wyglądało tak niewinnie. Ale ktoś się z nią droczył. Kto? Nikt chyba nie posiada tu takich zdolności, oprócz być może jego wysokości czarnego księcia podziemia. Griselda nie miała dotychczas okazji, by się mu przedstawić i okazać szacunek. Powinna to zaraz naprawić.

Oczywiście to nie on zachowuje się tak nieładnie, na pewno i tak rozumie, że jest mu oddana. Ale w tej gromadzie znajduje się jeszcze jeden tajemniczy człowiek, ojciec tego od niebieskiego szafiru, obaj są tacy ciemni i niezgłębieni. I raczej niezbyt dobrze nastawieni do czarownic.

Ci jednak stali odwrócenii do niej plecami, wyraźnie czymś zajęci. Nawet nie spojrzeli w jej stronę, w jaki więc sposób mogli ją zaczarować?

Poczuła kopniaka w zadek, wyleciała w powietrze i upadła prosto na mrowisko. Do diabła, pozbierała się jakoś i wściekłymi ruchami zaczęła otrząsać maleńkie stworzonka, które boleśnie kąsały wszędzie tam, gdzie tylko zdołały się wcisnąć. Ależ to piecze! Dostyc tej zabawy!

Upewniwszy się, że żadna z ważnych osób nie zauważyła jej upokarzającego upadku, przeszła w otwarte miejsce i wypowiedziała magiczne zaklęcie.

Ingrid natychmiast przekazała wiadomość oczekującym krewniaczkom.

- Otoczyła się magicznym kręgiem, nie zdołam się już do niej przedostać.

- Kolej na Tobbę - rozkazał Nauczyciel dowodzący duchami.

Tobba nigdy nie była dobrą czarownicą, dopiero w Królestwie Światła zaczęła cieszyć się szacunkiem i okazywała zrozumienie dla innych ludzi. Znow była młoda i piękna, miała więc powody, by odczuwać wdzięczność.

Teraz jednak czuła, że może pokazać, co potrafi, a nikt nie będzie jej o to obwiniał.

Zbliżyła się jak tylko mogła i szepnęła:

- Griiiseeeldaaa...

- Mam na imię Evelyn - odparła Griselda natychmiast.

- Wieeeemyyy, że jesteś Griiiseeeldaaa - mówiła Tobba, przeciągając samogłoski. -

Wieeeemyyy o toobieeee duuuużooo.

Griselda oddychała ciężko.

- Wieeeemyyy, że uuukryyyłaaaś swooojąą duuuszęęę. Nie boooiisz sięęę?

- Zamknij się! - wykrzyknęła wiedźma, nie panując już nad sobą.

Ach, nie, nie mogę pozwolić, żeby zdobyła nade mną przewagę, gorączkowo myślała Griselda. Kim ona jest, czego chce? Co ona wie o mojej duszy?

Tobba skakała wokół niej, szeptał rozlegał się coraz to z innej strony.

Nie oszuka mnie, pomyślała Griselda chytrze. Przez cały czas jest tylko jedna, nie poradzi sobie ze mną. Ale to niepokojące, że wspomniała o mojej duszy, skąd mogła coś na ten temat wiedzieć?

Kto wysłała tę siłę? Ktoś tutaj, na łące?

Dziwne zachowanie Griseldy zaczęło przyciągać uwagę innych.

Coraz więcej osób poszeptywało i pokazywało ją sobie palcem.

Griselda postanowiła wycofać się po cichu do lasu, okazało się jednak, że nie może tego zrobić. Zakreśliła wokół siebie magiczny krąg, żeby nikt nie zdołał do niej dotrzeć, a teraz sama nie mogła się z niego wydostać. Zatrzaszczyła się już o to jej przeciwniczka.

Postanowiła poprosić o pomoc księcia ciemności.

- Książę Marco - zawołała najśłodszy głośnie, na jaki tylko było ją stać.

Marco, który doskonale wiedział, co się dzieje, ruszył w jej stronę.

- Co się stało, Evelyn?

Przepuściła go przez krąg.

- Ktoś na mnie nastaje, wasza wysokość - mruknęła konspiracyjnie. - Ktoś mnie dręczy, a ja nie widzę, kto. Ty, panie, na pewno to wiesz.

Marco pojął, że Griselda bierze go za samego szatana. Nie wiedział, czy powinien się śmiać, czy gniewać, ale żeby ją pocieszyć, rozejrzał się dokoła.

- Nie widzę nikogo, kto byłby do ciebie nieprzychylnie nastawiony, moja droga, wszyscy są w świetnych humorach i dzień taki piękny, prawda?

- Ale ktoś tutaj uprawia czary, wasza wysokość. Koło mnie kręci się ktoś, kogo nie widzę.

Marco przyjrzał jej się badawczo.

- Och, to brzmi bardzo poważnie. Może Jaskari powinien cię obejrzeć, on studiował psychiatrię...

Griselda ze złości o mało nie uniosła się w powietrze.

- Mój panie, zapewniam, że jestem przy zdrowych zmysłach i takie zarzuty godzą w moją godność.

- Dobrze, dobrze - łagodził Marco.

Znalazszy się tak blisko czarownicy wyczuwał opisywany już tyle razy nieprzyjemny zapach, unoszący się w powietrzu dość delikatnie, tak jakby stało się przy nieprzyjemnie, gorzko pachnącej roślinie, kocimietce lub piołunie. Wiedźma zapomniała o swojej roli niewinnej dziewczyny, prychała jak stara czarownica.

Teraz popatrzyła w osobliwe oczy księcia ciemności i zakręciło jej się w głowie. Ach, były niczym studnie bez dna. To na pewno dlatego, że może przez nie zajrzeć prosto do piekła. Ale na dnie nie dostrzegła płonącego ognia.

Cóż to za mężczyzna! Może podwinąć nieco spódnicę, skusić go tak, by chciał zobaczyć resztę?

Nie, za dużo tu ludzi, później.

Przydałaby się jej maść, miała ją w kieszeni, czy zdoła...? Może w ten sposób zdobędzie kontrolę nad tymi, którzy tak ją dręczą? Również nad niewidzialnymi prześladowcami?

Griselda odczuwała wielkie pokusy, zwłaszcza na myśl o szaleńczo urodziwym władcy podziemia, zdawała sobie jednak sprawę, że jej działania mogłyby mieć przykre konsekwencje. Nie, nie chce, żeby wszyscy mężczyźni rzucili się na nią niczym rój os. Odbijemy sobie później, mój książę, obiecuję ci.

Marco uznał, że poświęcił jej już dostatecznie dużo czasu, i postanowił oddać ją w ręce czarownic z Ludzi Lodu oraz duchów Móriego, drepczących z niecierpliwości i pragnienia, by włączyć się do tej zabawy. Nie było czasu, by dłużej to przeciągać. Ram i Gondagil wstrzymywali się z wyruszeniem gondolą, najpierw bowiem należało załatwić sprawę czarownicy, a wszyscy pozostali czekali, aż wreszcie coś zacznie się dziać. Nikt wprawdzie nie ponaglał, zastanawiano się tylko, dlaczego wciąż nie słychać sygnału do odjazdu.

To Griselda ich wstrzymywała.

- Moja droga Evelyn - rzekł Marco życzliwie. - Dopilnuję, żeby twemu życiu nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

To była prawda, potrzebowali wszak czasu, żeby stwierdzić, gdzie ona ukrywa swą tak zwaną duszę.

- Dzięki ci, panie, wiem, że jestem w bezpiecznych rękach.

No cóż, pomyślał Marco, zostawiwszy ją na ścieżce prowadzącej do muru.

Zastanawiał się nad zjawiskiem, jakim była Griselda. Młoda dziewczyna potrafiła wzbudzić litość, lecz zły uśmiech, który mu posłała, nie miał nic wspólnego z uśmiechem niewinnej dziewczynki.

I co też czai się w powietrzu, na co czeka cała przyroda?

Griselda odetchnęła z ulgą. Znow zatriumfowała, książę ciemności stał po jej stronie.

Naturalnie, czegoż innego mogła się spodziewać?

Rozczarowało ją jednak, że nie zainteresował się nią jako kobietą. Nie dostrzegła w jego oczach żadnego uwodzicielskiego błysku, żadnej oznaki uznania.

Och, oczywiście to dlatego, że wokół jest tyle ludzi. Kiedy tylko zostaną sam na sam, na pewno zdoła go uwieść.

Zachichotała. Zaraz jednak znow się zaniepokoiła. Kto jest na tyle potężny, by słać w jej stronę taką siłę? Co to za atak z niewiadomego źródła?

Czyżby to ten śliczny, zielonobrunatny faun?

Nie, zwieszał się z gałęzi i robił przedstawienie dla dziewczynek, dla Berengarii i Siski, czy jak tam one się nazywają. Dlaczego zresztą tak mu na nich zależy? Potrafię się kochać o wiele gorzej, niż kiedykolwiek ci się śniło, mój młody żółtodziobie. Powinieneś zobaczyć mnie w akcji, na pewno by ci się to spodobało. Przeżyjemy kiedyś chwile, których nigdy nie zapomnisz! Dlaczego nie teraz, w osławionym Królestwie Ciemności? Wymkniemy się gdzieś i wtedy się tobą zajmę...

Wróciła myślą do rozmowy z księciem Markiem. Musiała się bardzo powstrzymywać, żeby nie zrobić tego, co było jej zwyczajem: rzucić się na jego męskość. Nie mogła jednak tak postąpić, za dużo tu niepowołanych osób.

Ale w Królestwie Ciemności...

Zatęskniła, by już się tam znaleźć.

- Griselda?

Słodki, przymilny, żartobliwy głos.

Inny niż poprzednio, co to ma znaczyć, ile ich jest?

Nauczyciel wydał rozkaz, którego ona nie słyszała:

- Sol, teraz twoja kolej. Ukaż się jej, ale zostaw nam trochę zabawy.

Przed oczami Griseldy ukazała się jakaś postać.

Przepiękna ciemnowłosa kobieta o żółtych oczach! Co, u diabła, nikt przecież nie ma żółtych oczu!

Jakaś przeklęta nieudacznica.

Griselda nie chciała przyznać, że rzadko miała do czynienia z tak piękną kobietą, promieniejącą niezwykłym wprost wdziękiem.

- Ach, więc to ty! - warknęła. - Co z ciebie za kukułcze pisklę? Próbujesz wzniecić walkę? Marne twoje szanse.

Nowy głos. Ile ich właściwie jest?

- No, stara Griseldo, czy wiesz, że przynosisz wstyd całemu związkowi czarownic?

- Ja? Jeśli chodzi o czary, nikt mnie nie pobije. Nie mów więc o żadnym wstydzie.

- Owszem, w nędznych, podłych sztukach w istocie jesteś mistrzynią, ale być złą to nic trudnego, potrafi to nawet dziecko. Dobrej magii nie znasz.

- Owszem, znam, i to jak!

Sol ukazała się już teraz wszystkim, niejedni zastanawiali się, skąd się wzięła, po prostu nagle się pojawiła. Ci jednak, którzy ją znali, zachodzili w głowę, dlaczego rozmawia akurat z tą bardzo młodą dziewczyną, stojącą samotnie na łące.

Tsi-Tsungga zakończył popisy przed dziewczynkami. Przysiadł wysoko na gałęzi, skąd miał doskonały widok.

- Sol z Ludzi Lodu - rzekł z podziwem do siebie. - Ona jest naprawdę wspaniała, ale dlaczego drażni się z Evelyn? To nieładnie z jej strony.

Jori także to dostrzegł i dotknięty już chciał rzucić się na pomoc swojej nowej przyjaciółce, lecz Ram go powstrzymał.

Nie wszyscy zauważyli, że coś się dzieje.

- Puść mnie! - prosił Jori. - Nie możemy na to pozwalać.

- Poczekaj - odparł Ram. - Poczekaj i zobacz.

- Dlaczego Sol trzyma ręce za plecami?

- Cicho, bo jeszcze cię usłyszą.

Sol kręciła się przed Evelyn-Griseldą.

- Potrafisz zgadnąć, co mam za plecami?

- Ani trochę mnie to nie interesuje.

- A powinno! Trzymam tam twoją duszę.

Był to bluff, ale podziałał. Griselda rzuciła się w przód z okrzykiem przerażenia, lecz nie mogła się wydostać z osobiście zakreślonego magicznego kręgu, do którego inne czarownice dołożyły swoje zaklęcia. Nie pozostawało jej nic innego, jak go zniweczyć.

Rzuciła się na Sol, która cofnęła się szybciej niż wiatr.

- Co ta Sol robi? Przecież ona nic nie ma - szepnął Jori.

- Pst! - uciszał go Ram.

- To biedne dziecko, nie wolno tak postępować z samotną biedaczką.

Griselda musiała zauważyć jego poruszenie, zawołała bowiem:

- Jori, na pomoc, ona jest dla mnie niedobra!

Ram mocno przytrzymał chłopaka.

- Chcesz, żeby czerwony farangil zajął się twoją duszą? - zadrwiła Sol, uskakując przed atakiem Griseldy.

Wiedźma straciła panowanie nad sobą.

- Oddaj mi torebkę, dziwko przeklęta! - syknęła.

Aha, pomyślał ten i ów.

Ale Jori nie chciał niczego zrozumieć, czuł się odpowiedzialny za Evelyn, to on wszak ściągnął ją na wyprawę, winien był więc jej troskę i zainteresowanie przynajmniej do pewnego stopnia.

- Puść mnie, Ram!

Lemur zrozumiał wreszcie, że nie ma wyboru. Poprosił Indrę o fotografię, a kiedy już ją dostał, pokazał Joriemu.

Wyrwający się chłopak zdrętwiał. Jak sparaliżowany wpatrywał się w zdjęcie, na którym Ram dokładnie mu wskazał to, co powinien zobaczyć.

- Ach, nie! - jęknął. - Nie, to nie może być prawda!

- Ale jest. Czy teraz już możesz milczeć?

Jori pozieleniał na twarzy, schylił głowę, z trudem chwytając oddech, nie był w stanie myśleć jasno. Fotografia, którą trzymał w rękach, drżała.

Sol pociągnęła Griseldę za sobą na środek szerokiej ścieżki prowadzącej do muru. Nie była pewna, jakie powinno być jej następne posunięcie, wiedziała bowiem, że Griselda nie da się zbyt długo oszukiwać. Oczywiście mogła z powrotem rozpląnąć się w powietrzu, to jednak byłoby jej klęską. Przez cały czas miała w uszach głos duchów Móriego:

„Teraz nasza kolej, oddaj nam pałeczkę, Sol”.

Ona jednak nie miała na razie na to ochoty.

Jaskari z wieżyczki obserwował zajście z wielkim zdziwieniem. Zobaczył, że Tsi siedzący na gałęzi woła do Sol, prosząc, by zostawiła biedne dziecko w spokoju. Jaskari w pełni się z nim zgadzał. Zeskoczył z Juggernauta, żeby zwrócić uwagę Marcowi i Ramowi, którzy zdawali się przyjmować wydarzenia z wielkim spokojem. Co w nich wszystkich wstąpiło? Czyżby zapomnieli, co nakazuje przyzwoitość?

- Co to za dowcipy? - spytał Joriego.

Niedobrze się stało, Ram powinien był schować fotografię, ale Jori wciąż trzymał ją w ręku i bez słowa, blady i wstrząśnięty, pokazał zdjęcie Jaskariemu.

Jasnowłosy kłębek mięśni popatrzył na nie zdziwiony.

- Co to ma znaczyć?

Urwał. Jego dłoń zgniotła brzeg zdjęcia, aż Jori musiał mu je odebrać, bo mogło wszak przydać się jeszcze jako dowód. Elena wciąż stała przy gąsienicy Juggernauta, nie pojmowała, dlaczego twarz Jaskariego nagle tak strasznie się zmienia. Przeraziła się. Co było na tym zdjęciu, w które wszyscy się wpatrywali, i dlaczego Sol tak brzydtko drażni się z Evelyn?

Z gardła Jaskariego wyrwał się dziwny dźwięk, głęboki, jakby z samej głębi duszy, przeradzając się w szaleńczy wrzask. Chłopak wspiał się z powrotem do Juggernauta i zapuścił silnik, tak jak Madragowie z dumą przed chwilą go nauczyli. Wszyscy inni pozostali na ziemi, lecz Jaskari nie widział nikogo, miał tylko jeden cel.

- Nie, Jaskari, nie! - zawołał Marco. - Nie rób tego, musimy się dowiedzieć, gdzie...

Jaskari nie słuchał. Widział tylko tę, która zniszczyła kruche, piękne uczucie, łączące jego i Elenę. Czarownicę, która zbrukała go tak, że trudno mu będzie znaleźć radość w zbliżeniu z tą, którą kochał.

Dla takiej nikczemności nie ma miłosierdzia.

Gąsienice Juggernauta zaskrzypiały i nieubłaganie potoczyły się po trawie.

Griselda słyszała ogłuszający ryk straszliwego pojazdu, ale nie miała czasu na zajmowanie się głupimi nowoczesnymi maszynami, obróciła się w koło i rozejrzała za kobietą o żółtych oczach, ale ta gdzieś zniknęła, rozplynęła się w powietrzu. Griselda chętnie by się nauczyła takiej sztuki.

Gdzie ona jest? Gdzie się podziała? Muszę odzyskać swoją torebkę, to niemożliwe, żeby ją odnaleźli!

Ale skąd mogli wiedzieć, że moja tajemnica ukrywa się właśnie w sakiewce?

Griselda za późno zrozumiała, że sama się zdradziła.

Zielony leśny faun wołał z drzewa:

- Zatrzymaj się, Jaskari, nie widzisz, że jedziesz prosto na nią!

Na kogo znów jedzie?

Juggernaut się nie zatrzymał.

Wreszcie, kiedy ryk motoru stał się już trudny do zniesienia i wszyscy zebrani na łące podnieśli krzyk, Griselda odwróciła się i zobaczyła potworną maszynę wznoszącą się przed nią niczym wieża i sunącą w jej kierunku.

Zaniosła się krzykiem jak drapieżny ptak i rzuciła do ucieczki. Najpierw przed siebie oczywiście, ale to był błędny ruch. W bok...

Juggernaut był szeroki jak czteropasmowa jezdnia, z hukiem poruszał się do przodu w określonym celu, sterowany przez rozpalonego żądzą zemsty Jaskariego. Tsi-Tsungga musiał przeskoczyć na rosnące dalej w głębi lasu drzewo, inaczej straciłaby go nadbudówka, a Griselda..

Zdażyła jeszcze wykrzyzczyć przekleństwo na nich wszystkich i obietnicę, że wróci, a wtedy dręczyć ich będzie niczym w ogniu piekielnym.

Juggernaut bezlitośnie parł naprzód...

24

Panowała kompletna cisza, kiedy Jaskari na chwiejnych nogach opuszczał maszynę, która stała się teraz narzędziem zbrodni, i osunął się w ramiona Eleny. Żaden ptak nie śpiewał, nie zadrżał nawet liść, nawet powietrze jakby wstrzymało oddech.

Wreszcie podniósł się hałas.

Jaskari nigdy w życiu nie usłyszał tylu wyrzutów.

Większość wypowiedali ludzie zgromadzeni wokół Juggernauta.

- Jak mogłeś przejechać niewinną dziewczynę?

- Jesteś lekarzem, powinienes ratować życie, a nie je niszczyć!

- Jaskari, jesteś chory na umyśle, ona nie miała żadnych szans, widziałem to wszystko z drzewa! - krzyczał Tsi-Tsungga.

Duchy Móriego ukazały się jako żywe istoty.

- Pozbawiłeś nas radości zajęcia się nią.

Najgorsze były jednak słowa Marca:

- Ach, Jaskari, Jaskari, teraz nigdy już się nie dowiemy, gdzie ukryła swoją duszę! Ona wróci, i to tak prędko, jak tylko będzie mogła. Tu, do Królestwa Światła!

Elena nie odzywała się ani słowem, zdyszana, bo biegła przy Juggernautcie, próbując powstrzymać Jaskariego. Nie pojmowała, jak mógł dopuścić się czegoś tak potwornego, wyczuła jednak, że w objęcia padł jej śmiertelnie zraniony mężczyzna, który w każdej chwili może się załamać. Śmiertelnie zraniony na duszy.

Do dyskusji włączyła się Indra:

- Rozumiem Jaskariego, on to musiał zrobić. Rana, jaką Griselda zadała jemu i Elenie, straszliwie uraziła go w serce. Powodował nim trudny do zniesienia ból.

- Griselda? - podniósł się krzyk. - Czy Evelyn to Griselda?

- Tak - krótko odparł Ram. Puścił w koło fotografię, rozniosły się jęki przerażenia i zdumienia.

- Indra ma rację - powiedziała Sol, stojąca wśród nich wraz z innymi czarownicami z Ludzi Lodu. - Jaskari nie mógł postąpić inaczej. Ale i ja odniosłam pewien sukces.

- Wiemy, słyszeliśmy, jak wyła - odparł Dolg. - „Dawaj mi torebkę”. Brawo, Sol, wiemy przynajmniej, czego szukać.

Jori przykucnął, zasłaniając twarz rękami, przytłoczony wyrzutami sumienia.

- To ja ją tu zabrałem.

- I powinniśmy być ci za to wdzięczni, Jori - rzekł Marco z powagą. - Inaczej nie byłoby końca jej złym uczynom, ale teraz trzeba otrząsnąć się z odrętwienia. Dolg, tobie i Madragom zostawimy uporządkowanie wszystkiego. Madragowie niech wycofają Juggernauta, a ty potraktuj szczątki Griseldy farangilem.

Jaskari pokręcił głową.

- Madragowie nie muszą niczego porządkować. To ja narobiłem bałaganu, zajmiemy się tym razem z Dolgiem.

- Ty nie jesteś w stanie nic teraz zrobić, Jaskari - rzekł Dolg zatroskany. - Usiądź gdzieś z boku i odpocznij. Uważamy, że wyświadczyłeś nam przysługę, prawda?

Wszyscy przytaknęli, nastrój nieco się poprawił i znów rozległ się ptasi śpiew. Dzień na powrót wydawał się jasny i piękny. Czarownica przestała istnieć.

Dolg podrapał się w głowę.

- Musiała się przede mną ukrywać, bo dopiero teraz zobaczyłem ją po raz pierwszy i od razu poznałem. Spotkałem ją pewnego dnia w parku, zachowywała się co najmniej dziwnie. A Nero, kochany stary Nero warczał na nią. Powinienem być zrozumieć, że coś z nią jest nie tak. Ale łatwo być mądrym po szkodzie.

Miranda podeszła do Indry i położyła jej ręce na ramionach.

- Jestem z ciebie dumna, starsza siostrze - powiedziała cicho.

- Dziękuję - spieszyła się i wzruszyła Indra.

- I wiesz, z radością powitam szwagra, którego dla mnie wybrałaś.

- Gdyby tylko mogło się to ziścić - westchnęła Indra.
- Powodzenia, macie pełne wsparcie moje i Gondagila.
- Dobrze wiedzieć - ucieszyła się Indra, a po chwili spytała głośno: - I co teraz robimy? Chodzi mi o stronę praktyczną. Wracamy do domu i odwołujemy całą wyprawę? Oczy wszystkich skierowały się na Marca i Rama, a w pewnym stopniu również na Joriego. To on wszak organizował całe przedsięwzięcie, lecz ostatnio jakby usunął się na bok.

Trzej mężczyźni pytająco popatrzyli na siebie, aż wreszcie Marco skinął głową.

Decyzję zaś obwieścił Ram:

- Nie, jedziemy. Wszystko jest załatwione, a upłynie zbyt dużo czasu, zanim zorganizujemy ekspedycję od nowa.

Marco dodał:

- Musimy wykorzystać czas, jaki mamy. Nie wiemy, czy i kiedy Griselda postanowi znów się pojawić. Nie wiemy przecież, jaką metodą się posługuje, żeby wrócić do życia. Ci, których nienawidzi i na których chce się zemścić - po dzisiejszym dniu jest ich na pewno zdecydowanie więcej - najbezpieczniejsi przed nią będą w Ciemności, ale naturalnie nie zaprzestaniemy poszukiwań jej sakiewki.

Ram już zaczął działać.

- Zaraz zadzwonię do Roka i Armasa, poproszę, żeby zaplombowali jej dom i przeszukali wszystkie miejsca, które odwiedzała. Im szybciej odnajdziemy tę tak zwaną torebkę, tym lepiej. Nie wiadomo przecież, w jaki sposób ona powraca.

- Ostatnim razem trwało to trzysta lat - przypomniał Thomas.

- To prawda, ale jej odrodzenie może nastąpić w każdej chwili. Nie możemy dać jej na to szansy.

Okazało się, że mniej więcej połowa uczestników ekspedycji pragnie się z niej wycofać. Na początku było ich czterdzieścioro pięcioro. Kiedy Ram policzył, ile osób woli powrócić do spokojnego życia, wraz ze Strażnikami, których chciał wysłać na poszukiwania „duszy” Griseldy, pozostało jedynie dwadzieścia siedem osób i duchów łącznie.

Zaczął rachować, tyle mogło wystarczyć. Silna, zdecydowana, choć mniejsza grupa lepsza jest od gromady niepewnych uczestników.

W Ciemność chcieli wyruszyć: Marco, Dolg i Móri. Ram, Indra, Miranda i Gondagil. Jori, Oriana, Thomas, Berengaria, Siska, Oko Nocy i Tsi-Tsungga. Jaskari i Elena. Trzej Strażnicy, jeden Madrag, jeden laborant, jeden weterynarz i Lenore. Sol, Nauczyciel, Nidhogg i Zwierzę.

Jaskari powinien właściwie zostać w domu razem z Eleną, lecz wtedy nie mieliby żadnego lekarza, Ram usiłował nakłonić do powrotu Lenore, ale ona nie chciała się zgodzić na taki pomysł. Ram zastanawiał się nawet, czy Talornin nie wysłał jej tu w roli szpiega, pilnującego, by między nim a Indrą do niczego nie doszło.

Marco uśmiechnął się do tych, którzy pozostali, lecz w jego uśmiechu wiele było smutku i zmęczenia.

- Zajmijmy się czymś pozytywnym i konstruktywnym, czymś, co podniesie nas na duchu po tej strasznej historii. Spieszmy na ratunek wyjątkowym, pięknym zwierzętom.

- Niech żyją zwierzęta! - mruknęła Indra, wyraźnie czyniąc aluzję do ludzkich charakterów.

- Tak - powiedział Ram. - Chodź, Gondagilu, najwyższy czas wyruszyć w drogę. Odwrócił się w stronę Indry i nie zważając na to, że wszyscy włącznie z Lenore patrzy, pogładził ją po policzku.

- Zobaczymy się w Ciemności, Indro, już niedługo.

- Tak, zobaczymy się już niedługo - powtórzyła szeptem Indra.

Zaczęli się ruszać, ten konglomerat przeróżnych ras i gatunków, krzyżujących się uczuć, niemożliwych konstelacji i trójkątów.

Ale jeden kłopotliwy kąt w wielu trójkątach przestał już istnieć.

Griselda.

Czy na zawsze?

Ale co tam, wyruszali teraz w Ciemność, by walczyć z potworami i cieniami z Gór Czarnych.

Wszystko inne nieważne!